REALPOLITIK W ŚWIECIE PIĘKNODUCHÓW

Czy zbrojące się na potęgę Niemcy to zagrożenie dla Polski



TYGODNIK LISICKIEGO

DO PZECZY

NR 21/681 18–24 MAJA 2026
CENA 13,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

Reset z Rosją? – Rafał A. Ziemkiewicz kontra Marcin Skalski

CO CZEKA TVN I TVN24 PO ZMIANIE WŁAŚCICIELA



Kto zyskał, a kto stracił na wyjeździe Ziobry do USA – analizuje Piotr Semka

Psiecko zamiast dziecka

PSY I KOTY CORAZ CZĘŚCIEJ ZASTĘPUJĄ POLAKOM WŁASNE POTOMSTWO

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288 829
9 772299 850000 21>

KSIĘGARNIA DO RZECZY



ZAPRASZAMY DO KSIĘGARNI DO RZECZY



KSIEGARNIADORZECZY.PL

eprasa.pl f190bf5ce0



PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Złapał Kozak Tatarzyna

Celowo wybrałem ten nieco osobliwy tytuł do zilustrowania tego, co dzieje się na polskiej scenie politycznej, szczególnie na prawicy. Bo wszystkie praktycznie sondaże pokazują jasno jedno i to samo, a mianowicie, że jedynym sposobem zakończenia rządów Donalda Tuska w 2027 r. byłaby szeroka koalicja: PiS, Konfederacja, Korona Grzegorza Brauna. I jednocześnie wiele wskazuje na to, że wariant ten, mimo że opowiada się za nim zdecydowana większość wyborców prawicy, będzie wyjątkowo trudny do zrealizowania.

Według opublikowanego w środę sondażu IBRiS prowadzi Koalicja Obywatelska z poparciem 32,5 proc. Za nią jest Prawo i Sprawiedliwość (24 proc. badanych). Na trzecim miejscu jest Konfederacja z wynikiem 13,1 proc., a potem Konfederacja Korony Polskiej Grzegorza Brauna z poparciem wynoszącym 9,1 proc. Na Lewicę zamierza głosować 6,8 proc. respondentów. Reszta się nie liczy. Przekładając to na mandaty: Donald Tusk sam władzy nie zdobędzie, podobnie do jej zachowania nie wystarczy mu pomoc dotychczasowych sojuszników – Polskę 2050 wchłonął, partia Czarzastego jest za słaba. Na co może więc liczyć obecny premier w 2027 r.?

Nie wierzę w żadne sojusze KO czy to z Koroną Brauna, czy też Konfederacją Mentzena i Bosaka. Wbrew temu, co twierdzą niektórzy komentatorzy uważam, że różnice programowe między KO i obiema konfederacjami są tak duże, że porozumienie między nimi nie wchodzi w grę. Dotyczy to także partii Sławomira Mentzena: zawierając koalicję z Tuskiem, musiałby całkowicie odżegnać się od krytyki ideologii i polityki Unii Europejskiej i zaprzeczyć własnej tożsamości. Niezależnie od tego, co teraz Mentzen mówi na temat PiS i jak bardzo nie krytykuje partii Kaczyńskiego, droga do koalicji z Tuskiem jest dla niego, mniemam, zamknięta.

Tusk nie będzie też mógł zbudować wielkiej koalicji z PiS. Tak broni się wprawdzie system w innych krajach, a więc tworząc establishmentowe hybrydy, czego modelowym przykładem są Niemcy z nieustanną wielką koalicją. W Polsce trudno sobie wyobrazić podobne rozwiązanie. Wrogość Tuska i Kaczyńskiego nie jest udawana, ba, być może jest to jedyna autentyczna emocja nakręcająca obu liderów. A więc koalicja z Konfederacją/Konfederacjami nie, wielka koalicja też nie.

Czy oznacza to, że Tusk jest na z góry przegranej pozycji? Nie. Premier może bowiem liczyć w przyszłości na rozbicie PiS i wyłuskanie stamtąd odpowiednio licznej grupy polityków „odpowiedzialnych", którzy będą bronić „proeuropejskiego dziedzictwa" rządów Mateusza Morawieckiego. Tym bardziej że za takim rozwiązaniem będą się opowiadali Amerykanie, którzy ustami ambasadora Toma Rose'a wyraźnie powiedzieli, czego oczekują. Nie chcą, po pierwsze, żadnego rządu z udziałem „antysemitów i nacjonalistów", w której to grupie znalazł się nie tylko Grzegorz Braun, lecz także na pewno, po demonstracji Konrada Berkowicza, znacząca część Konfederacji. Po drugie bardzo by chcieli, żeby do władzy wrócił (przynajmniej jako ważny minister) Mateusz Morawiecki, któremu amerykański ambasador wciąż wyznaje miłość. Nie bardzo wierzę w uczucia w polityce, dlatego zakładam, że z punktu widzenia Waszyngtonu były premier daje po prostu rękojmię ochrony amerykańskich interesów.

Jednak powstanie takiej kadłubowej wielkiej koalicji nie jest łatwe. Jeśli premier Morawiecki sam odszedłby z PiS i założył nową formację, to nie dostałby zapewne wystarczająco dużo głosów, żeby dać Tuskowi konieczną do utrzymania rządów w 2027 r. większość. Musiałby zostać z PiS wyrzucony – wtedy może zdobyłby konieczne 7–10 proc. poparcia. Wyrzucić go jednak nie jest łatwo, bo to oznaczałoby także znaczne osłabienie samego PiS. Dlatego premier Morawiecki raczej będzie robił wszystko, by w PiS pozostać, budować tam swoją pozycję i po wyborach dopiero – w imię troski o państwo i dobra Polski – dokonać rozłamu.

Z takiego rozwiązania sprawy wszyscy najwięksi gracze byliby zadowoleni. Bruksela (a właściwie Berlin), bo Polską nadal zarządzałby ich człowiek, czyli Tusk. Waszyngton, bo w nowym rządzie mieliby „genialnego" (ocena ambasadora Rose'a) Morawieckiego. Na pewno byłoby to rozwiązanie korzystne dla KO. Można się zatem spodziewać, że propaganda rządowa coraz mocniej będzie podkreślać różnice w PiS między frakcją rozumną i oświeconą a nacjonalistyczną i zamkniętą.

Wszystko to nie znaczy, na szczęście, że sprawa jest przesądzona. Są jeszcze w Polsce wyborcy i może się okazać, że zrobią oni psikusa. Bo co by było, gdyby obie konfederacje zaczęły zbierać nie jak teraz ok. 23 proc. głosów, ale ok. 30 proc.? Poza tym jest jeszcze jeden istotny czynnik, a więc prezydent. Na pewno będzie chciał on mieć na powstanie rządu znaczący wpływ i zrobi, co w jego mocy, by misja Donalda Tuska dobiegła końca. ©℗

eprasa.pl f190bf5ce0



TEMAT TYGODNIA

16 DARIUSZ WIEROMIEJCZYK
PSIECKO ZAMIAST DZIECKA
Psy i koty coraz częściej zastępują Polakom własne potomstwo

KRAJ

20 PIOTR SEMKA
KTO ZYSKAŁ, A KTO STRACIŁ NA WYJEŹDZIE ZBIGNIEWA ZIOBRY DO USA
Krótkie ręce prokuratury Waldemara Żurka

23 ROZMOWA Z JACKIEM HOGĄ
PR ZAMIAST DOWÓDZTWA

26 ŁUKASZ WARZECHA
CZY KONFEDERACJA SIĘ PODZIELI?

29 RADOSŁAW WOJTAS
CZESKI ODWRÓT. REGIOJET WYCOFUJE SIĘ Z POLSKI

32 ZUZANNA DĄBROWSKA-PIECZYŃSKA
TVN PO ZMIANIE WŁAŚCICIELA

KULTURA

34 PIOTR GOCIEK
JAK UMIERAJĄ „GWIEZDNE WOJNY”
Katastrofa już nastąpiła

37 KRZYSZTOF MASŁOŃ
HERBERT NA DRZEWO

NIE PRZEGAP

38 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, GRA, WYSTAWA, KSIĄŻKI

OPINIE

42 WOJCIECH GOLONKA
NATO POD NIEMIECKĄ KURATELĄ
Czy zbrojące się na potęgę Niemcy to zagrożenie dla Polski

45 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
RESET Z ROSJĄ? PO CO?

48 FILIP MEMCHES
ANTYSOWIECKI RUSOFIL. TAJEMNICZE ROZDROŻE JAROSŁAWA BRATKIEWICZA

50 PAWEŁ CHMIELEWSKI
KOŚCIÓŁ KATOLICKI W POLSCE: POJEDNANIE Z NIEMCAMI?

HISTORIA

52 MAREK KLECEL
NIEZAPOWIEDZIANA WIZYTA MAJORA KLOTZA
Podróż po Związku Sowieckim w roku 1940

56 PIOTR WŁOCZYK
STRZAŁY POD HILTONEM

ŚWIAT

58 MACIEJ SZYMANOWSKI
WĘGRY PO ORBÁNIE
Systemowa zmiana?

61 MACIEJ PIECZYŃSKI
JAK ZEŁENSKI Z PUTINEM

EKONOMIA

66 JACEK PRZYBYLSKI
ZMIANA WARTY W NAJWAŻNIEJSZYM BANKU ŚWIATA
Człowiek Trumpa na czele Fed

70 JAKUB WOZINSKI
PREZYDENT USA SP. Z O.O.

STYL

74 JOANNA BOJAŃCZYK
INWAZJA STARUSZEK
Przesunięcie granicy młodości

FELIETONY:

SEMKA (6), ZIEMKIEWICZ, POSPIESZALSKI (8), JASTRZĘBOWSKI (9), GMYZ, GOCIEK (12), ŻEBROWSKI, KOPER (55), PRZYBYLSKI (64), GABRYEL, WARZECHA (69), KOMUDA (76), KOWALCZUK, KARWELIS (79), WIEROMIEJCZYK (80), SIEDLECKA (81), CEJROWSKI (82)

eprasa.pl f190bf5ce0

TYGODNIK DO RZECZY

ADRES: TYGODNIK DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**

SEKRETARIAT REDAKCJI: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas** (II sekretarz redakcji), **Filip Memches**

KOLEGIUM KOMENTATORÓW:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz

STALI WSPÓŁPRACOWNICY I FELIETONIŚCI:
Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Wojciech Cejrowski *(korespondent z USA)*, **Wiesław Chełminiak, Dominika Ćosić** *(Bruksela)*, **Tomasz Cukiernik, Łukasz Czarnecki, Wojciech Golonka, Ryszard Gromadzki, Marek Jurek, Jerzy Karwelis, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Grzegorz Kucharczyk, Andrzej Krzystyniak, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk, Monika Małkowska, Andrzej Nowak, Jacek Pałkiewicz, Maciej Pieczyński, Jan Pospieszalski, Witold Repetowicz, Wojciech Roszkowski, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Błażej Torański, Piotr Włoczyk, Dariusz Wieromiejczyk, Jakub Wozinski, Tomasz Zbigniew Zapert, Łukasz Zboralski**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Zuzanna Dąbrowska-Pieczyńska, Lidia Lemaniak, Alina Piekarz, Małgorzata Puzyr, Anna Skalska, Anna Szczepańska, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Aleksander Majewski, Dawid Sieńkowski**

STUDIO GRAFICZNE: **Wojciech Niedzielko** (kierownik studia), **Marta Michałowska, Jakub Tański** (skład), **Jacek Nadratowski** (obróbka zdjęć)
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Anna Zalewska, Agnieszka Szpak, Agata Błaszczyk-Stefaniak**

RYSOWNICY: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**
Okładka: **Adobe Stock**

WYDAWCA: **Do Rzeczy SA**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00

Wydawca tytułu, Do Rzeczy SA, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW.

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc
Zarząd Spółki Do Rzeczy SA
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

MARKETING: **Piotr Pech** tel. +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl
BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: +48 508 040 890
PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Joanna Nowakowska, Joanna Gosek,
dystrybucja@pmpg.pl, tel. 539 953 631, 508 040 664

DRUK: **Walstead Starachowice**

PRENUMERATA WYDAWNICZA:
Joanna Gosek, Joanna Nowakowska
+48 508 040 664, +48 539 953 631, Od pn.-pt. w godz. 10:00-16:00
e-mail: prenumerata@pmpg.pl, https://subskrypcja.dorzeczy.pl/

PRENUMERATA KOLPORTERSKA:
Kolporter sp. z o.o. (instytucjonalna), tel.: +48 (41) 367 88 88
e-mail: prenumerata.warszawa@kolporter.com.pl, www.kolporter.com.pl
Garmond tel.: +48 (12) 422 14 85, e-mail: prenumeratаprasy@poczyta.pl, www.poczyta.pl/prenumerata#prasa
GLM sp. z o.o. tel.: +48 (22) 649 41 61, www.glm.pl
Poczta Polska https://prenumerata.poczta-polska.pl/

ISSN nakładu podstawowego 2299-8500
Nr indeksu 288 829

Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione. © Ⓟ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin

Drodzy Czytelnicy!

Dziękujemy za wszystkie Państwa listy i e-maile. Przypominamy, by korespondencję elektroniczną kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

List w sprawie SAFE

Mam pytania związane z podpisaną 8 maja umową o pożyczce w ramach SAFE. Wyjaśnię: mimo moich 85 lat staram się „być na bieżąco", jeśli chodzi o sprawy toczące się w Polsce i poza nią. Nie muszę dodawać, że od początku istnienia „Do Rzeczy" jestem stałą czytelniczką (i jeszcze wcześniejszych numerów o innej nazwie). Zdziwiło mnie to, że mimo weta prezydenta, umotywowanego i z sensowną alternatywą, umowa jednak została podpisana. Nie pytam, czy zgodnie z prawem i konstytucją, bo to nie moja działka, ale tak sobie myślę, że członkowie naszego rządu, który do tej pory nie wykazał się wymiernymi sukcesami, podjęli ogromne wyzwanie, bo jeśli pomimo weta podpisano umowę, to chyba jest to umowa prywatna (dobrze myślę?) zawarta w imieniu osób składających się na cały rząd (sprawdziłam – Rada Ministrów i wiceministrowie – 122 osoby, nie licząc premiera).
Czy tak można? Chyba tak, skoro w którymś z państwowych szpitali lekarze i pielęgniarki zrzucili się na konieczny sprzęt.

Chyba że to był fake news (po polsku – fałszywka). Pan premier pewnie ze skromności nie podpisał się pod umową (ale za to pięknie przemawiał po jej podpisaniu). [...] Są jeszcze podpisy kilku ważnych osób.

Co dalej? Czy sporządzono aneks z podpisami ponad 100 osób z rządu zobowiązujących się osobiście do spłaty pożyczki? Cytuję: „Polska jako pierwsza z 19 państw członkowskich UE wnioskujących o pożyczkę z instrumentu SAFE podpisała umowę pożyczki".

Z tego wynika, że plan jest już gotowy i czy niedługo dowiemy się, gdzie i jakie zostaną uruchomione nowe zakłady produkcyjne i jakie zadania dostaną do wykonania uczelnie techniczne w związku z rozwojem techniki wojennej?

Stąd chyba był ten pośpiech w złożeniach podpisów. Czy mogę odetchnąć? Wprawdzie mnie jest już wszystko jedno, bo należę do rocznika objętego zasadą terapii daremnej, ale mam dzieci i wnuki, i ulżyło mi, że członkowie rządu wzięli na siebie to zadanie osobiście, ale chciałabym mieć pewność co do tego. Nie wiem tylko, co na to powiedzą ich dzieci i potomkowie (ile pokoleń?). Ale to już nie mój problem.

Imię i nazwisko
do wiadomości redakcji

Na Wschodzie bez zmian

Szanowni Państwo,
zapowiedzi prezydenta Trumpa o wycofaniu 5 tys. żołnierzy amerykańskich z niemieckich baz i ewentualnym przeniesieniu ich do Polski oraz wspaniałomyślna deklaracja premiera Tuska, że zwykła ludzka lojalność wobec Niemiec nie pozwoliłaby mu ich przyjąć, jak również zabiegi wokół SAFE stanowią pewną wskazówkę. No bo skoro ten sam premier obwieszcza światu, że Rosjanie szykują się do napaści na Polskę w ciągu dosłownie kilku miesięcy, to chyba zakłada, że będziemy rzucać w nich zwitkami euro, ponieważ przy obecnym popycie na broń prędkie zakupy uzbrojenia są raczej wątpliwe. Czyli Polska zamiast największej armii w Europie, będzie posiadać największe długi. Niewykluczone, że całe to zamieszanie służy innemu celowi. Być może realizacji Bismarckowskiego projektu Mitteleuropy, którego fundament stanowi podporządkowanie Niemcom środkowo-wschodniej Europy. Z Rumunią prawie się udało, Węgry już zneutralizowano, teraz kolej na Polskę.

Z poważaniem
Ewa Kowynia

„Reset z Rosją. Czy Polska stoi przed szansą?", Marcin Skalski, „Drz" nr 19/2026

Dzięki za tak mądry i bardzo obiektywny artykuł p. Skalskiego pt. „Reset z Rosją". Szkoda, że nasi politycy są tak bardzo zagubieni w tej problematyce. Brawo i wielkie podziękowanie szanownej redakcji.

Wojciech Bogdał

eprasa.pl f190bf5ce0



PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Zabawa w nieboszczyka

Na ekranie Andrzej Lepper, zmarły 15 lat temu, wygląda zupełnie jak żywy. Stoi przed kamerą, na tle pola pszenicy w słoneczny dzień. „Zostałem zamordowany. Ale nie o to chodzi. Mam godnych następców. Wspierajcie Samoobronę Odrodzenie. Polska dla Polaków. Tylko ta partia może zrealizować moje zadania. Zawsze ufałem takim ludziom. A co do PiS-u – my was znajdziemy!".

Ten klip najprawdopodobniej wypuściła do sieci wspomniana już w filmiku Samoobrona Odrodzenie – jeden z odłamów niegdysiejszej partii Andrzeja Leppera.

Fachowiec szybko zauważy, że użyto jednej z tańszych i już nieco przestarzałych wersji AI. Jakość dźwięku na klipie też pozostawia wiele do życzenia. Ale co z tego? Ten klip nie jest adresowany do ludzi zawodowo obeznanych z fejkami tworzonymi przez sztuczną inteligencję. Mają go zobaczyć osoby, które kiedyś przekonał do siebie chłopski lider. Teraz mają uwierzyć, że niegdysiejszy trybun wskazuje właśnie na ten odłam jako jedynego prawowitego spadkobiercę Samoobrony.

Kulturalnego człowieka o choćby minimalnej wrażliwości wręcz zatyka z oburzenia, gdy ogląda taki przykład grania wizerunkiem zmarłego, który nie może się odnieść do tego, co wyczynia się z jego wizerunkiem. No ale kto ma występować w obronie prawa do czyjejś twarzy? Na pewno rodzina Leppera, ale na razie nie słychać o jej protestach. Może została już przekonana przez liderów Odrodzenia, że „Andrzej by tego chciał"?

Ale mleko już się rozlało. Wykorzystywanie AI do deprecjonowania rywali w naszej polityce już działa w najlepsze. Konfederacja Sławomira Mentzena bez specjalnych krytyk produkuje z wykorzystaniem sztucznej inteligencji kolejne filmiki ukazujące w ośmieszający sposób liderów PiS. Sok z Buraka – nieformalna siła propagandowa tworzona przez zwolenników Koalicji Obywatelskiej – wrzuca do sieci memy z prezydentem Karolem Nawrockim na kolanach, całującym w rękę Donalda Trumpa.

Samoobrona Odrodzenie wykonała jedynie kolejny krok i ożywiła na filmiku zmarłego Andrzeja Leppera. Technologia na to pozwala, więc z tego skorzystali. A że wzbudza to sprzeciwy? W pamięci iluś ludzi, na zasadzie przekazu podprogowego, i tak zostanie główny przekaz filmiku. A tkwienie coraz większych grup Polaków w swych bańkach informacyjnych jeszcze wzmocni skuteczność wideo.

Na Ukrainie już dekadę temu rosyjskie służby zalały tamtejszy Internet filmami porno, w które wmontowano w upokarzających sytuacjach zwalczaną przez Moskwę polityk Julię Tymoszenko. Natychmiast udowodniono, że to fejk, ale popularność jej bloku spadła. Działa? Działa!

Przed nami jeszcze doskonalsze i jeszcze bardziej złowróżbne dziełka wykonane przy pomocy AI. Lepiej nie będzie, raczej gorzej. ©℗



FOT. PIOTR KAMIONKA/REPORTER

STANISŁAWA CELIŃSKA NIE ŻYJE

W wieku 79 lat zmarła 12 maja ceniona aktorka i piosenkarka Stanisława Celińska. Serca widzów zdobyła m.in. głośnymi rolami w filmach Andrzeja Wajdy, Stanisława Barei czy Krzysztofa Zanussiego. Występowała też w tak popularnych serialach jak „Alternatywy 4", „Zmiennicy" czy „Barwy szczęścia". Była też artystką kabaretową. Pod koniec 2025 r. choroba zmusiła ją do odwołania koncertów. Jej pogrzeb odbędzie się 21 maja na Cmentarzu Wojskowym na Powązkach w Warszawie. ***(jap)*** ©℗

ZMARŁ KRZYSZTOF PIESIEWICZ

Scenarzysta filmowy, prawnik i były senator Krzysztof Piesiewicz nie żyje. Był autorem scenariuszy do 17 filmów Krzysztofa Kieślowskiego, w tym „Dekalogu", „Podwójnego życia Weroniki" i „Trzech kolorów". Za scenariusz do obrazu „Trzy kolory. Czerwony" otrzymał nominację do Oscara. Był wielokrotnie nagradzany w Europie. Zasiadał też w jury głównego konkursu podczas 49. Międzynarodowego Festiwalu Filmowego w Cannes. W latach 1991–1993 i 1997–2011 był też senatorem. Miał 80 lat. ***(jap)*** ©℗

eprasa.pl f190bf5ce0

Oferta promocyjna

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

PÓŁROCZNA PRENUMERATA

TYGODNIKA „DO RZECZY" I MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY"



W PREZENCIE

KSIĄŻKA

SERHIJ RUDENKO:
„ZEŁENSKI. POZA SCENARIUSZEM"

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

~~725 ZŁ~~

307,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 418 ZŁ

Oferta prenumeraty z dostawą za pośrednictwem Poczty Polskiej

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

- Wpłata na konto bankowe: Do Rzeczy S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa, nr konta: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006. W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail
- Na stronie: www.subskrypcja.dorzeczy.pl.

TERAZ MOŻLIWOŚĆ ZAMÓWIENIA PRENUMERATY RÓWNIEŻ Z DOSTAWĄ DO PACZKOMATU INPOST

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl f190bf5ce0



RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Ogon Wałęsy

Legendarny Przywódca Solidarności w filmiku w mediach społecznościowych domaga się od związku zawodowego, któremu przed laty przewodził, miliona złotych czy też dolarów za usunięcie jakiejś upamiętniającej go tablicy gdzieś tam. Celowo piszę o tym lekceważąco, bo wszyscy tak się rzucili na tę tablicę i ten milion, że zupełnie im umknęło inne, znacznie bardziej godne uwagi przesłanie filmiku. Otóż Lech Wałęsa po raz kolejny wyjaśnił sprawę swych nadmiarowych zarobków w latach 70. Tym razem nie mówił już o wygranych w totalizatorze. Otóż oznajmił, że jako działacza opozycji (którym bynajmniej wtedy jeszcze nie był) SB często go wzywała na przesłuchania, a on, ponieważ pracował „na akordzie" i wskutek tych wezwań tracił pieniądze, postawił sprawę twardo: jak chcą, żeby przyszedł, to mu muszą zapłacić te utracone zarobki. I SB się zgodziła i płaciła.

To nie mój podpis. To mój pamiętniczek, który sobie pisałem, SB mi ukradła i włożyła jako donosy do teczki. Podpisałem, ale tylko sznurówki, i nie współpracowałem. Współpracowałem, bo odpowiadałem za ludzi, ale ich oszukałem. Podpisałem na lipę oficerowi wywiadu, który mnie prosił o taką przysługę, bo zgubił pieniądze na kupno służbowego samochodu i pomogłem mu je rozliczyć. Nic nigdy nie podpisałem, wszystko sfałszowali „Cętkiewicz" z Kiszczakiem, żeby mnie tą teczką szantażować. Boże, ile już krętactw wymyślił były TW „Bolek"?! A każde głupsze od poprzedniego. I nadal mu nie dość. SB mu płaciła za przesłuchania – na coś takiego nikt inny by nie wpadł!

Ale to nie Wałęsa jest tu najśmieszniejszy. Najśmieszniejsi są ci, za przeproszeniem, intelektualiści, których cwany kabel w swe krętactwa wkręcił. Profesorowie, artyści, laureaci Nobli i Oscarów, przy każdej okazji zapewniający, że Wałęsa padł ofiarą nikczemnych prawicowych oszczerstw, że jest bohaterem, i oni za to ręczą. Cały ten półświatek zwany „salonem", który przez lata ciągnął się za Wałęsą jak ogon, wyczyniając zawijasy po każdym jego skręcie i piruecie. ©℗

#WARTO

Pary LGBT na pomoc Żurkowi



JAN POSPIESZALSKI

Szokujące ustalenia dziennikarzy rp.pl dotyczące okoliczności zaginięcia Sylwestra Suszka, króla kryptowalut, i opis bezkarności aferzystów kolejny raz pokazują słabość instytucji państwa wobec zorganizowanych grup przestępczych. W tym wypadku chodzi o śląską szajkę mającą na swoim koncie miliardowe wyłudzenia podatku VAT. Jednym z szefów mafii paliwowej działającej w latach 2011–2016 na terenie UE był przyjaciel i wspólnik Suszka, Marian W. Dzięki pomocy międzynarodowego zespołu śledczego Eurojust grupa została rozbita, jednak Marian W. korzystał z listu żelaznego, cieszył się wolnością, a w jego firmie na podstawie umowy z MS pracowali więźniowie ZK w Wojkowicach.

Zanim wybuchła afera Zondacrypto, pod pretekstem „sprzątania po ziobrystach" naczelnik Śląskiego Wydziału Zamiejscowego Prokuratury Krajowej, Marek Wełna, odwołał sześciu prokuratorów prowadzących najważniejsze śledztwa. Tak się składa, że odwołani zajmowali się podejrzanymi politykami KO (dawnej PO) i Lewicy, a także sprawami RARS i właśnie Zondacrypto.

Kadrowe czystki w prokuraturze (dokonane z pogwałceniem procedur) raczej nie przybliżą wyjaśnienia piramidy finansowej, w której Polacy (który to już raz) stracili swoje oszczędności. Blamaż władz, w tym prokuratora generalnego ministra Żurka, koniecznie trzeba było czymś przykryć. W takich sytuacjach Tusk jak zwykle rozkręca konflikt cywilizacyjny. Pamiętamy np. jego zapowiedzi uchylenia prawnej ochrony życia w kampanii wyborczej. Teraz, zmieniając nagle swoje stanowisko wobec tzw. małżeństw jednopłciowych i zapowiadając wydanie rozporządzeń dla USC uznających „małżeństwa" zawarte w innych krajach za obowiązujące (według anonimowych polityków KO) po całej serii wizerunkowych porażek, ma być tym „pozytywnym" ratunkowym komunikatem. ©℗

eprasa.pl f190bf5ce0

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA



ĆWIERKOT

Chyba że się Mazurowi nie podoba



SŁAWOMIR JASTRZĘBOWSKI

Stupor kilkugodzinny, a po ustaniu objawów konkurs: „Czemu, ach czemu ona to powiedziała?" – takie były reakcje na słowa minister Jolanty Sobierańskiej-Grendy pytanej o stan służby zdrowia. Stop. Co rzekła? Są państwo gotowi? Rzekła: „Jeżdżę po kraju i widzę, jak się ludzie cieszą". Stop. W czasach zamykania porodówek, oddziałów szpitalnych, masowego przenoszenie terminów badań i wizyt u lekarzy interpretacja takich słów okazała się wyzwaniem. Stop. Według subiektywnej oceny autora wygrał nieweryfikowalny wpis anonimowego internauty z gatunku czarnego humoru: „Widać, że medyczna marihuana działa". Stop.

Rządowi Tuskowi poinformowali, że Zbigniew Ziobro uciekł z Węgier do USA. Stop. Następnie rzecznik Prokuratury Krajowej Przemysław Nowak na specjalnej konferencji poinformował, że wcale nie uciekł, bo ani na Węgrzech, ani w USA nikt go nie ścigał i nie ściga. Stop. Rzeczywistość przy Żurku stała się taka nieoczywista…

W TVP Info, która nie potrafi się przez ponad dwa lata zlikwidować, wystąpił Jacek Żakowski, który udzielił rady, co rząd powinien zrobić w sprawie Trybunału Konstytucyjnego. Stop. Oto one: „Uważam, że rząd musi podjąć działania o charakterze administracyjnym, być może nawet siłowym, żeby oczyścić budynek trybunału z osób symulujących pracę trybunału". Stop. Sprawiedliwie przyznać trzeba, że w dalszej części andronienia złagodził nieco przekaz, informując policję, że nie musi wchodzić o godz. 6 rano, może wejść o 11. Stop. Żakowski jest doskonałym przykładem oczywistej obserwacji: Człowiek może wyjść z „Gazety Wyborczej", ale „Wyborcza" już z niego nie wylezie…

Słów kilka o hierarchii prawa i orzeczeń w Polsce. Stop. Trybunał Konstytucyjny orzekł, że prezydent Karol Nawrocki nie miał obowiązku odebrania ślubowania od osoby wybranej na stanowisko sędziego TK przez parlament i że ślubowanie musi odbyć się w obecności prezydenta, kończąc w tej sposób dziwaczny spór o „wobec". Stop. W momencie, kiedy wydawało się, że to kończy sprawę, bo art. 190 konstytucji mówi, iż orzeczenia TK mają moc powszechnie obowiązującą i są ostateczne, na scenę wkroczył wice-Żurek, sędzia Dariusz Mazur, i powiedział, że nie, że mu się skład nie podoba, więc nie. Stop. Konstytucja art. 190 wymaga adnotacji: „Chyba że się Mazurowi nie podoba". ©℗

eprasa.pl f190bf5ce0



ZUZANNA DĄBROWSKA-PIECZYŃSKA

GWIAZDOBZDUR

STUDENTKA SIĘ CENI

Rozwód to (niestety) dobry moment na autopromocję. Przynajmniej dla celebrytów. Rozstanie Michała i Poli Wiśniewskich napędza karierę pani Wiśniewskiej, która studiuje psychologię. Będąc na III roku, uznała, że to najwyższy czas, aby udzielać innym porad. Piąta żona czerwonowłosego wokalisty ogłosiła, że można się zapisać do niej na konsultacje 1:1. „Podczas rozmów 1:1 sprawdzamy, gdzie pojawia się stałe napięcie, nadmierna odpowiedzialność, ciągła gotowość. Szukamy miejsc, w których dobre funkcjonowanie zaczęło wymagać zbyt dużego wysiłku. To nie jest praca nad naprawianiem siebie. To jest praca nad rozpoznaniem obciążeń, które stały się niewidzialne, bo uznaliśmy je za »normalne« […]. Twoja obecność jest początkiem. Wystarczy, że czujesz, że to dobry moment, by się zatrzymać i dać sobie uwagę. Resztę zrobimy razem – krok po kroku, w Twoim tempie" – zachęca Pola Wiśniewska na swojej stronie internetowej. Ile kosztuje taka przyjemność? Proszę się trzymać. Za 50-minutowe spotkanie on-line ze studentką psychologii trzeba dać 189 zł. Jest szansa na rabat – przy zapisaniu się z góry na cztery sesje zapłacimy 718 zł, a na osiem – 1360 zł. Eks Wiśniewskiego oferuje także spotkania grupowe dla maksymalnie 12 osób. Każda z nich musi zapłacić 99 zł (lub 356 za cztery spotkania z góry i 594 za osiem). Spotkanie grupowe trwa 90 minut i też odbywa się on-line. Oferta jest jeszcze szersza, ponieważ aspirująca pani psycholog prowadzi warsztaty dla kobiet. Za trzygodzinne spotkanie (on-line) raz w miesiącu trzeba dać 159 zł. Na koniec przykra informacja – na razie wolnych terminów brak. Wiemy, że już szykowali państwo portfele.



FOT. WALDEMAR KOMPAŁA/TVP/EAST NEWS

DOJRZAŁA DO ROZDZIAŁU

Żarty żartami, ale sesje terapeutyczne u celebrytki mogą się okazać prawdziwym hitem. Jak wiadomo, natura nie toleruje próżni, także ta duchowa. Aktorka Julia Kamińska opowiedziała w wywiadzie dla Plejady o swoim podejściu do Kościoła i wiary, sugerując, że poważnie rozważa apostazję. W przeszłości Kamińska była związana z religią, śpiewała nawet w chórze kościelnym. „Były takie momenty, kiedy w kościele byłam naprawdę szczęśliwa i było mi tam dobrze. Czułam taką jedność zawsze w niedzielę, kiedy uczestniczyłam w mszach" – opowiada. Jednak dla aktorki negatywnym przełomem było poznawanie historii Kościoła. „Bardzo zawiodłam się na Kościele. Im więcej informacji do mnie docierało o historii Kościoła i o Kościele w Polsce, tym bardziej było to dla mnie przykre" – zaznacza. Julia Kamińska przyznaje, że poważnie zastanawia się nad formalnym wystąpieniem z Kościoła. „Chodzi mi to po głowie […]. Zdaję sobie sprawę z tego, że są kapłani, którzy są naprawdę w porządku i dają ludziom dużo dobrego. Ale są pewne rzeczy, które są dla mnie po prostu nie do przejścia. Nieakceptowalne" – podkreśla. Chodzi o nadmierne, jej zdaniem, powiązanie państwa z Kościołem. „To jest coś, do czego przywykliśmy. W ogóle nie było to dla mnie dziwne, że na każdej ścianie mojej szkoły był krzyż, a przecież to powinna być instytucja świecka. Był nawet mały pomnik Jana Pawła II. W jaki sposób to miałoby być świeckie? W żaden. Łatwo jest, będąc Polką czy Polakiem, przywyknąć do tego, że nie ma tego rozdziału państwa od Kościoła, bo po prostu w tym się wychowujemy. Trzeba się naczytać odpowiedniej liczby źródeł i na własnej skórze najlepiej przeżyć coś, co nas dotknie, żeby się zorientować, że tego rozdziału nie ma. Potem przychodzi moment, żeby się zastanowić, czy jesteśmy z tym okej czy nie. Ja nie jestem" – deklaruje. Państwo się nie rozdziela, to chociaż Kamińska się rozdzieli.

JEDNAK ODEJDZIE?

Pozostajemy w temacie. Wokalista Adam Stachowiak zdobył popularność w talent show „The Voice of Poland". Choć nie wygrał, to zdobył sympatię widzów i stał się pełnoprawnym celebrytą. Co ciekawe, początkowo wydawał się inny niż większość z nich. Jak chwalił się w wywiadach, do dnia ślubu kościelnego wraz z ukochaną żyli w czystości. Wcześniej Stachowiak doznał nawrócenia i przyjął sakramenty. Przyszedł jednak kryzys. Stachowiakowie najpierw ogłosili rozstanie, ale następnie stwierdzili, że będą walczyć o małżeństwo (brawo!). Piosenkarz dzieli się na bieżąco przemyśleniami w mediach społecznościowych. „Od jakiegoś czasu uczę się siebie od nowa. Nowe mieszkanie, mniej ludzi, podróże, które coś we mnie otwierają, teksty, w których nie muszę nikogo udawać… Przez lata spełniałem oczekiwania innych, oddając po kawałku własną tożsamość" – opisuje. Jak przyznał, pokładał w Bogu wielkie nadzieje, jednak rozczarował go Kościół i rozważa… apostazję. „Myślałem, że Bóg wypełni pustkę, którą od lat noszę w sobie, ale zawiodłem się na tym, co dzieje się w kościele, szczerze – dziś w sumie zastanawiam się nad apostazją. Cały czas szukam własnej drogi, starając się przy tym być dobrym człowiekiem i najlepiej, jak umiem, wypełniać swoje role. A przecież gdzieś pod tym wszystkim wciąż spał artysta. Dobrze, że jeszcze pamiętam, kim byłem wcześniej" – stwierdził. Pola Wiśniewska będzie miała ręce pełne roboty. ©℗

eprasa.pl f190bf5ce0



MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, jeżeli nie ograniczymy pazerności Polaków, to nie będziemy w tym kraju mieć niczego, żadnych nowoczesnych technologii, miejsc pracy, a w konsekwencji emerytur i spokojnej przyszłości. Otósh wyobraźcie sobie, iż pewna szwedzka firma musiała zamknąć swój oddział w Szczecinie, iż wynagrodzenia polskich pracowników były dla niej po prostu za wysokie i przez to „przewaga kosztowa" tego kraju uległa znaczącemu zmniejszeniu.

Nie od dziś bowiem wiadomo, iż pensje pracowników są kulą u nogi polskiego biznesu (naprawdę był taki tytuł artykułu w necie – zgooglajcie, jeśli macie ochotę). Przez to, iż należy płacić pracownikom, wiele firm w tym kraju po prostu sobie nie radzi i ledwo wiąże koniec z końcem, a prześladowania przedsiębiorców przez bezlitosnego fiskusa nie ustają.

Wielu z was może teraz się zdziwić, iż redakcjo, jak to, skąd ten neoliberalny dyskurs? Kochani, odpowiadamy, my od dawna powtarzamy, iż w sprawach gospodarczych najbliżej nam do KO, światopoglądowych – do Lewicy, a środowiskowych – do Polski 2050 czy jak się to teraz nazywa. Jesteśmy naprawdę wiernymi wyborcami i sympatykami rządowej koalicji.

No ale wracając do Polaków – przecież na co oni mieliby wydawać pieniądze? Z tego, co wiemy, to oszczędności nie mają, na zagraniczne wakacje nie jeżdżą, mieszkania mają małe i nie potrzebują nakładów, iżby je utrzymać. Po co im więc takie duże pieniądze, iżby swoją pazernością straszyć zagraniczny kapitał?



Serio, nie rozumiemy. Chyba tylko po to, żeby wydać hajs na grilla ze szwagrem i zrobić klasyczne zastaw się, a postaw się, gdy trzeba zaprosić gości na imieniny. A tymczasem szwedzka firma ma swoją politykę wynagrodzeń, ma swój budżet, który musi się spinać, nie można ot tak reagować na januszowe kaprysy i sypać pieniędzmi jak z rękawa, to niestety tak – jak się przekonaliśmy właśnie – nie działa.

Lol, kochani, okazuje się, iż tu cały czas trwają ustne matury! Masakra, nie spodziewaliśmy się, iż nie dość, że młodym ludziom każe się pisać i weryfikuje w ten sposób ich wiedzę, to jeszcze każe się im mówić, ba – opowiadać, obcym ludziom na jakieś abstrakcyjne tematy.

Chyba każda osoba z nas zna sytuację, gdy jadąc pociągiem czy komunikacją miejską, była zagadywana przez kogoś nieznajomego. No to matura ustna to coś podobnego, tylko tu dochodzą takie elementy, iż trzeba się ładnie ubrać, ładnie odpowiedzieć, nie można udawać, iż się nie słyszy, albo założyć słuchawek, bo od tego zależy później, czy można będzie pójść na studia czy ma się rok w plecy i będzie się siedziało na chacie z osobami płodzącymi.

Już nie wspominając, iż taka formuła bardzo źle może wpływać na osoby introwertyczne bądź osoby, które nie lubią mówić.

Po raz kolejny apelujemy – należy udrożnić system. Ile wartościowych młodych osób o nieprzeciętnie interesujących intelektach co roku może odpadać, iż po prostu nie przeciska się przez sito tego systemu, który wyraźnie faworyzuje osoby dynamiczne, pewne siebie, śmiałe i uposażone wiedzowo.

Nie stać nas na marnowanie talentów z uwagi na jakieś średniowieczne kryteria, to wstyd, ale w tym kraju jeszcze nie każdy dostaje się na studia, należałoby to w końcu zmienić, co? ©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

PODSŁUCHANE

Na wszelki wypadek

Mateusz, nie chcę cię martwić, ale Jarek planuje radykalne działania.
Czyli co, Mariusz? W końcu mnie wyrzuci? Ile można czekać?! Sam już nie wiem, co jeszcze mogę zrobić.

A nie, tego to nie wiem. Ale po odzyskaniu władzy zlecił mi napisanie ustawy zakazującej. Przede wszystkim będzie zakaz stowarzyszeń.
Jakich?

Każdych, na wszelki wypadek. Oraz praw wyborczych, biernych i czynnych, mają być pozbawione osoby z imieniem na literę „M".
Phi, zmienię na „Jarosław".

Nie zmienisz, bo to będzie też zakazane.
To ty też stracisz prawa.

Z wyjątkiem Mariuszów. Wszystko przewidział! ©℗

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„[...] powrót PiS do władzy wyprowadzi nas z Unii i NATO i sprowadzi nas do roli jednej z rosyjskich republik – ubogiej, szarej, przemocowej".

ELIZA MICHALIK, *publicystka, na X*

eprasa.pl f190bf5ce0

dwaj panowie g



FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

To, co najważniejsze, czyli z życia partii. Otóż partia się spotkała. W zeszłym tygodniu na klubie ojciec Mateusz zaklinał się i obiecywał, żeby nie wierzyć złym językom, że on z PiS nie wyjdzie i nie zamierza wychodzić. I nawet obiecał, że swój projekt STROP zamrozi. Podobno pojedyncze osoby w to uwierzyły, ale jakoś trudno tak konkretnie je zidentyfikować.

Dla tych, którzy powyższy skrót widzą po raz pierwszy: STROP to nasz akronim dla Stowarzyszenia Rozwój Plus. Co to jest akronim? No, taki skrótowiec. A co to jest skrótowiec? No, akronim. Inaczej nie wytłumaczymy. Tak czy inaczej, STROP stał się faktem, gdyż został oficjalnie zarejestrowany. Jeden z naszych bliskich czytelników pozwolił sobie skomentować ten fakt (oraz nasz akronim) zdaniem: „Partie to się buduje od fundamentów, a nie od stropu".

Tak czy inaczej, jesteśmy zawiedzeni. W czasach, kiedy jedynym sposobem na zdobycie rozgłosu jest budowa tzw. marki osobistej, każda inicjatywa powinna mieć w nazwie nazwisko. Tak jak Ruch Palikota, Nowoczesna Ryszarda Petru albo Polska 2050 Szymona Hołowni. Żeby wszystko było jasne. Zatem podajemy właściwą nazwę: Stowarzyszenie Rozwój Plus Mateusza Morawieckiego. W skrócie STROP MAMO.

Dbałość o markę osobistą i nazwisko w nazwie sprawiłaby, że Morawiecki, zwany przez nas pieszczotliwie ojcem Mateuszem, mógłby mniej czasu poświęcać na chodzenie po mediach. Bo i tak miałby rozpoznawalność. Coś wam zdradzimy: fakt, że Mateusz jest niemal codziennie na jakimś ekranie, denerwuje posłów PiS nawet bardziej niż fakt, że założył STROP. Ale my ich rozumiemy. Skąd to zrozumienie? Przeczytajcie następną notkę.

Otóż jest tak. Nawet najwięksi optymiści w partii wiedzą doskonale, że po najbliższych wyborach klub będzie mniejszy. Może nawet o 50 mandatów. Oznacza to, że 50 osób zostanie bez pracy. Walka o to, kto pozostanie w Sejmie, jest więc zacięta. Szczególnie walka o dostęp do jakiegokolwiek okienka, znaczy do występów w przekaziorach, gdzie można budować sobie rozpoznawalność, czyli markę osobistą. A wybory już za rok i parę miesięcy. Morawiecki swoim nadmiarem medialnym odbiera więc szansę na sławę maluczkim. Przynajmniej tak uważają maluczcy.

Inna sprawa, że my jesteśmy nieco sceptyczni wobec powyższych kalkulacji. Nie, żebyśmy jakoś nie lubili maluczkich, wszak sami tacy jesteśmy. Ale chodzi o to, że ktokolwiek pójdzie do przekaziorów, to i tak gada o Morawieckim i jego grupie Wyjście, to znaczy tfu, o STROP. Więc w sumie wychodzi na to samo. Chcecie dowód? No kurczę, przecież jak się tydzień temu Przemek Czarnek spotkał z dziennikarzami, to przez godzinę mówił głównie o Mateuszu.

eprasa.pl f190bf5ce0

Plan powołania nowego projektu politycznego chwilowo poszedł się czochrać. Nie, nie chodzi o partię na bazie STROP. Ale o co innego. W Warszawie tutejsze kryminały mawiają: „Chwila nieuwagi i jesteś na Ciupagi". Tłumaczymy: przy ul. Ciupagi mieści się osławiony areszt śledczy na Białołęce. Podobna chwila nieuwagi kosztuje Rafała Brzoskę, wodza InPostu, wstrzymanie planu budowy nowej formacji politycznej na wzór partii Berlusconiego Forza Italia. Chodzi konkretnie o imprezę w Wilanowie organizowaną przez małżonkę Brzoski o imieniu Omena. Imprezę, przeciw której sprzeciw połączył chyba wszystkie siły polityczne w Polsce.

Po imprezie techno pod pałacem minister Cienkowska posunęła dyrektora muzeum w Wilanowie. Krzywda mu się jednak nie stanie, i tak przekroczył wiek emerytalny. A zwolniło się miejsce pracy. Też dobrze. Niewątpliwie obejmie je teraz jakiś kompetentny muzealnik bez koneksji politycznych. Oczywiście żartujemy.

Jak powszechnie wiadomo, u Cienkowskiej kompetencje się jednak liczą. Na przykład w gabinecie politycznym zatrudnia fryzjera oraz blogerkę, która prowadziła blogaska pod wdzięczną nazwą „Faszyn from Raszyn". Nasze wiewiórki twierdzą, że potrafi też robić pazurki.

Odnotujmy, że od czasu objęcia stanowiska ministra przez Cienkowską do łask powróciło powiedzonko z czasów Kazimierza Dejmka, że urzędnicy nie tyle boją się ministra kultury, ile kultury ministra. Cienkowska podobno potrafi pociągnąć niegorszą wiązanką niż Dejmek, autor znakomitego powiedzenia, że „dupa jest od srania, a aktor jest od grania".

Na Alei Róż oczekiwanie na zmianę lokatora. Nie wiecie, co mieści się na Alei Róż? Otóż znajduje się tam Pałacyk Szelechowa. To taki rosyjski kupiec, który handlował kawiorem i dorobił się niezłego majątku. Jednak najbardziej znanym lokatorem tego przybytku był niejaki Franz Kutschera, który stąd właśnie wyruszył w swoją ostatnią podróż. Nic nie sugerujemy, ale w budynku panuje atmosfera jak w bunkrze Hitlera w końcówce kwietnia 1945 r. Urzędników jednak wisielczy humor nie opuszcza. Wiecie, jak będzie nazywała się zmiana ministra Żurka na Giertycha? ReKOŃstrukacja rządu.

Niestety, powyższy żarcik językowy nie jest nasz (co jest przedmiotem naszej zazdrości), gdyż kopyrajty do tego określenia ma prof. Stanisław Żerko. On także ukuł nowe określenie na Włodzimierza Czarzastego: kierownik sali sejmowej. Nic dodać, nic ująć. Będziemy z tego korzystać, oczywiście oznaczając to jako ©by Żerko.

Tymczasem żurkowcy odgrażają się, że będą ścigać. Wiecie kogo: Ziobrę i Romanowskiego, którzy wyjechali do Ameryki. Tyle tylko że w tej sprawie to akurat żurkowcy, giertychowcy i tuskowcy mogą tyle, co martwa mrówka. Ogłosili więc, że będzie śledztwo w sprawie sprawstwa pomocniczego, czyli tego, kto Ziobrze i Romanowskiemu pomógł. Uważamy, że perspektywy są szerokie. Zaczęlibyśmy od firmy, która sprzedawała bilety lotnicze, oraz od tego gościa, który z mopem chodzi po lotnisku.

Na wypadek fiaska tego etapu śledztwa już podrzucamy fajną narrację dla Giertycha i tefauenów: zawsze można powiedzieć, że linie lotnicze, które zabrały Ziobrę i Romanowskiego do Ameryki, kupują paliwo od rosyjskiej floty cienia. A to oznacza, że Ziobro i Romanowski to Putin.

W sprawie ewakuacji Ziobry i Romanowskiego mamy jednak niewygodne pytanie do nowych władz Węgier. Czy to jest normalna i powszechna praktyka, że firmy wynajmujące mieszkania obszernie informują dziennikarzy, kto w danym mieszkaniu mieszka i czy wyjechał czy nie oraz czy mieszkanie jest puste czy też umeblowane? Bo my mamy pewne wątpliwości związane z prywatnością i praworządnością. A takie przecież informacje, jak wymienione, podawały w dniach wyjazdu Romanowskiego polskie przekaziory. Panie Magyar, będziemy teraz skandować: KON-STY-TU-CJA! KON-STY-TU-CJA! Za Orbána takie rzeczy byłyby nie do pomyślenia.

Àpropos pana premiera Pétera Magyara, czyli nowego, młodszego i przystojniejszego Orbána. Rozpoczął on swe rządy od napisania w mediach społecznościowych: „Niech Bóg błogosławi Węgry! Niech Bóg błogosławi wszystkich Węgrów!". Niniejszym więc donosimy uprzejmie do Brukseli, że tym samym Magyar mową nienawistną i wykluczającą wyraźnie nie chciał, żeby Bóg błogosławił inne kraje i inne narodowości. I co wy na to?

Z drugiej strony sprawa jest oczywista. Unijni eurokraci są – jak wiadomo – przeciwko panu Bogu tak ogólnie. Więc nie chcieliby, żeby pan Bóg błogosławił jakiemukolwiek krajowi Unii. Taką linię obrony możemy podpowiedzieć. Ale nurtuje nas inne pytanie. Viktor Magyar, znaczy tfu, Péter Magyar, zapowiedział wizytę w Warszawie. Ciekawi nas, czy premier Tusk powita go słowami: „Szczęść Boże". Powiemy więcej, nas zadowoliłoby nawet: „Grüß Gott".

Tymczasem tydzień temu z okładem wspomniany Zły Donald z Sopotu świętował Dzień Europy. Z tej okazji ogłosił, że „Unia Europejska jest niedoskonała, ale niczego lepszego w naszej historii nie wymyśliliśmy". Śmiemy powątpiewać. Wy może nie wymyśliliście. Natomiast inni – owszem.

Daleko, daleko, bo aż za Węgrami, leży piękny kraj zwany Rumunią. Który cenimy, a zwłaszcza cenimy miejscowych antysystemowców z partii AUR. Otóż tak się złożyło, że upadł tam rząd liberałów i socjalistów, gdyż ci ostatni zagłosowali z AUR za odwołaniem. Czy to oznacza, że George Simion i jego AUR będą teraz tworzyć nowy rząd? Otóż nie, Rumunię czeka rząd mniejszościowy. Gdyż wokół AUR stoi polityczny „kordon sanitarny". Znamy, widzieliśmy, w Polsce i w paru innych krajach. I nawet wiemy, jak to się skończy. Za parę lat wybory. AUR wygra w cuglach. Czego i innym antysystemowcom życzymy. ©℗

eprasa.pl f190bf5ce0

XI HUCZNIE POWITAŁ TRUMPA W PEKINIE

Chińczycy zgotowali amerykańskiemu prezydentowi powitanie z fanfarami. Była wojskowa kompania honorowa przed Wielką Halą Ludową. Oddano nawet salwę honorową, a gdy orkiestra odegrała już hymn narodowy USA, przywódcy Chin i Stanów Zjednoczonych mogli przywitać się z dziećmi machającymi radośnie chińskimi i amerykańskimi flagami. Na Trumpa, towarzyszących mu ministrów oraz 30 prezesów największych firm czekał także wystawny bankiet, podczas którego serwowano tradycyjną pieczoną kaczkę po pekińsku, żeberka wołowe (to ukłon w stronę kulinarnego gustu amerykańskiego przywódcy), a także tiramisu, owoce oraz lody.

Podczas ubiegłotygodniowej wizyty prezydenta USA w stolicy Chin – pierwszego typu wydarzenia od dziewięciu lat, które Donald Trump nazwał potencjalnie „najlepszym szczytem w historii" wzajemnych stosunków – nie zabrakło jednak napięć, ukazujących prawdziwe problemy między supermocarstwami. I nie chodzi tylko o widmo powrotu do wojny handlowej, podczas której w zeszłym roku obie strony nałożyły na siebie cła przekraczające poziom 100 proc. Chiński przywódca Xi Jinping ostrzegł prezydenta Trumpa, że jakiekolwiek niewłaściwe postępowanie w sprawie Tajwanu może doprowadzić do „niezwykle niebezpiecznej sytuacji".

Dla Trumpa, który polityczną karierę zrobił m.in. na jawnie wyrażanej niechęci wobec Chin, powrót do Pekinu to również ważna lekcja pokory. W ciągu ostatniej dekady chińska gospodarka urosła bowiem wyraźnie mocniej niż amerykańska. Władze w Pekinie sporo na znaczeniu zyskały też na scenie geopolitycznej, zyskując miano drugiej najważniejszej potęgi świata. ***(jap)*** ©℗

FOT. HANDOUT/WHITE HOUSE/ZUMA PRESS/FORUM



Wstyd całować się z psem!



Dariusz Wieromiejczyk

Przekraczanie granicy pomiędzy tym, co ludzkie, a tym, co zwierzęce, to zabieg krzywdzący tak zwierzęta, jak ludzi. Gorzej, jeśli staje się on elementem inżynierii społecznej

FOT. ADOBE STOCK

Niewiele jest w Polsce tematów generujących tak burzliwe emocje jak prawdziwe bądź domniemane cierpienia zwierząt domowych. Niedawna sprawa nadużyć popełnianych w prywatnych schroniskach dla zwierząt w Wojtyszkach i Sobolewie odbiła się w polskich mediach falą emocji i wyrazów oburzenia. W porównaniu z takim tsunami współczucia echa popełnianych na ludziach zbrodni, mających miejsce chociażby w Gazie, wydają się niemal niezauważalnymi kręgami na powierzchni rodzimego Internetu. W sprawę zaangażowały się niezawodne celebrytki, które szybko przyjęły rolę samozwańczych rzeczniczek praw zwierząt. „Głos internetowego ludu" niemal natychmiast otworzył przed nimi bramy ministerialnych gabinetów i pałaców. W sprawę schronisk dla zwierząt i ich nieczułych na los czworonogów właścicieli zaangażował się osobiście nie tylko minister sprawiedliwości, Waldemar Żurek, lecz także prezydent Karol Nawrocki wraz z „od lat zaangażowaną w działania charytatywne na rzecz ochrony zwierząt" siostrą. Premier Donald Tusk dał dowód wnikliwej introspekcji odkryciem, że „ludziom desperacko brakuje tego, czego możemy uczyć się od psów: miłości, wierności, charakteru".

W kolejnych dniach w sprawę zamkniętych już w tym czasie schronisk postanowiły zaangażować się kolejne poszukujące rozgłosu „galernice wrażliwości" – jak niezawodna w wyszukiwaniu okazji do medialnego rozgłosu Marianna Schreiber. Modelka Joanna Krupa, na stałe mieszkająca w Kalifornii, także nie mogła sobie odmówić „wyciągnięcia ręki do współpracy, dla dobra psów". Mieszkance Kalifornii, która okazji do okazania zwierzętom dobrego serca szukać musi aż w Polsce, umknął zapewne fakt, że w jej rodzinnym stanie działają najsłynniejsze w USA tory wyścigów konnych, na których tylko w roku 2024 zginęło w wypadkach aż 108 nieszczęsnych zwierząt, kolejne setki zaś uległy bolesnym chorobom i kontuzjom. Jest to w Kalifornii ogromny i dochodowy biznes, powiązany często z przemysłem rozrywkowym. Zażarta walka z nim wiązałaby się jednak z praw-

eprasa.pl f190bf5ce0

dziwym ryzykiem i byłaby dowodem rzeczywistej odwagi i zaangażowania, co ważne, bliżej domu.

MAGISTER BORDER COLLIE

Regularnie wybuchające burze, sprowokowane żarliwie demonstrowaną w mediach miłością celebrytów do zwierząt, zdarzają się w Polsce ze zdumiewającą regularnością. Jeszcze niedawno głośno było o skandalicznych wynurzeniach innej gwiazdeczki telewizyjnej, Moniki Richardson. Załamana niespodziewanym odejściem psa Paco, któremu zdarzyło się zjeść gumową zabawkę, nazwała weterynarzy „zorganizowaną szajką, która nie cofnie się przed niczym". Udostępniła przy tym wizerunek właściciela kliniki weterynaryjnej. Ośmielił się on wystawić jej zbyt wysoki, zdaniem celebrytki, rachunek za swoje usługi. Weterynarzowi, w ocenie telewizyjnej gwiazdeczki, „zabrakło jakiejś elementarnej przyzwoitości, odrobiny empatii". Polski Internet jak zwykle rozgorzał gniewnymi dyskusjami, wśród których nie brakło opinii „psich mam", że weterynarze, jak każdy wrażliwy człowiek, zobowiązani są do kochania ich „dzieci" miłością bezinteresowną, jak one. Powinni zatem świadczyć stosowne usługi bez gorszących warunków finansowych, prosząc o opłatę „co łaska". Sprawa internetowych wpisów Moniki Richardson trafiła w ubiegłym roku do sądu, z powództwa Krajowej Izby Lekarsko-Weterynaryjnej.

O tym, że z miłośnikami zwierząt nie ma żartów, boleśnie przekonał się także prof. Jerzy Bralczyk. Po tym, jak nieopatrznie ogłosił, że w poprawnej polszczyźnie „Pies nie umiera, pies zdycha" i „Psa się nie adoptuje, psa się uznaje za swojego", spadła na niego fala krytyki i połajanek. Okazało się, że prezentowana przez profesora opinia „jednak co ludzkie, to ludzkie" nawet dla innych akademików jest dalece nieoczywista. „Świat się bowiem zmienia i język też ulega przemianom. Obecnie nasze czworonogi najczęściej traktujemy jak wiernych przyjaciół, a nawet członków rodziny […]. Wydaje się więc, że stosowanie »ludzkiego« słownictwa wobec zwierząt już się dokonało, i nie ma sensu wyważać otwartych drzwi" – pouczyła prof. Izabela Kępka z Uniwersytetu Gdańskiego. W stosowaniu wobec zwierząt odmiennych zwrotów niż wobec ludzi profesorowie Rusinek i Miodek doszukali się nawet „językowych znaków pychy i pogardy, które nam, jako żywo, nie przystoją". Przypomniane przez prof. Bralczyka rozróżnienie okazało się dla prof. Miodka lekceważeniem „wspólnoty losu wszystkich istot, zwłaszcza w obliczu klimatycznej katastrofy", a w opinii dr. hab. Rusinka reliktem feudalnej przemocy i wyzysku – „wertykalnej struktury społecznej, opartej na przemocy wobec tych, którzy znajdowali się poniżej: pan bił chłopa, chłop bił psa". Jerzy Bralczyk uderzył zatem psa słowem, którego ten, zapewne, nie umiałby zrozumieć.

W stosowaniu wobec zwierząt odmiennych zwrotów niż wobec ludzi profesorowie doszukali się „językowych znaków pychy i pogardy, które nam, jako żywo, nie przystoją"

Innego zdania wydaje się być doktor filologii słowiańskiej, Justyna Tymieniecka-Suchanek, wykładowca Uniwersytetu Warszawskiego i założycielka „prekursorskiej" pracowni badawczej „Laboratorium Animal Studies – Trzecia Kultura". „Zwierzęta są istotami obdarzonymi inteligencją, posiadającymi własne systemy wartości, protokulturę […]. Nowe odkrycia i obserwacje etologów pozwalają do owej listy dodać prawie wszystko to, co dotąd było zarezerwowane wyłącznie dla człowieka: posługiwanie się narzędziami, język (komunikację), uczucia, (samo)świadomość, myślenie, moralność, a nawet… doświadczenia religijne (sic!)" – głosi badaczka. Jak długo przyjdzie nam czekać na chwilę, gdy pies rasy border collie (uchodzącej wśród znawców przedmiotu za jedną z obdarzonych największą inteligencją) obroni na Uniwersytecie Warszawskim pracę magisterską? Życzliwą i kompetentną promotor wyczuje na Uniwersytecie Warszawskim z łatwością.

CENA SENTYMENTALIZMU

Jeśli poważne (?) uczelnie zajmują się dziś badaniem języka, moralności i doświadczeń religijnych wśród zwierząt, to trudno dziwić się rozmaitym hochsztaplerom, którzy na „zastosowaniu" ich odkryć zarabiają pieniądze. Jak grzyby po deszczu mnożą się dziś oferty rozmaitych „zaklinaczy kotów", „komunikatorów międzygatunkowych" oraz wywoływaczy psich duchów.

Profesor Bralczyk, zanim wypowiedzią o psim „zdychaniu" i „adopcji" zrzucił na siebie lawinę pomówień i obelg, zadeklarował, że „bardzo lubi zwierzęta" – co i tak nie uchroniło go od licznych nieprzyjemności. W tym miejscu pozwolę zatem sobie także na podobną deklarację. Podzielam sympatię prof. Bralczyka do zwierząt. Jestem też przekonany, że zasługują one na opiekę i szacunek. Jakiekolwiek formy świadomego czynienia im krzywdy są godne potępienia i kary. Nie mam wątpliwości, że zwierzęta towarzyszące człowiekowi nie tylko wyświadczają mu nieocenione przysługi, pomagając człowiekowi w setkach bardzo odpowiedzialnych, a nawet ratujących ludzkie życie zajęć.

Więcej psów niż dzieci

Liczba psów w polskich gospodarstwach domowych już w 2010 r. przewyższyła populację dzieci w naszym kraju. Od tego czasu różnica ta tylko rośnie. Najnowsze dane Europejskiego Stowarzyszenia Producentów Karmy dla Zwierząt Domowych (FEDIAF) wskazują, że w Polsce żyje ok. 8,5 mln psów. Populacja Polaków do 17 r.ż. wynosi w tej chwili ok. 6,8–7 mln. Jeszcze do niedawna dzieci „wygrywały" z kotami, ale i to się zmieniło. Liczba tych zwierząt w polskich domach szacowana była w 2023 r. na 7,5 mln. W kontekście europejskim Polska jawi się jako fenomen. Zajmujemy drugie miejsce w Unii Europejskiej pod względem odsetka gospodarstw domowych posiadających psa. Z wynikiem 49 proc. ustępujemy jedynie Węgrom (50 proc.). Dla porównania: średnia europejska oscyluje wokół 25 proc., a w krajach takich jak Niemcy (21 proc.) czy Francja (20 proc.) posiadanie psa jest znacznie rzadsze, choć liczby bezwzględne są wysokie ze względu na większą populację ogólną.

Także na drugim miejscu, z wynikiem 41 proc., plasujemy się pod względem odsetka domów, w których trzymane są koty. Liderem jest Rumunia, gdzie wskaźnik ten wynosi 48 proc.

(oprac. RAW)

eprasa.pl f190bf5ce0

Podziwiam psy wspomagające ratowników górskich, policjantów i wojskowych, w pełni zdaję sobie sprawę z dobroczynnej roli odgrywanej przez zwierzęta w terapii dzieci, inwalidów i osób starszych, doceniam i chwalę psy pracujące w roli przewodników osób niewidomych, opiekunów chorych na padaczkę i w wielu podobnych rolach. W pełni zdaję sobie sprawę, jak dobroczynną rolę odgrywają zwierzęta towarzyszące w wielu rodzinach, a także wśród osób samotnych, dla których bywają cennym źródłem wsparcia emocjonalnego. Dobrostan zwierząt jest dla mnie bezdyskusyjna wartością. Jestem jednak przeciwny zacieraniu oczywistej, naturalnej i ugruntowanej w kulturze różnicy pomiędzy człowiekiem a zwierzęciem.

Zamierzam bronić poglądu, że rozpowszechniony w Polsce histeryczny, nadmiernie emocjonalny stosunek do zwierząt jest nie tylko objawem naszej zbiorowej niedojrzałości, lecz także szkodzi tak ludziom, jak zwierzętom. Ogłaszana publicznie „miłość" do czworonogów i werbalne zrównywanie ich z ludźmi zbyt często wykorzystywane są jako mechanizm „budowania zasięgów" wśród cynicznych celebrytów, manipulujących wyborcami polityków i ślepo podążających za „światowymi trendami" naukowców. Wszechobecne w masowych mediach zaklęcia o „wyższości zwierząt nad ludźmi" niosą też, ukrywane pod maską sentymentalizmu, przesłanie antychrześcijańskie. Te same liberalne media, które lubują się w oskarżaniu ludzi o okrucieństwo wobec kotków i piesków, nie zauważają, przez lata, okrucieństwa masowo dokonywanych ludobójstw, a same propagują zarazem aborcję i eutanazję. Faryzejskie sabaty medialne rozgorączkowanych gwiazdeczek i „aktywiszczy" stanowią w najlepszym razie namiastkę prawdziwego zaangażowania w poprawę świata, w najgorszym – parawan dla globalistycznej i antyludzkiej propagandy.

Zjawisko to doskonale przewidział Fiodor Dostojewski, który na łamach powieści „Biesy" w usta demonicznego terrorysty (nazywanego zgodnie z duchem epoki „socjalistą" – choć dziś bardziej pasowałoby określenie „rewolucyjny nihilista") włożył następujące cyniczne wyznanie: „Myślicie, że polegamy tylko na przekonaniach? Bynajmniej. Naszą najlepszą bronią będzie władza – tytuł, mundur, ranga, sieć urzędników i agentów. Jednak druga, równie potężna siła to sentymentalizm. Socjalizm w naszych warunkach rozprzestrzenia się przede wszystkim przez sentymentalizm. Przez litość, przez wzruszenie, przez marzenia o powszechnym szczęściu na ziemi, przez łzy i współczucie dla cierpiących. Człowiek, który nie potrafi rozumować na chłodno, ale potrafi się wzruszać, jest nasz! Dajcie mu ronić łzy, dajcie mu dramatyczną ideę bez odpowiedzialności, a będzie wam oddany. Będzie niszczył, nie wiedząc czemu, będzie nienawidził w imię miłości, będzie gotów przelać krew w imię przyszłego szczęścia. Nam nie są potrzebni ludzie rozsądni, nam są potrzebni działacze oddani sprawie. A sentymentalizm to najkrótsza droga do takiego oddania".

Jeśli poważne (?) uczelnie zajmują się dziś badaniem języka, moralności i doświadczeń religijnych wśród zwierząt, to trudno dziwić się rozmaitym hochsztaplerom. Jak grzyby po deszczu mnożą się oferty rozmaitych „zaklinaczy kotów", „komunikatorów międzygatunkowych" oraz wywoływaczy psich duchów

Czy nie przychodzą tu na myśl wszechobecne w naszym Internecie zdjęcia wychudzonych i zaropiałych zwierząt, którym towarzyszą nienawistne wobec „zwykłych, nieczułych Polaków" komentarze postępowych aktywistek i wielkomiejskich „Europejek"?

Ciekawe wnioski można też wyciągnąć z porównania opieki, którą cieszą się zwierzęta np. w Wielkiej Brytanii. Lekarze weterynarii są tam powszechnie szanowani i samozwańczy „aktywiści" nie ośmielają się prowadzić przeciw nim histerycznych nagonek. Ochroną zwierząt przed aktami okrucieństwa zajmuje się założona już w roku 1824 organizacja publiczna Royal Society for the Prevention of Cruelty to Animals (RSPCA). Zatrudnia ona prawie 2 tys. etatowych wysoce wykwalifikowanych pracowników i dziesiątki tysięcy dobrze zorganizowanych wolontariuszy. RSPCA może prowadzić samodzielne dochodzenia prokuratorskie i wnosić oskarżenia do sądów w sprawach, gdy naruszone zostały przepisy prawa. Nie jest ona jednak utrzymywana ze środków publicznych, które stanowią mniej niż 0,1 proc. jej wydatków. Źródłem dochodu organizacji są darowizny i zapisy testamentowe osób prywatnych.

Co najbardziej rzuca się w oczy, w statutach brytyjskich organizacji zajmujących się ochroną zwierząt niewiele przeczytamy o „miłości", „wrażliwości" i „macierzyńskich uczuciach" wobec zwierząt. Stale pojawia się tam pojęcie „odpowiedzialności". W prawie brytyjskim zwierzęta mają status przedmiotów i są własnością swoich posiadaczy. Ci ostatni zobowiązani są jednak do traktowania ich w sposób regulowany przepisami bezwzględnie egzekwowanego prawa. Ogromna większość zwierząt domowych na Wyspach objęta jest komercyjnymi ubezpieczeniami – kosztownymi, podobnie jak kosztowne są w Wielkiej Brytanii usługi weterynaryjne. W Polsce, gdzie „mamy psiecka" aż kipią na internetowych forach miłością do zwierząt, ubezpieczanie milusińskich „jakoś się nie przyjęło", a w razie „niespodziewanej choroby lub wypadku" właściciele organizować wolą „zrzutkę" lub domagać się powołania „zwierzęcego NFZ", finansowanego przez budżet państwa. Największe w Wielkiej Brytanii organizacje charytatywne (jak największa z nich – PDSA) mają za swoje zadanie pomaganie nie zwierzętom, a ich właścicielom w zapewnieniu podopiecznym opieki. Jasno deklarują jednak, że właściciel, by móc nie płacić za usługi weterynaryjne, musi być osobą rzeczywiście ubogą, o starannie zweryfikowanych, bardzo niskich dochodach, a zwierzę pod jego opieką może być tylko jedno. „Kocie mamy", które w porywie serca „adoptowały" wiele zwierząt, na leczenie których ich nie stać, oczekiwać powinny prędzej postępowania prokuratorskiego z powodu nieodpowiedzialnego traktowania podopiecznych niż rozgłosu i współczucia.

EGOISTYCZNA „MIŁOŚĆ"

Skąd bierze się zatem w Polsce szczególny, rozemocjonowany sposób odnoszenia się do zwierząt. Być może jest to pochodna najniższej w Europie dzietności

eprasa.pl f190bf5ce0

polskich kobiet? To nie zwierzęta jednak odpowiadają za decyzje milionów niedoszłych matek, które zamiast urodzić dziecko, zdecydowały się „obdarzyć miłością" czworonoga. Jest to niewątpliwie miłość łatwiejsza, której obiekt można wykastrować, wysterylizować lub uśpić – co w wypadku dzieci nie jest jeszcze, na szczęście, możliwe. Dziecka nie da się też wziąć na smycz, zostawić podczas urlopu w „hotelu dla dzieci" albo wsadzić do klatki i prowadzać się z nim, chce czy nie chce, po „przyjaznych" restauracjach – tych „przyjaznych dla zwierząt" zaczyna być w Polsce więcej niż lokali „przyjaznych dzieciom". Godna rozważenia jest teza, że zastępowanie rodzicielstwa posiadaniem zwierząt towarzyszących jest dowodem nie tylko postępującego rozkładu i wymierania naszego społeczeństwa, lecz także narastającej fali zaburzeń emocjonalnych wśród ludzi. Zająć się tym jednak powinni socjolodzy i psychiatrzy.

Nieobecnym prawie w polskiej debacie problemem jest udowodniona już naukowo szkodliwość „humanizacji" zwierząt domowych. To właśnie wynaturzona potrzeba doszukiwania się w czworonożnych pupilach dzieci doprowadziła do wielu zjawisk, które odczytać można jako przykłady ludzkiego „zezwierzęcenia", nie zaś wrażliwości wobec zwierząt. To właśnie potrzeba znalezienia w zwierzętach „dzieci" doprowadziła do hodowli zminiaturyzowanych i „krótkopyskich" (brachycefalicznych) ras psów, o „infantylnych" proporcjach. Dobierając do dalszego rozrodu osobniki zgodne z ludzkimi preferencjami estetycznymi („dziecięcym wyglądem"), wzmacniano takie cechy jak duże oczy, okrągła głowa i nieproporcjonalne, małe ciałko. Do ras takich zaliczamy mopsy, buldożki francuskie i angielskie, pekińczyki i wiele innych. Psy takie cierpią na dziesiątki specyficznych chorób. Mogą dusić się stale, co weterynarze nazywają „codziennym dyskomfortem oddechowym", szybko męczyć i omdlewać przy wysiłku. Częste są problemy okulistyczne – oczy niektórych ras „wypadają" przy urazie. Skrajna miniaturyzacja – bardzo popularna wśród polskich właścicielek „słodkich maleństw" – skutkuje hipoglikemią, kruchością kości, problemami z sercem, nie mówiąc już o niemożności porodu bez interwencji chirurgicznej. Choć hodowla ras „krótkopyskich" zakazana jest już w wielu krajach europejskich (Niemcy, Holandia, Norwegia), w Polsce słychać o tym niewiele.

Powszechne w Polsce wożenie zwierząt w wózkach, noszenie w plecaczkach i nosidełkach jest, poza nielicznymi wyjątkami natury medycznej, formą wynaturzonego okrucieństwa, skutkującą zanikami mięśni i stawów oraz zaburzeniami behawioralnymi i lękami separacyjnymi poddanych takiej „troskliwości" zwierząt. To samo powiedzieć można o ubieraniu czworonogów w „nibydziecięce" kostiumiki, skafanderki i śpioszki, które nie tylko stresują psy i uniemożliwiają im naturalną komunikację, ale też ograniczają swobodę ruchów i powodują przegrzanie. Patologiczne i bardzo szkodliwe dla psów jest stałe obdarzanie ich pieszczotami, przytulanie i całowanie. To, co zaburzonym emocjonalnie właścicielom wydaje się „wyrazami czułości", dla psów jest naruszeniem przestrzeni osobistej i formą kontroli psychicznej. Jeśli z czasem poddają się one takim praktykom, to świadczy to bardziej o ich lękach separacyjnych i zaburzeniach behawioralnych niż o czułości więzi, nawiązanej przez spanie z właścicielem „w jednym łóżeczku". Bardzo szkodliwe dla psów i kotów są próby hodowania ich na dietach wegetariańskich i wegańskich („Cała nasza rodzina jest na diecie, psiecko także"). Przenoszenie własnych etycznych wyborów żywieniowych na zwierzę świadczy tylko o bezmyślnym egoizmie właściciela, który naraża powierzone mu stworzenie na liczne zaburzenia zdrowotne.

Skrajnym przykładem okrucieństwa wobec zwierząt domowych są dokonywane legalnie w USA przeszczepy nerek u kotów. Ratujący życie swojego „kociecka" właściciel musi się liczyć z wysokim kosztem takiego zabiegu – sięgającym nawet 25 tys. dol. Zdarzają się nawet przypadki wykonywania operacji kotom 17–18-letnim, którym „kochający" właściciele przedłużają w ten sposób życie o bardzo krótki czas. Kot, od którego pobiera się nerkę, nazywany jest w takim wypadku „dawcą" (donor), co samo w sobie stanowi manipulację językiem nie mniej oburzającą niż wymyślenie terminu „psiecko". Kot niczego z własnej woli nie daje, a sam jest tylko ofiarą ludzkiej wynaturzonej emocjonalności i pychy. Przekraczanie granicy pomiędzy tym, co ludzkie, a tym, co zwierzęce, to zabieg krzywdzący tak zwierzęta, jak ludzi. Gorzej, jeśli staje się on elementem inżynierii społecznej, której niezbędnym elementem jest zakłamanie – czy raczej „uwspółcześnienie" języka. Odkrył to już „genialny językoznawca", Józef Stalin.

Zastęp polskich obrońców terminów „psie umieranie" i „psiecko" będzie zapewne w tej kwestii całkiem innego zdania.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Polacy wydają na zwierzęta prawie tyle, co na własne zdrowie

Według analiz firmy doradczej OC&C Strategy Consultants wartość rynku zoologicznego w Polsce (obejmującego karmy i akcesoria) osiągnęła w 2025 r. poziom blisko 9,6 mld zł. Jest to rynek, który w ostatnich pięciu latach notował średnioroczny wzrost na poziomie 14 proc. – wynik, którego pozazdrościć może wiele innych sektorów handlu detalicznego. Jak wynika z raportów za 2025 r. (m.in. dane YouGov), w samej tylko kategorii karmy dla psów i kotów Polacy zostawiają w kasach ok. 4,7 mld zł rocznie. Łącznie kupujemy blisko 381 tys. ton pożywienia dla naszych zwierząt w ciągu 12 miesięcy. A mówimy tu przecież tylko o fundamentalnej potrzebie, do której trzeba doliczyć koszty opieki weterynaryjnej, ubranka, wizyty u psiego fryzjera czy behawiorysty.

Według badań kondycji finansowej konsumentów („Sytuacja na rynku consumer finance", wrzesień 2025 r.) 48,7 proc. właścicieli wydaje na zwierzę od 101 do 300 zł miesięcznie. 11,9 proc. przeznacza na ten cel od 300 do 500 zł miesięcznie. 3,4 proc. ankietowanych deklaruje koszty przekraczające 500 zł każdego miesiąca. Przeciętne gospodarstwo domowe w Polsce przeznacza na utrzymanie zwierząt ok. 4 proc. ogółu swoich miesięcznych wydatków. To odsetek równy temu, ile wydajemy z domowych budżetów na odzież i obuwie. Co jednak najbardziej szokujące – jest to niemal dokładnie taka sama część domowego budżetu, jaką Polacy wydają na własne zdrowie.

(oprac. RAW)

eprasa.pl f190bf5ce0



Piotr Semka

Donald Trump nie odda Ziobry, skoro osobiście podjął decyzję, żeby go wpuścić. Sprawa jest zamknięta. Cały ten skomplikowany problem powinien uświadomić politykom Koalicji Obywatelskiej, że jest ich złudzeniem, że mogą na terenie Polski prowadzić brutalną, zimną wojnę polityczną z opozycją i jednocześnie nie będzie mieć to żadnych konsekwencji zewnętrznych



FOT. X.COM/TVN24/@KONTAKT_24

Wielki hałas wokół cichego zniknięcia

Szok, zaskoczenie, a potem nerwowe odreagowanie zmiany sytuacji poprzez wyzwiska i insynuacje. Tak w skrócie można przedstawić reakcje członków ekipy Donalda Tuska na opuszczenie Węgier przez Zbigniewa Ziobrę, a także – jak się zdaje – Marcina Romanowskiego. Ten kolejny epizod w długiej już historii walki obozu Koalicji Obywatelskiej z byłymi przedstawicielami rządu PiS znów jak w soczewce pokazuje konstytutywne cechy Koalicji 13 grudnia i tkwiące w przyjmowanym modus operandi przyczynach nieskuteczności obecnej władzy.

JAK GROM Z JASNEGO NIEBA

Członkowie rządu Donalda Tuska zdawali się być pewni, że wystarczy jedynie poczekać na objęcie władzy przez nowego premiera Węgier Pétera Magyara, a ich przyjaciel z Budapesztu poda im ściganych polityków „na tacy".

Ekipę platformersów mogła upewnić w tym wypowiedź Pétera Magyara, który 13 kwietnia, pytany podczas konferencji prasowej o przyszłość azylantów, stwierdził: „Węgry nie będą azylem dla międzynarodowych przestępców. Jeśli Ziobro i Romanowski nie mają nic na sumieniu, to radziłbym, aby spokojnie wracali do domu".

Lider partii TISZA wyraźnie zaznaczył, że jeśli obaj politycy nie opuścili jeszcze Węgier, to zostaną poddani ekstradycji. Magyar był tak wyraźnie zachwycony szansą na wypowiadanie się w sprawie Ziobry i Romanowskiego, że swoje wystąpienie okrasił dodatkowym żartem: „Panowie Romanowski i Ziobro nie powinni chodzić do IKEI i kupować mebli, ponieważ długo na Węgrzech nie zostaną".

Nie tylko szyderstwa kolegi z Budapesztu mogły utrzymywać Donalda Tuska w przekonaniu, że los obu polityków PiS jest już przesądzony. Dokładnie trzy dni po wypowiedzi Magyara, 16 kwietnia br., szef polskiej dyplomacji Radosław Sikorski pochwalił się, że ambasador USA w Polsce Tom Rose, pytany, czy USA przyjmą Zbigniewa Ziobrę, miał zapewnić polskiego szefa MSZ, że „nie ma takich planów ze strony Stanów Zjednoczonych".

eprasa.pl f190bf5ce0

Nic dziwnego, że w tej sytuacji opublikowanie zdjęcia Zbigniewa Ziobry na amerykańskim lotnisku w Newark koło Nowego Jorku wywołało sensację. Co groteskowe, MSZ ogłosiło, że zwróci się do USA o podstawy prawne w sprawie opuszczenia przez Zbigniewa Ziobrę Węgier i przyjęcia go do USA. Jeszcze bardziej groteskowe było przypomnienie przez rzecznika MSZ Macieja Wiewióra, iż „strona amerykańska była informowana o możliwym rozwoju sytuacji i ambasada USA zapewniała, że nie planuje umożliwiać wjazdu panu Ziobro na terytorium USA".

Ten ton oburzenia na „nielegalną ucieczkę" w większości polskich mediów trwał przez ponad dobę – dopóty, dopóki dziennikarze wyspecjalizowani w kwestiach prawnych nie przypomnieli podstawowego faktu. Od trzech miesięcy Sąd Okręgowy w Warszawie nie wydał ostatecznej zgody na aresztowanie Ziobry. A dopiero po wydaniu tej decyzji obecny rząd może myśleć o jakichkolwiek wnioskach o ekstradycję.

Co więcej, zarówno urzędnicy prokuratury, jak i politycy PO zaczęli tworzyć atmosferę sensacji wokół okoliczności wpuszczenia byłego ministra sprawiedliwości do Stanów Zjednoczonych. I znów całą tę grę w snucie niekiedy sensacyjnych teorii przerwał były senator Bogusław Sonik, który przypomniał podstawowy fakt. Ziobro jako azylant na Węgrzech uzyskał międzynarodowy dokument podróży dla uchodźców, tzw. titre de voyage, firmowany przez genewską organizację pomocy uchodźcom, którą wydały lokalne węgierskie władze po wyroku sądu w Budapeszcie przyznającym Ziobrze status uchodźcy. A dokument ten uprawnia do przekroczenia granic ok. 100 krajów. Jedyne, co może nadal być kwestią pytań, to to, czy Ziobro wjechał do Ameryki na tzw. wizę dziennikarską, uzyskując zgodę TV Republiki na przedstawienie się jako korespondent tej stacji.

I wreszcie ekipę Tuska mogło zaskoczyć jeszcze jedno. Formalnie do cofnięcia statusu uchodźcy dla Ziobry na Węgrzech potrzebny jest werdykt sądu. Jednak można założyć, że gdyby Magyar chciał zatrzymać Ziobrę, to byłby w stanie – zanim jeszcze objął formalnie urząd premiera – wywrzeć presję na policję, aby ta znalazła jakiś pretekst lub kruczek prawny do zatrzymania na granicy polskiego azylanta. To, że do tego nie doszło, oznaczać może, iż Magyar chciał się pozbyć kłopotu, tak aby nie obciążało to już hipoteki jego rządu. A Tusk odkrył, że nowy przywódca z Budapesztu dba przede wszystkim o swoje interesy, a nie o życzenia koalicji w Polsce.

Wszystkie te rozczarowania członkowie ekipy Tuska odreagowywali słownymi demonstracjami agresji. Radosław Sikorski – znów trafiając kulą w płot – szydził, że Ziobro opuścił Węgry, zostawiając Romanowskiego, co okazało się nieprawdą. Dyżurny zagończyk Platformy Bartosz Arłukowicz nazwał Ziobrę i Romanowskiego „gangusami". Życzliwe Tuskowi media pisały, że Ziobro „czmychnął".

Co znaczące, głosu nie zabrał tym razem, tak zazwyczaj chętny do komentarzy na platformie X, Donald Tusk. Tygodnik „Wprost" podał nawet, że wyjazd Ziobry do USA miał wywołać spore zamieszanie w rządzie. Według pisma konsekwencje może ponieść jeden z ministrów. Gazeta cytuje opinie z rządu, że cała sprawa może osłabić pozycję Waldemara Żurka: „Donald Tusk coraz bardziej wątpi w jego skuteczność". Nieudana operacja związana z wejściem nowych sędziów do Trybunału Konstytucyjnego, teraz ucieczka Ziobry. „Nawet jeśli prokuratura zrobi wszystko, co mogła, to wrażenie jest takie, że zbyt dużo było mówienia, a za mało efektów" – przyznaje polityk z obozu rządzącego.

Korzystając z okazji, prokuratura Żurka natychmiast uznała, że ogłoszenie przez TV Republika, iż Ziobro będzie ich korespondentem w USA, to okazja do odnowienia starej wojny z tym niezależnym od rządu medium.

Tomasz Sakiewicz otrzymał wezwanie na 20 maja do Prokuratury Generalnej jako świadek. Jak wyjawił w jednym z wywiadów medialnych wiceprokurator generalny Dariusz Korneluk, może chodzić o sprawdzenie, czy doszło „do tworzenia fałszywych dowodów dla osoby poszukiwanej". Korneluk nie wyjaśnił, w jaki sposób Sakiewicz mógł pomagać Ziobrze, który poza Polską nie jest ścigany i który posiada legalny międzynarodowy dokument podróży.

Na dodatek pojawiają się informacje mogące wskazywać, że rząd mógł wykorzystywać Agencję Bezpieczeństwa Wewnętrznego do inwigilowania Ziobry i Romanowskiego poza granicami Polski, co jest nielegalne.

Wrażenie szybkiego ratowania wizerunku rządu sprawiało pojawienie się w paru przychylnych Platformie mediach dywagacji, że Tuskowi wręcz na rękę był wyjazd Ziobry za ocean.

JAK PO GRUDZIE

Dziennik „Rzeczpospolita" trudno zaliczyć do gazet sprzyjających PiS. A jednak to właśnie na łamach tej gazety dwie cenione dziennikarki, Izabela Kacprzak i Grażyna Zawadka, sporządziły listę potknięć polskiej prokuratury w sprawie Ziobry i Romanowskiego, po przejęciu prokuratury przez ludzi Koalicji 13 grudnia. Jak wskazują autorki, rzecznik Prokuratury Krajowej Przemysław Nowak skompromitował się ogłaszaniem podejrzenia „niestandardowych zasad przekroczenia granicy przez podejrzanego", skoro Ziobro dysponował uchodźczym dokumentem podróży honorowanym przez sporą część państw świata. Ponadto wszelkie dywagacje ministra Żurka o ekstradycji są groteską, skoro sądy nie rozpoznały do tej chwili zażalenia jego obrońców na nakaz tymczasowego aresztowania – przez co nie ma prawomocnej decyzji w tym zakresie. A bez aresztu nie ma mowy o europejskim nakazie aresztowania dla Ziobry. Jak wskazują autorki, jeśli Ziobro nie był poszukiwany ENA ani międzynarodowym listem gończym, to nie był osobą ściganą w Europie. „Wydano za nim tylko krajowy list gończy, tymczasem »uciekł« z terenu Węgier, więc gdyby nawet przyjąć, że był ścigany, to trzeba byłoby szukać jego pomocników w ucieczce z terenu Węgier, a nie z Polski, bo stąd nie uciekał. Przypomnijmy: gdy wyjeżdżał z Polski, nie był wydany za nim nawet krajowy list gończy". A dopóki nie będzie prawomocnej decyzji polskiego sądu o aresztowaniu Zbigniewa Ziobry, dopóty wniosek w jego sprawie o ekstradycję z USA nie może być skierowany.

Zwróćmy uwagę na dwa znaczące fakty. Oto dwie publicystki „Rzeczpospolitej" wykazują się zdolnością do przeprowadzenia przekonującej analizy prawnej sytuacji Ziobry i Romanowskiego, na którą nie zdobył się żaden z asystentów czy to ministra Waldemara Żurka, czy rzecznika Prokuratury Krajowej Przemysława Nowaka. Obaj formułowali opinie pod wpływem atmosfery

eprasa.pl f190bf5ce0

szoku i wściekłości w kręgach rządowych, wykazując brak zrozumienia dla podstawowych regulacji prawnych.

Warto zwrócić też uwagę na coś jeszcze. 10 lutego 2026 r. prokurator wystąpił do sądu o wydanie europejskiego nakazu aresztowania wobec Ziobry. Ten wniosek nie został dotąd rozpoznany. Jednym z powodów jest liczba tomów akt, które muszą teraz przejrzeć sędziowie. Według mediów może to być aż 6 tys. tomów. Ale być może chodzi nie tylko o rozległość materiału. Można zastanawiać się, czy sędziowie podchodzą do sprawy z niezwykłą ostrożnością, gdyż doskonale czują polityczny kontekst śledztwa.

I jeszcze jedno podejrzenie: Donald Tusk zamieniając prokuratorów w narzędzie do politycznego prześladowania oponentów, może liczyć tylko na drugi i trzeci garnitur urzędników, którzy gotowi są do takiej swoistej prawniczej i politycznej „mokrej roboty". A to powoduje naturalny dobór negatywny. Do takich spraw garną się albo prokuratorzy ogarnięci osobistą chęcią zemsty na PiS za swoje prawdziwe lub domniemane krzywdy z ośmioletniego okresu rządów PiS, albo karierowicze. A ci często – jak się okazuje – wykazują się brakami doświadczenia i głębszej wiedzy prawniczej. Dlatego z taką lubością używano określeń „osoba ścigana", „niestandardowe zasady przekraczania granicy przez podejrzanego" czy chełpiono się takimi określeniami jak „uciekinier", „ścigany" i wreszcie dywagowano o rychłej procedurze ekstradycyjnej. Wszystko to język politycznej nawalanki, a nie precyzyjny, ale chłodny słownik doświadczonego prawnika.


Jak cyfrowa rewolucja wpływa na biznes i życie codzienne

Wydarzenia

Wydarzenia / Kraj / POLITYKA

Wszystkie potknięcia polskiej prokuratury. Zbigniew Ziobro z Marcinem Romanowskim grają na nosie organom ścigania

Polscy śledczy są o kilka kroków za Zbigniewem Ziobrą i Marcinem Romanowskim. Szanse na sprowadzenie z USA obu polityków PiS są praktycznie zerowe.

Zbigniew Ziobro i Marcin Romanowski

Izabela Kacprzak, Grażyna Zawadka

Z TEGO ARTYKUŁU SIĘ DOWIESZ:

FOT. RP.PL

HUZIA NA WASZYNGTON

Jak zwykle w tego typu okazjach w rolę najwierniejszego paladyna Donalda Tuska wcielił się Włodzimierz Czarzasty. Wypowiadając się na antenie Radia Zet, marszałek Sejmu ogłosił, że jeżeli Amerykanie nie wydadzą Ziobry, to „będziemy jako Polska musieli jeszcze raz przemyśleć politykę w stosunku do różnych decyzji, które mamy podejmować wspólnie z USA".

Ta zawoalowana pogróżka wobec Waszyngtonu była tak groteskowo buńczuczna, że następnego dnia Czarzasty musiał znacznie łagodzić swoją wypowiedź. Czarzasty mówił: „Nikt rozsądny nie będzie kształtował polityki Polski wobec USA zależnie od sprawy jednej osoby". Ekipa Tuska prowadzi swego rodzaju dziwaczną politykę braku równowagi. Raz Tusk wysyła sygnały lekceważenia wobec Ameryki, a innym razem zachowuje się tak, jakby jednak zależało mu na dobrych relacjach z Waszyngtonem. Na pewno stwierdzić można, że starania Radosława Sikorskiego o ustanowienie swoich specjalnych relacji z sekretarzem stanu Markiem Rubiem okazały swoje limity. Ludzie Ziobry czy – szerzej – przedstawiciele PiS dotarli do Waszyngtonu ze skargą na ustępowanie przez Rubia Sikorskiemu w sprawie byłego ministra sprawiedliwości i odnieśli sukces. Informacje, że decydująca była interwencja szefowej zespołu Białego Domu Susie Wiles, pokazuje, że Trump ma własne źródła informacji o sytuacji w Europie, szczególnie w odniesieniu do tych sił politycznych, które znajdują się na celowniku obozu liberalnego.

Okazało się, że obecność gości z Polski na kongresach CPAC może mieć swoje realne przełożenie na politykę amerykańską. Wiara w upokarzające obecną opozycję dogadywanie się ekipy Tuska z administracją Trumpa ponad głowami PiS okazała się złudzeniem.

To nie pierwszy zresztą raz, gdy Donald Trump ignoruje opinie sekretarza stanu Marca Rubia. W sprawach swojej polityki „balance of power" amerykański prezydent rozdziela kompetencje w kwestiach zagranicznych między wiceprezydenta J.D. Vance'a a Rubia. I z tego powodu opinie sekretarza stanu nie tworzą faktów niepodważalnych. Skorzystali na tym Ziobro i Romanowski.

Jak dość trzeźwo wskazuje analityk prof. Antoni Dudek, jeśli rząd Donalda Tuska będzie przy każdej okazji domagał się ekstradycji Ziobry, to popełni błąd, bo pogorszy to relacje polsko-amerykańskie. Donald Trump nie odda Ziobry, skoro osobiście podjął decyzję, żeby go wpuścić. Sprawa jest zamknięta.

Cały ten skomplikowany problem powinien uświadomić politykom Koalicji Obywatelskiej, że jest ich złudzeniem, że mogą na terenie Polski prowadzić brutalną, zimną wojnę polityczną z opozycją i jednocześnie nie będzie mieć to żadnych konsekwencji zewnętrznych. Tymczasem takie działania i takie słowne deklaracje są uważnie obserwowane i to, co w Polsce wydaje się ministrowi Żurkowi lub jego podwładnym czymś normalnym, za granicą nie jest akceptowane.

W tym sensie głosy lekceważenia, że sprawa Ziobry nie jest istotna, bo dotyczy mało znaczącego dziś polityka, są przykładem oderwania od rzeczywistości. Bo polityczno-prawna zemsta ekipy Tuska obnaża standardy, które dziś w Polsce są narzucane przez władzę. Tak już było, gdy sąd w Londynie nie podjął decyzji o ekstradycji do Polski byłego szefa RARS Michała Kuczmierowskiego. Kolejny raz powtórzyło się to, gdy Interpol odmówił wydania tzw. czerwonej noty wobec posła Marcina Romanowskiego. Najwyraźniej będąc przekonanym o czysto politycznych intencjach polskiej prokuratury. Teraz sprawa Ziobry przenosi wiedzę o wątpliwych praktykach obecnego rządu na grunt amerykański. I w tym sensie sprawa Ziobry ma znaczenie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl f190bf5ce0



Z Jackiem Hogą, prezesem fundacji Ad Arma
rozmawia Ryszard Gromadzki

PR zamiast dowództwa

RYSZARD GROMADZKI: Generał Wiesław Kukuła, szef Sztabu Generalnego Wojska Polskiego, w rozmowie z portalem Defence24 powiedział, że Polska będzie miała zdolność do głębokich uderzeń wyprzedzających na terytorium Rosji w wypadku wojny z tym państwem. Tajny projekt związany z tymi zdolnościami ma być już otwarty. Brzmi obiecująco, pod warunkiem że gen. Kukuła nie blefuje.

JACEK HOGA: Po pierwsze, w Polsce większość klauzul, w tym tajne i ściśle tajne, jest używana nie w celu ukrycia rzeczy, które powinny być ukryte, ale w celu ukrycia niekompetencji i bałaganu, który mamy od co najmniej 20 kilku lat w tych kwestiach. Po drugie, jeśli bylibyśmy w trakcie opracowywania zdolności do uderzenia na głębokie zaplecze nieprzyjaciela, to rzeczywiście potrzebna jest tajność. Natomiast jeśli te kompetencje się już osiągnęło, to trzeba krzyczeć z dachów i gór na ten temat, bo po to są takie kompetencje, żeby zniechęcić potencjalnego nieprzyjaciela do agresji. Wreszcie, mając doświadczenie i kontakty w przemyśle zbrojeniowym, zarówno prywatnym, jak i państwowym, obawiam się, że nie jest to opcja druga, czyli rzeczywiste ukrywanie do momentu osiągnięcia zdolności, bo firmy, które posiadają bliskie temu kompetencje, od lat nie mogą się doprosić, żeby rozpocząć współpracę z MON w zakresie realizacji tychże kompetencji.

Czy sytuację może poprawić program SAFE? Według rządowej propagandy uczestnictwo Polski w tym projekcie ma być kołem zamachowym dla naszej zbrojeniówki, skutkującym skokowym wzrostem potencjału polskiej armii.

Problemem polskiej armii nie jest brak pieniędzy. Głównym problemem jest brak pomysłu na armię i brak SKiD, czyli systemu kierowania i dowodzenia oraz rządzenie poprzez PR, a więc unikanie jak ognia wszystkiego, co może skutkować obniżeniem, choćby czasowym, wyników wyborczych aktualnej koalicji rządzącej. To samo miało też miejsce za poprzedniej władzy. Nie ma takich pieniędzy, których nie da się „przepalić", zwłaszcza jeśli się nie ma ogólnego planu. To tak, jakbyśmy zamawiali beton na wylewanie stropu czy kupowali kute balustrady do pięknych balkonów, a nadal nie mieli projektu domu, wizji, jak on ma wyglądać, czy ma być piętrowy czy parterowy, jaką metodą ma być budowany. Tak właśnie wygląda polska armia. To nie pieniędzy teraz potrzebujemy, jakkolwiek to dziwnie brzmi, ale przygotowania metody ich wydawania. A na stworzenie metody wydawania nie potrzeba pieniędzy. W związku z czym, bez dobrego planu, co chcemy osiągnąć, w jakim terminie, w jaki sposób, biorąc pod uwagę relację koszt – efekt, to bez sensu jest wydawanie kolejnych pieniędzy, szczególnie w mechanizmach ponadrządowych czy ponadpaństwowych.

A więc opowieści ministra obrony Kosiniaka-Kamysza, o tym, że do 2030 r. Polska zbuduje półmilionową, największą i najsilniejszą armię w Europie, trzeba traktować wyłącznie w kategoriach PR, bez związku z rzeczywistością.

Oczywiście, że tak. Zwłaszcza jeśli ten sam wicepremier mówi, że w ciągu roku grozi nam wojna, a jego szef straszy, że nastąpi to w perspektywie kilku miesięcy, a jednocześnie nie ma mobilizacji gospodarki, nie ma podniesienia gotowości jednostek wojskowych. Planują mieć armię dobrą na 2030 r., a równocześnie mówią, że za kilka miesięcy będziemy mieć wojnę. To wszystko się po prostu nie dodaje. Jeśli naprawdę grozi nam wojna, to powinni robić to, o czym przed chwilą powiedziałem; jeśli tego nie robią, to albo są obłąkani, albo kłamią.

Abstrahując od propagandy, wojna z Rosją jest realna?

Im słabsza będzie polska armia, im bardziej niekompetentnie będzie się zachowywać polski rząd, tym większe jest ryzyko wojny.

Ewentualne ściągnięcie do Polski kontyngentu 5 tys. amerykańskich żołnierzy, który prezydent Trump zamierza wycofać z Niemiec, zwiększy nasze bezpieczeństwo?

Absolutnie nie. Wojska amerykańskie w Polsce, kosztem Niemiec? Bez względu na to, kto jaką opcję polityczną lubi czy jaki układ w polityce międzynarodowej obstawia, to musi wziąć pod uwagę, że jeżeli Niemcy i Dania są skonfliktowane ze Stanami Zjednoczonymi, nawet tylko na płaszczyźnie dyplomatycznej, to obecność jakichkolwiek sił amerykańskich na terenie Polski jest pozbawiona sensu, tak samo jak posiadanie jakiegokolwiek amerykańskiego sprzętu wojskowego pozbawione jest jakiegokolwiek sensu. Chyba że mamy plany zdobycia siłą przesmyku Cieśnin Duńskich.

To oczywiście argumentacja ad absurdum, bo jedyną drogą dotarcia amerykańskiej logistyki i wsparcia są Niemcy i Dania. W związku z czym cieszenie się, że kosztem Niemiec, w wyniku konfliktu dyplomatycznego między Niemcami a Stanami Zjednoczonymi, wojska amerykańskie z Niemiec przeniosą się do Polski, jest aberracją.

Pytałem o realność wybuchu wojny z Rosją, ale czy dowództwo Wojska Polskiego nie powinno mieć także opracowanych planów ewentualnościowych na wypadek wojny z Niemcami czy Ukrainą? Dziś takie scenariusze wydają się egzotyczne, jednak nie można ich kategorycznie wykluczyć w przyszłości.

Wojna z Niemcami wydaje mi się scenariuszem dość mało prawdopodobnym ze względu na kryzys przywództwa

eprasa.pl f190bf5ce0

państwa niemieckiego. Partia, która najwięcej zyskuje, uważana jest za wrogą porządkowi konstytucyjnemu i wewnętrznemu federacji niemieckiej. Stąd też wydaje mi się, że nie jest to zagrożenie realne.

Natomiast armia powinna być uniwersalnym narzędziem, które będzie w stanie realizować interesy państwa polskiego, a więc nie tylko obronę granic państwa w różnych wariantach, niekiedy dziwnych, w wojsku powinno się ćwiczyć. Nie tylko te najbardziej prawdopodobne, ale i te, które mogą wydawać się wręcz nieprawdopodobne. Nie jest to żadne dyplomatyczne faux pas, lecz sposób ćwiczenia oficerów sztabowych w nieschematyczny sposób. Na przykład scenariusz wsparcia Armenii w walce z Azerbejdżanem lub inny wariant.

Obrony przed napaścią Ukrainy również...

Oczywiście, że tak. Podobnie jak wariant pacyfikacji „Nowych Szwedów" gdzieś na południu Szwecji czy zajęcia Bornholmu w celu zapewnienia bezpieczeństwa polskiej żeglugi. Nie dlatego, że chcemy to naprawdę zrobić, ale po to, żeby przećwiczyć różne warianty.

Na ile dotkliwe dla naszych sił zbrojnych mogą być reperkusje wojny Stanów Zjednoczonych i Izraela z Iranem? Czego możemy się spodziewać w związku z nową sytuacją, która wywiązała się po agresji USA i Izraela na Iran?

Zatrzymania dostaw. Przejmowania dostaw już opłaconych. Amerykanie ogłosili to już w trakcie aktywnej fazy konfliktu z Iranem. W związku z tym to, czy się lubi Stany Zjednoczone czy nie, jest bez znaczenia. Jest to sojusznik na antypodach. Z perspektywy geografii i strategii to najgorsze miejsce na posiadanie sojusznika. To może być przyjazne państwo, z którym mogą nas łączyć dobre relacje, możemy mieć z nim jakiś sojusz. Natomiast z perspektywy analizy bezpieczeństwa państwa powinniśmy być jak najbliżej sojuszników i jak najdalej wrogów. Robimy dokładnie na odwrót. To nie znaczy, że na siłę mamy szukać nowych sojuszy, lecz urealnić prawdopodobieństwo wsparcia nas przez mocarstwo, które rzeczywiście miało zdolność ogólnoświatowej projekcji siły, ale na dziś to państwo nie jest w stanie otworzyć cieśniny Ormuz i jest



w głębokim kryzysie konstytucyjnym i kryzysie wojskowości.

To samo dotyczy rządzącej partii. Rewolucja technologiczna, z którą mamy obecnie do czynienia w wojsku, sprawia, że po raz pierwszy od prawie 100 lat państwa średnie mają szanse i możliwości walczyć jak równy z równym z mocarstwami. To jest okazja, którą niestety my omijamy, a która najbardziej uderzy w hegemonów i te państwa, które opierają swój system bezpieczeństwa na sojuszu z hegemonem.

Asymetryczna strategia, którą z powodzeniem stosował Iran w wojnie z USA i Izraelem, jest do przetransponowania na polski grunt przynajmniej w jakimś zakresie. Nawiązuję do pomysłu, którym podzielił się w mediach Sławomir Mentzen, proponując organizację młodzieżowych zawodów w sterowaniu dronami. Być może to pierwszy krok w budowaniu realnych zdolności naszego państwa w tym obszarze, w przyszłości.

Republika Litwy już robi tego typu rzeczy. Ćwiczenia poprzez konkursy i zawody to nie jest nowy wynalazek. Polska podobnie jak inne państwa w Europie już 100 lat temu rozwijała aerokluby szybowcowe czy zachęcała młodzież do skoków ze spadochronem. To było normalne. Dzisiaj tego nie robimy. To nie jest zarzut, że pan Mentzen nie jest oryginalny, to jest zarzut dla jego krytyków, że nie znają historii i nie mają kompetencji do analizy tego, co jest potrzebne, a najbardziej oczywiste i naturalne propozycje są dla nich szokujące.

Mówił pan, że z punktu widzenia geografii i strategii taki sojusznik jak Stany Zjednoczone wcale nie jest dla Polski optymalny. Ale alternatywa też jest mało przekonująca. Bo jak inaczej mówić o Unii Europejskiej, z forsowanym przez nią projektem tzw. armii europejskiej?

Niezależnie od tego, jakie intencje przyświecają temu projektowi, czy są one dobre, czy złe dla Polski, jest to projekt prowadzony przez instytucję biurokratyczną niezdolną do „dowiezienia" merytorycznie jakiegokolwiek tematu. A co do sojuszów, to nie jest moment na

eprasa.pl f190bf5ce0



FOT. ADOBE STOCK

zmienianie sojuszów. To jest moment na skokowe zwiększanie naszych zdolności, do czego potrzebna jest niemal rewolucja w wojsku i w systemie państwowym, na poziomie konstytucyjnym. Tylko w ten sposób możemy uzyskać zdolności do realizacji dobrych pomysłów, np. pomysłu ćwiczebnego w postaci mobilizacji jednej brygady. To jest coś, o czym fundacja Ad Arma mówi od lat. Rozmawiamy o tym od dawna z przedstawicielami administracji państwowej na różnych szczeblach. To, co ich hamuje, to strach przed kompromitacją.

Chce pan powiedzieć, że polskie wojsko nie ma zdolności rozwinięcia w polu jednej brygady?

Nie. To nie znaczy, że nie ma. Przeprowadzenie takiego ćwiczenia ujawniłoby, jaka jest rzeczywista zdolność. Jeżeli mielibyśmy taką zdolność, to kolejnym krokiem powinno być zmobilizowanie w ciągu kilku kolejnych miesięcy dywizji. Być może okazałoby się, że system działa o wiele lepiej, niż mówią ludzie nadmiernie krytykanccy, cytując złośliwców. Natomiast jeżeli okazałoby się, że mobilizacja brygady by nie wyszła, to znaczy, że trzeba gwałtownie rozpocząć reformę Wojska Polskiego i pociągnąć do odpowiedzialności dowódców. Dowódcę generalnego, dowódcę operacyjnego, szefa Sztabu Generalnego, dowódcę tejże brygady, bo wszystkie te osoby są odpowiedzialne za utrzymywanie gotowości bojowej. Jeśli jej nie ma, to znaczy, że oni złamali swoje obowiązki. O ile dobrze pamiętam, grozi za to do 10 lat więzienia.

Powiedział pan, że największym problemem Wojska Polskiego jest brak Systemu Kierowania i Dowodzenia. Jak wobec tego należy ocenić jakość najwyższego dowództwa naszej armii?

Myślę, że powinniśmy oceniać drzewo po owocach. Jeżeli szefem Sztabu Generalnego jest człowiek, który nigdy nie dowodził żadną jednostką operacyjną, a rodzaj sił zbrojnych, który obiecał stworzyć w ramach tworzenia, którego tak wysoko awansował, nie ma zdolności ani liczebności takiej, jaka była obiecana na 2019 r., a jednocześnie budżet jest wielokrotnie przekroczony, to znaczy, że ten człowiek jest po prostu niekompetentny i powinien odpowiedzieć za to prawnie przed prokuratorem wojskowym, a nie dowodzić całymi siłami zbrojnymi Rzeczypospolitej Polskiej.

Wszystkie gminy złożyły w urzędach wojewódzkich plany ewakuacyjne, do czego obligowała je ustawa o ochronie ludności i obronie cywilnej. Gdzie mają być ewakuowani Polacy, skoro w naszym kraju de facto nie istnieje żadna infrastruktura, gdzie ludzie mogliby się schronić w wypadku wojny?

Jednym z głównych celów wojny napastniczej w sytuacji, w której nie mamy na terenie państwa napadniętego mniejszości własnej, są czystki etniczne. Jeżeli będąc napadniętym, sami przeprowadzimy czystkę etniczną, to tylko zaszkodzimy państwu polskiemu i narodowi polskiemu. W związku z czym wszelkie plany masowej ewakuacji ludzi czy przemysłu są pozbawione sensu. Ci ludzie powinni tam dalej żyć i mieć z czego żyć. Przepisy powinny być zmienione na kształt ustawy Wilczka. To znaczy po pierwsze, realnie uwolnić działalność gospodarczą w Polsce, po drugie, nastawić przepisami społeczeństwo na lokalną produkcję podstawowych dóbr, które umożliwią przetrwanie, przede wszystkim żywności.

Takie działanie zwiększa odporność całego państwa. Jeżeli społeczeństwo jest w stanie sobie poradzić, to struktury państwa mogą się skupić na prowadzeniu wojny. Dzisiaj mamy sytuację, w której społeczeństwo jest słusznie głęboko nieufne wobec państwa polskiego. I to jest sojusz, który w pierwszym rzędzie należy odnowić. Sojusz między społeczeństwem a państwem. Polskie państwo ma tylko jednego rzeczywistego sojusznika, na którego może liczyć: własne społeczeństwo. Jeżeli tego społeczeństwa nie zacznie traktować jak partnera, to nie widzę dużych szans na przetrwanie obecnego systemu konstytucyjnego.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



Jacek Hoga
– ekspert w zakresie wojskowości, prezes fundacji Ad Arma.

eprasa.pl f190bf5ce0



Łukasz Warzecha

Czy Konfederacja się podzieli?



Posłowie Konfederacji w Sejmie: Sławomir Mentzen, Przemysław Wipler (w pierwszym rzędzie), Krzysztof Bosak (w drugim rzędzie) FOT. ADAM CHEŁSTOWSKI/FORUM

Artykułowanie różnic między Krzysztofem Bosakiem a Sławomirem Mentzenem przez obu tych polityków może być strategią, którą zaplanowali: grą w dobrego i złego policjanta. Trzeba też wziąć pod uwagę, że coraz bardziej daje o sobie znać realny rozdźwięk ideowy między narodowcami a wolnościowcami

Wpis Krzysztofa Bosaka, komentujący wypowiedź Sławomira Mentzena, był jednym z wielu odnoszących się do ostrych słów lidera Nowej Nadziei o gen. Wiesławie Kukule. Był jednak szczególny i stanowił swego rodzaju granicę. Po raz pierwszy tak wyraźnie, jednoznacznie i bez niedomówień wydarzyło się to, co jest codziennością dla systematycznie słabnącego Prawa i Sprawiedliwości: jeden z dwóch liderów Konfederacji skrytykował ostro i publicznie drugiego.

Przypomnijmy sekwencję zdarzeń. We wrześniu ubiegłego roku nad Polskę nadleciała od wschodu większa grupa dronów. Większość z nich – choć nadal nie mamy całościowego podsumowania ze strony prokuratury wojskowej i Ministerstwa Obrony Narodowej – to tanie maszyny prymitywnej wręcz konstrukcji. Co oczywiście nie oznacza, że nieszkodliwe. Na tym właśnie polega technologia dronowa: jak najtaniej ma powstać skuteczne i groźne narzędzie. Generał Kukuła gościł niedługo potem w „Faktach po Faktach" stacji TVN, gdzie oznajmił, że do kosztujących kilkanaście tysięcy euro dronów ze styropianu należy strzelać nawet rakietami po milion dolarów za sztukę, gdyż „liczy się życie Polaków na ziemi". Do tych słów odniósł się podczas jednego ze spotkań z wyborcami w maju br. Sławomir Mentzen następująco: „Ten człowiek jest nienormalny, w sensie on nie ma kompetencji, żeby być kapralem. On nigdy niczym tak naprawdę nie dowodził. Wziął się z tej jednostki specjalnej z Lublińca i nigdy niczym nie dowodził, a teraz ma całą naszą armię […]. Ten człowiek wprost mówi, że on by strzelał rakietami za 100 mln za sztukę do tych dronów ze sklejki, wysyłanych tutaj ze wschodniej granicy, gdyby tylko to miało tam jakąś jedną rzecz uratować. To jest niepoważne. Ten człowiek nie ma zielonego pojęcia o ekonomii wojny, o ograniczeniach zasobów".

Wpis Krzysztofa Bosaka był reakcją na te właśnie słowa i zaczynał się – jak na wicemarszałka Sejmu – wyjątkowo ostro: „Wypowiedź Sławomira Mentzena na temat szefa Sztabu Generalnego generała Wiesława Kukuły nie tylko jest obraźliwa, ale jest niezgodna z prawdą". Dalej następował długi wywód w obronie generała. Partyjny kolega Bosaka nie tylko jednak nie odpuścił, lecz także poszedł dalej w swojej krytyce szefa Sztabu

eprasa.pl f190bf5ce0

Generalnego Wojska Polskiego. Wkrótce w mediach społecznościowych Mentzena pojawiła się jego wypowiedź ze spotkania z wyborcami, w której oznajmiał, że żałuje, iż nie użył mocniejszych słów, oraz w której diagnozował stan polskiej armii jako dramatyczny.

ROZPISANE ROLE

Reakcja na całą tę wymianę zdań była symptomatyczna. Słowa wicemarszałka Bosaka zostały dostrzeżone jedynie przez przeciwników Konfederacji, i to wyłącznie jako dowód na jej postępujący rozpad. Ta ich część, która odnosiła się do stanu polskiej armii, została całkowicie pominięta – nic zresztą dziwnego, skoro nic specjalnego nie wnosiła, była raczej gładka i sztampowa. Pomijano również następujący akapit: „Jestem przekonany, że wypowiedź Sławomira Mentzena wynikała z dobrych intencji, ale jeśli chodzi o wiedzę i kompetencje szefa SG, Mentzen został źle poinformowany przez doradców, a jeśli chodzi o wypowiedź generała, to po prostu błędnie ją zrozumiał […]. Ta wypowiedź była dwuznaczna, patetyczna i pewnie niepotrzebna, ale słuchajmy siebie nawzajem z dobrą wolą!". Z kolei słowa Sławomira Mentzena komentowano wyłącznie w kategoriach rzekomej obrazy gen. Kukuły, obchodząc szerokim łukiem zawartą w nich diagnozę stanu Wojska Polskiego.

Krytykę lidera Nowej Nadziei wyrażoną przez lidera Ruchu Narodowego skwapliwie wykorzystała polityczna konkurencja Konfederacji, a zatem przede wszystkim politycy PiS, wytrwale starający się realizować zalecenie Jarosława Kaczyńskiego, aby na wszelkie sposoby wbijać klin pomiędzy dwie części tego ugrupowania. Role, które przypisują każdemu z jej liderów, są od dawna na Nowogrodzkiej rozpisane. Krzysztof Bosak ma robić za odpowiedzialnego państwowca, który na pewno nie podejmie nigdy współpracy z Donaldem Tuskiem i z którym można ewentualnie stworzyć koalicję. Sławomir Mentzen to zaś zwolennik „dzikiego liberalizmu", „chłopiec w krótkich spodenkach", który marzy o zawarciu porozumienia z Koalicją Obywatelską i z którym absolutnie nie da się współrządzić.

Czy można zakładać, że wicemarszałek Sejmu dał się ponieść emocjom i nie zdawał sobie sprawy, jak zostanie wykorzystana jego krytyka Sławomira Mentzena? Mało prawdopodobne. Raz, że Krzysztof Bosak to polityk ze sporym już doświadczeniem, bardzo dobrze wiedzący, jak funkcjonują media i na co czekają rywale Konfederacji; dwa, że sama jego wypowiedź jest sformułowana w charakterystycznym dla niego spokojnym i wyważonym tonie, trudno zatem uznać, że została stworzona w emocjach. Te prędzej można by przypisać samemu Mentzenowi. O co więc tutaj chodzi i dlaczego wicemarszałek Bosak postanowił podać piłkę przeciwnikom własnej formacji?

Są dwa wyjaśnienia. Które z nich jest bardziej prawdopodobne – trudno orzec, patrząc jedynie z zewnątrz. Znaczenie ma tutaj bowiem specyficzna dynamika wewnętrzna tej w gruncie rzeczy koalicyjnej formacji, kierowanej przez 12-osobową Radę Liderów. Po sześcioro przedstawicieli mają w niej Nowa Nadzieja i Ruch Narodowy – przy czym o ile zasiada w niej Bosak, o tyle nie ma w niej Mentzena (jest to jednak skutek jego własnej decyzji). Sekretarzem jest powiązany z Nową Nadzieją Krzysztof Rzońca, a skarbnikiem – należący do narodowców Michał Wawer.

Pierwsze wyjaśnienie zakłada świadomą grę na dwóch fortepianach. Konfederacja działała już w ten sposób wielokrotnie, aczkolwiek w niektórych sytuacjach można mieć wątpliwości, na ile była to kwestia świadomie realizowanej strategii, a na ile „po prostu tak wyszło", jak choćby w przypadku słynnego „piwa z Mentzenem", kiedy przed zeszłorocznymi wyborami prezydenckimi w pubie toruńskiego polityka on sam spotkał się z Radosławem Sikorskim. Do dzisiaj tamta sytuacja wypominana jest Mentzenowi w tonie zarzutu zwłaszcza przez komentatorów bliskich PiS. Obrońcy działań lidera Nowej Nadziei wskazują natomiast, że tamto posunięcie miało zrównoważyć wrażenie, powstające wtedy za sprawą działań Krzysztofa Bosaka, że Karol Nawrocki może liczyć na bezwarunkowe poparcie Konfederacji tylko dlatego, że jest przeciwnikiem Tuskowego nominata na urząd prezydenta.

Gdyby przyjąć, że jesteśmy świadkami zaplanowanej strategii, oznaczałoby to, że dwaj liderzy Konfederacji podejmują grę w dobrego i złego policjanta. Przywódca Ruchu Narodowego ma obsługiwać politycznie skrzydło „patriotyczne", a przywódca Nowej Nadziei – skrzydło wolnościowe. Po najbliższych wyborach, których rezultat może być bliski patowi, Bosak mógłby prowadzić negocjacje z PiS, a Mentzen – z Koalicją Obywatelską. Tu przypomnieć trzeba, że Konfederacja nie odwołała nigdy swojego pragmatycznego stanowiska, iż liczy się, kto wiarygodnie zobowiąże się do realizacji jej postulatów, nie ma zatem mowy o akceptowaniu czy odrzucaniu a priori tego czy innego partnera politycznego. Poza tym w sytuacji, gdy ugrupowanie staje się języczkiem u wagi, bez którego nie da się sformować rządu – albo przynajmniej zapewnić dla niego wotum zaufania – możliwość rozmów z obiema stronami daje skuteczny lewar. Jeśli taka formacja z góry odrzuciłaby jedną ze stron, to automatycznie stawiałaby się na przegranej pozycji i radykalnie ograniczałaby swoje pole manewru. Nic dziwnego, że właśnie do tego chce uparcie doprowadzić PiS, domagając się od dawna, aby Konfederacja zadeklarowała, że nigdy nie wejdzie w porozumienie z Donaldem Tuskiem. Jarosław Kaczyński doskonale wie, że domaga się w ten sposób decyzji skrajnie dla Konfederacji niekorzystnej, której ta podjąć nie może.

WSPÓLNOTA CZY JEDNOSTKA?

Jest jednak możliwe alternatywne wytłumaczenie: być może drogi obu konfederackich liderów zaczęły się realnie rozjeżdżać, a ich polityczne plany są już mocno różne. O trafności takiej interpretacji świadczyłaby analiza sposobu, w jaki kształtują oni swój wizerunek już od jakiegoś czasu. Wypowiedzi na temat Wojska Polskiego i gen. Kukuły są tutaj znakomitym przykładem. Krzysztof Bosak – nie tylko w tej sprawie oczywiście – wypowiada się miękko i niezaczepnie. To prawda, że wicemarszałek Sejmu zrobił swój znak firmowy ze spokojnego, merytorycznego tonu wypowiedzi. Pod tym względem jego wizerunek jest spójny. Zachodzi jednak subtelna różnica między dbaniem o merytorykę a unikaniem wszelkiej konfrontacji. Sposób, w jaki Krzysztof Bosak w ostatnich miesiącach buduje swoją obecność w polityce, można uznać za przygotowanie gruntu

eprasa.pl f190bf5ce0

pod własną pozycję w nowym powyborczym układzie z Prawem i Sprawiedliwością. Wygląda to tak, jakby liderowi Ruchu Narodowego zależało na dwóch kwestiach: po pierwsze – na dbaniu o to, aby w przyszłości nie można mu było przypomnieć, że atakował PiS czy – szerzej – fundamenty obecnego układu politycznego, wspartego przez dwóch Atlasów – Jarosława Kaczyńskiego i Donalda Tuska; po drugie – na przyzwyczajaniu własnych wyborców do myśli, że to PiS jest domyślnym i jedynym akceptowalnym sojusznikiem. Stałoby za tym założenie, że dalsze czekanie na przejęcie odpowiedzialności za władzę nie jest już akceptowalne. Długi marsz Konfederacji, a przynajmniej Ruchu Narodowego, musiałby się skończyć już wkrótce.

Taka hipoteza staje się jeszcze bardziej prawdopodobna, gdy przyjrzeć się tezom, płynącym z mocnego zaplecza intelektualnego Ruchu Narodowego, którym jest w znacznej mierze środowisko portalu Nowy Ład czy pisma „Polityka Narodowa". Widać tam powtarzające się ataki na klasyczną myśl liberalną i wyraźną akceptację dla nawet agresywnego etatyzmu, będącego znakiem firmowym PiS.

W opublikowanej w ubiegłym roku przez środowisko Nowego Ładu obszernej programowej książce „O Polsce i polskości w XXI wieku" znajdziemy m.in. taką deklarację: „Ze wspólnotowego punktu widzenia liberalizm stanowi błąd antropologiczny, którego konsekwencje przeorały cywilizację zachodnią, prowadząc do upadku współczesnego społeczeństwa". W rozdziale „Wolność vs. liberalizm" przeczytamy, że jednostka nie może stać ponad wspólnotą. W innym miejscu (rozdział „Solidaryzm społeczny") napisano z kolei: „Solidaryzm odrzuca antynarodowe w istocie doktryny liberalizmu ekonomicznego, opartego o indywidualizm, a w praktyce też egoizm". Na ubiegłorocznym kongresie „Wielka Polska 2.0", gdzie prezentowano deklarację Nowego Ładu, obecny był Krzysztof Bosak. Pod częścią tez ze wspomnianej książki Nowego Ładu bez wahania mogliby się podpisać politycy PiS z Jarosławem Kaczyńskim na czele.

Z kolei w szeroko pojętej orbicie intelektualnej Nowej Nadziei pojawiają się środowiska głoszące poglądy wręcz radykalnie sprzeczne z tymi deklaracjami, takie jak Instytut Ludwiga von Misesa, Fundacja Wolności Gospodarczej Marka Tatały (powołana przez przedsiębiorcę Arkadiusza Musia) czy Warsaw Enterprise Institute (gdzie kierownictwo od Tomasza Wróblewskiego przejął niedawno Piotr Palutkiewicz). W sferze idei rozjazd pomiędzy Ruchem Narodowym a Nową Nadzieją staje się wyraźniejszy niż być może w jakiejkolwiek innej. Instytut Ludwiga von Misesa od lat promuje w Polsce nie tylko ideę liberalną, ale nawet libertariańską, opierając się na myśli twórców austriackiej szkoły ekonomii. Mikołaj Pisarski, były prezes instytutu, będący także doradcą zarządu Forum Obywatelskiego Rozwoju Leszka Balcerowicza, jest zarazem jednym z ważniejszych doradców Mentzena. Dla kogoś, kto rozumuje w kategoriach metapolitycznych, jasne jest, że nie sposób pogodzić tez Nowego Ładu, bazujących po części na myśli Carla Schmitta, z ideami klasycznego liberalizmu, opartymi na myśli Friedricha von Hayeka czy Ludwiga von Misesa.

Konflikt wewnętrzny w ugrupowaniu Jarosława Kaczyńskiego coraz bardziej nieuchronnie wydaje się prowadzić do rozpadu

CHAOS PO PRAWEJ STRONIE

Sławomir Mentzen – jeśli przyjrzeć się jego wypowiedziom – wydaje się stawiać na kontynuację długiego marszu, a przynajmniej uwzględniać możliwość, że nie da się go już zakończyć. W kontraście do swojego kolegi z partii sygnalizuje, że jeżeli po wyborach nie pojawi się wystarczająco satysfakcjonująca oferta, spokojnie można czekać dalej na swoją kolej. Inaczej niż Bosak Mentzen bardzo często daje do zrozumienia, że opieranie gmachu polskiej polityki na dwóch starszych panach, Jarosławie Kaczyńskim i Donaldzie Tusku, jest toksyczne, a wchodzenie w sojusz z którymkolwiek z nich przedłużałoby trwanie tego patologicznego układu. Jest w tym pewien paradoks, bo w grupie wyborców prawicy krytycznych lub nieufnych wobec Konfederacji to Mentzen jest uznawany za „sprzedajnego", podczas gdy w istocie jest dziś bardziej antysystemowy od Bosaka.

Czy zatem oba człony Konfederacji nadal spaja skądinąd bardzo słuszne przekonanie, że tylko kontynuacja współpracy pod jedną marką polityczną zapewni im mocną pozycję? To wciąż najmocniejsze spoiwo tego małżeństwa coraz bardziej z rozsądku, nie z przekonania. Dziś jednak trudno na to pytanie odpowiedzieć. Jak to w polityce bywa, mają tu znaczenie również osobiste ambicje.

Przed ostatnimi wyborami prezydenckimi Krzysztof Bosak poświęcił je na rzecz jedności Konfederacji, ustępując Sławomirowi Mentzenowi wyścig po prezydenturę. Ten ostatni wykorzystał tę okazję maksymalnie, wzmacniając swoją polityczną pozycję imponującym wynikiem blisko 3 mln głosów. Lider Nowej Nadziei chciałby z pewnością odesłać na emeryturę Jarosława Kaczyńskiego i swojej szansy może upatrywać w chaosie, jaki powstanie po umownej prawej stronie po nieuchronnie coraz bliższym zniknięciu prezesa PiS z polityki. Prezes Ruchu Narodowego z kolei może mieć zasadne poczucie, że raz już się znacząco posunął i nie można od niego tego oczekiwać ponownie.

Im bliżej wyborów, tym presja na obu liderów będzie rosła. Na razie pozytywnie weryfikowana była teza, że wspólnie Nowa Nadzieja i Ruch Narodowy osiągają więcej, niż mogłyby osobno. Nie bez znaczenia jest tu kwestia wizerunkowa – dobiegające z PiS kolejne rewelacje wskazują, że o żadnym uspokojeniu nie ma mowy, a konflikt wewnętrzny w ugrupowaniu Jarosława Kaczyńskiego coraz bardziej nieuchronnie wydaje się prowadzić do rozpadu. Na tym tle wciąż zjednoczona Konfederacja może dodatkowo zapunktować. Z drugiej jednak strony ewentualny rozpad PiS może spowodować, że Krzysztof Bosak mógłby uznać, iż nawet działając osobno, stałby się dla kulejącego ugrupowania Kaczyńskiego dość mocnym partnerem, aby zakończyć sojusz z Mentzenem. Czy ten ostatni wyciągnąłby wówczas rękę do Mateusza Morawieckiego, którego fizjonomia pojawia się w toruńskim pubie lidera Nowej Nadziei na wywieszonych w toalecie karykaturalnych banknotach?

To już temat na inną opowieść.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl f190bf5ce0



FOT. ADOBE STOCK

Czeski odwrót



Radosław Wojtas

Z polskich torów zniknęły krajowe połączenia RegioJet, a PKP Intercity błyskawicznie „uczciło" powrót do monopolu podwyżką cen biletów. Choć czeski przewoźnik mówi o „piekle" i rzucaniu kłód pod nogi przez państwowego giganta, to eksperci wskazują na wiele błędów samej spółki

Chcemy przełamać monopol Pendolino PKP Intercity, oferując o połowę niższe ceny biletów – te śmiałe deklaracje wygłaszane przez Radima Jančurę, założyciela RegioJet, po tym, gdy pierwszy pociąg czeskiego przewoźnika przejechał po polskich torach, są już nieaktualne. Zdezaktualizowały się zresztą bardzo szybko, bo cytowana deklaracja została wypowiedziana przed siedmioma miesiącami. Tegoroczna majówka była ostatnim weekendem, w którym RegioJet woziło pasażerów między Warszawą a Trójmiastem, Krakowem i Poznaniem.

Tym samym w Polsce powrócił monopol PKP Intercity. I dał nam wszystkim przyspieszoną lekcję z podstaw ekonomii. Lekcja ta brzmi – konkurencja jest dla klienta korzystna. Monopol to zawsze albo gorsza jakość, albo wyższe ceny, albo jedno i drugie. Tuż po majowym weekendzie PKP podniosło ceny biletów.

ŚMIAŁE PLANY

Mapa na stronie RegioJet, pokazująca siatkę połączeń, robi wrażenie. Zaznaczone są na niej dworce, z których – głównie do Czech – odjeżdżają charakterystyczne żółte pociągi i autobusy. Od Londynu na zachodzie, przez Paryż, Berlin, aż po Kijów i Charków na wschodzie. Od Gdańska na północy, przez Budapeszt, aż po Rzym na południu.

RegioJet jest częścią Student Agency, która prowadzi również działalność biura podróży i pośrednika sprzedaży biletów lotniczych. Za sukcesem grupy stoi Radim Jančura, który po powrocie w latach 90. z wymiany studenckiej z Londynu do Brna założył agencję au pair (Student Agency). Nawiązał współpracę z brytyjskimi agencjami,

eprasa.pl f190bf5ce0

by stworzyć połączenia z Czech do Wielkiej Brytanii. Siatka połączeń szybko się rozszerzała, firma rosła, a Jančura już w 2005 r. odbierał nagrodę przedsiębiorcy roku.

W Polsce miało pójść równie gładko. RegioJet widziało na naszym zmonopolizowanym rynku krajowych połączeń kolejowych duży potencjał biznesowy. Parasol w postaci unijnych regulacji teoretycznie gwarantował równe traktowanie, a kluczem do zdobycia serc pasażerów miały być konkurencyjne ceny biletów. We wrześniu ubiegłego roku RegioJet uruchomiło testowe połączenie między Warszawą a Krakowem. Żółty pociąg kursował między tymi miastami raz dziennie.

Testy wypadły, jak widać, pomyślnie, bo 7 października Radim Jančura i jego przedstawiciel w Polsce Michał Plaza opowiadali o planach ekspansji w Polsce. „Na dworzec Warszawa Zachodnia dotarli punktualnie kwadrans przed południem – pisała wówczas »Wyborcza«. Lokomotywa wyprodukowana w Rumunii na licencji firmy Alstom ciągnęła pięć wagonów (część bez przedziałów) odkupionych od kolei niemieckich i austriackich. Są dostosowane do prędkości 200 km na godz. Pasażerowie mają dostęp do gier i filmów na ekranach zainstalowanych na poprzedzających fotelach. Przewoźnik przyznaje jednak, że w Polsce ma problemy z zasięgiem sieci internetowej na właściwym poziomie".

To wówczas Jančura mówił o zamiarach przełamania monopolu PKP Intercity. – 4 listopada zaczynamy sprzedaż biletów na nasze nowe połączenia w Polsce, które wyruszają po zmianie rozkładu od 14 grudnia – ogłosił Michał Plaza. Zapowiedział zwiększenie liczby kursów między Warszawą a Krakowem do ośmiu dziennie, uruchomienie sześciu kursów dziennie ze stolicy do Poznania, trzy kursy z Krakowa przez Warszawę do Trójmiasta i jeden odjazd dziennie z Warszawy do Pragi. I miał to być dopiero początek, bo zakładano dopisywanie kolejnych miast i jeszcze częstszych odjazdów. – W szczycie chcemy jeździć z Warszawy na naszych trasach co godzinę, a poza szczytem co dwie godziny – mówił Michał Plaza. Ceny biletów – już od 9 zł.

Czesi przygotowywali się również do startu w przetargu na przewozy dotowane w 2030 r. (to wtedy dobiega końca umowa z PKP) oraz do otwierania na dworcach kas biletowych. Nie chodziło nawet o zwiększenie sprzedaży, bo zdecydowana większość biletów rozchodzi się przez Internet, lecz o kwestie wizerunkowe. RegioJet miało być widoczne, najlepiej tuż obok stanowisk bezpośredniej konkurencji, czyli PKP Intercity. Spółka zamówiła też od PES-y Bydgoszcz 18 nowych wagonów. „Kompleksowa produkcja wszystkich pojazdów odbywa się w Polsce, w zakładzie w Bydgoszczy. W Polsce wytwarzane są również inne komponenty tych pojazdów. Jest to już trzeci wspólny projekt RegioJet i PESA" – podkreślał czeski przewoźnik.

Słowem – plany były szeroko zakrojone i śmiałe, a nad Wisłą miał się powtórzyć scenariusz, który RegioJet zrealizowało nad Wetławą. – Na linii Praga – Ostrawa w Czechach już kilkanaście lat temu przełamaliśmy monopol państwowego przewoźnika i doszła tam jeszcze prywatna firma Leo Express. Liczba pasażerów na tej trasie wzrosła dwukrotnie. Teraz chcemy przełamać monopol pendolino PKP Intercity, oferując o połowę niższe ceny biletów – mówił w październiku na warszawskim dworcu Radim Jančura.

„POLSKO JE PEKLO"

Ale już siedem miesięcy później w wywiadzie dla czeskiego portalu Euro.cz stwierdził: „Polsko je peklo" („Polska to piekło"). Jego firma w majówkę przewiozła ostatnich pasażerów na połączeniach krajowych w Polsce, zostawiając po 4 maja tylko dwa pociągi dziennie na trasach międzynarodowych: dzienny z Warszawy do Pragi przez Tarnowskie Góry oraz nocny na linii Przemyśl – Rzeszów – Kraków – Praga.

– Serdecznie przepraszam wszystkich pasażerów. Nie mogę dalej narażać przyszłości spółki, którą założyłem w wieku 23 lat. Wierzę, że w bardziej sprzyjających warunkach będziemy mogli ponownie świadczyć nasze usługi w Polsce – powiedział Radim Jančura.

We wspomnianym wywiadzie mówił: „Wszyscy, którzy byli w Polsce, ostrzegali mnie przed tym, ale myślałem, że Polacy powitają konkurencję, bo teraz państwowa spółka PKP ma monopol na przewozy dalekobieżne, przez co bilety w kraju są bardzo drogie. Ale byłem zaskoczony, że atak PKP na nas jest jeszcze większy niż ten, który 15 lat temu przypuściły państwowe Koleje Czeskie. Złożyliśmy więc skargę do urzędu antymonopolowego".

Lista pretensji jest dość długa. Trudno na nią wpisać reakcję PKP, które na agresywną politykę cenową Czechów odpowiedziało obniżką cen biletów i dodatkowymi promocjami. Ale już do litanii skarg wpisywano np. brak zapowiedzi na dworcach odjazdu pociągów RegioJet czy odcięcie pociągów RegioJet od rur z wodą na bocznicy w Krakowie, przez co wodę trzeba było dowozić beczkowozami.

Większy ciężar gatunkowy miała kwestia zakupu działki w Warszawie, na której RegioJet zaplanował własną bazę serwisową w Polsce. W sierpniu 2025 r. RegioJet wygrał licytację na zakup ponadpięciohektarowej działki na Pradze. Teren należał do PKP Cargo. Czesi zaoferowali za nieruchomość 55 mln zł – kwotę, która była o połowę wyższa niż wyceny przedstawiane przez konkurujących o ten teren deweloperów. Transakcja nie doszła jednak do skutku. RegioJet twierdzi, że z powodu presji, jaką na potrzebujące gotówki jak tlenu PKP Cargo wywierały władze PKP.

– Bez zaplecza nie ma szans na dobrą ofertę. Jest ono kluczowe, by utrzymać „świeżość" pociągu – zapewnić umycie wagonów na zewnątrz i w środku, uzupełnić ofertę gastronomiczną itp. Odgrywa też ważną rolę w budowaniu relacji pracowniczych, mającą dowodzić, że projekt jest wieloletnim działaniem, a nie dorywczą pracą – tłumaczy „Rzeczpospolitej" wagę tej inwestycji Michał Beim z Uniwersytetu Przyrodniczego w Poznaniu, ekspert Instytutu Sobieskiego w Warszawie.

BELKA W OKU

To jedna strona medalu. Druga nie jest taka korzystna dla samego RegioJet. Zdaniem ekspertów Czesi nie przygotowali się do wejścia na polski rynek i popełnili wiele niewybaczalnych błędów. Zapowiadane połączenia nie były uruchamiane na czas, wycofywali przejazdy, na które sprzedali już bilety, a ich tabor nie zawsze spełniał standardy zapowiadane przez marketingowców.

Prawdziwą katastrofą wizerunkową była interwencja sanepidu w obiekcie

eprasa.pl f190bf5ce0

Europa dwóch prędkości

Zgodnie z unijnym IV Pakietem Kolejowym państwa członkowskie mają obowiązek stopniowego otwierania pasażerskich rynków kolejowych. Wdrażanie tych przepisów przebiega jednak w różnym tempie, tworząc w Europie podział na rynki zliberalizowane, mieszane oraz te, gdzie dominują chronione monopole.

Rynki zliberalizowane (Włochy, Hiszpania, Czechy)
Włochy jako pierwsze otworzyły trasy kolei dużych prędkości, gdzie obok państwowego Trenitalia operuje prywatne Italo. Wejście drugiego przewoźnika skutkowało spadkiem średnich cen biletów na głównych trasach o ok. 40 proc. W Hiszpanii na kluczowych liniach dalekobieżnych narodowe Renfe (i jego budżetowa spółka Avlo) konkuruje z francuskim Ouigo oraz włoskim Iryo. Z kolei na rynku czeskim państwowe České dráhy od kilkunastu lat rywalizują na głównych trasach komercyjnych z prywatnymi operatorami, takimi jak RegioJet i Leo Express.

Rynki mieszane (Niemcy, Francja)
W Niemczech przewozy regionalne są w pełni otwarte – funkcjonują na bazie przetargów, w których narodowe Deutsche Bahn regularnie ustępuje miejsca prywatnym podmiotom. Inaczej wygląda sytuacja w przewozach dalekobieżnych (sieć ICE/IC), gdzie DB wciąż kontroluje ok. 95 proc. rynku, a prywatna konkurencja (np. FlixTrain) obsługuje pojedyncze trasy. Francja długo chroniła pozycję państwowego SNCF, jednak niedawno wpuściła na swoje tory szybkiej kolei zagranicznych operatorów państwowych (np. hiszpańskie Renfe czy włoskie Trenitalia na linii Paryż – Lyon).

Ochrona monopolu (Polska, Węgry, Rumunia)
W Polsce przewozy dalekobieżne są zdominowane przez państwowe PKP Intercity. Polski rząd wykorzystał unijne przepisy przejściowe, zawierając ze spółką umowę na świadczenie usług publicznych (tzw. PSO). Gwarantuje ona dotacje i chroni przed obowiązkiem poddania rynku przetargom do 2030 r. Uruchamianie komercyjnych tras przez podmioty prywatne wymaga zgody Urzędu Transportu Kolejowego, który bada m.in., czy nowa usługa nie zagraża rentowności pociągów dotowanych. Podobny model państwowego monopolu, w którym nie funkcjonuje realna prywatna konkurencja na długich dystansach, utrzymuje się m.in. na Węgrzech i w Rumunii.

użytkowanym przez RegioJet. Spółka pozbawiona bazy w Warszawie zorganizowała prowizoryczny, tymczasowy magazyn logistyczno-żywnościowy na obrzeżach Krakowa. 20 kwietnia obiekt ten, rzekomo na skutek anonimowego „zgłoszenia obywatelskiego", stał się celem połączonej interwencji policji oraz Państwowego Powiatowego Inspektora Sanitarnego. Inspektorzy ustalili, że obiekt funkcjonował bez wymaganej decyzji uprawniającej do magazynowania środków spożywczych. Wewnątrz znajdowały się przeterminowane wyroby garmażeryjne oraz napoje przechowywane w warunkach naruszających podstawowe zasady higieny. Na zewnątrz magazynu, pod gołym niebem, odkryto tysiące butelek wody mineralnej ułożonych na paletach, narażonych na bezpośrednie działanie czynników atmosferycznych i zanieczyszczeń. A to nie wszystkie stwierdzone nieprawidłowości.

To nie koniec. W grudniu 2025 r. RegioJet poinformował PLK o rezygnacji z blisko połowy zamówionych tras zaledwie trzy dni przed wejściem rozkładu w życie. Krajowy zarządca infrastruktury kolejowej określił to jako nieodpowiedzialne. W kwietniu 2026 r. prezes Urzędu Transportu Kolejowego wydał decyzję stwierdzającą naruszenie zbiorowych interesów pasażerów.

Media donosiły też, że zdarzały się zatrudnienia załogi bez ubezpieczenia zdrowotnego. Zresztą polityka i problemy kadrowe RegioJet w Polsce to temat na osobny tekst. Spółka mierzyła się z poważnymi problemami kadrowymi, a problemy z kompletowaniem załóg miały być jednym z najpoważniejszych problemów przewoźnika. Dlatego kusiła atrakcyjnymi warunkami zatrudnienia. Doświadczonym maszynistom oferowano 18 tys. zł i premię 100 tys. zł w pierwszym roku pracy. Premia rekrutacyjna dla kierowników pociągów – którym obiecywano pensje na poziomie 13 tys. zł miesięcznie – mogła wynieść 50 tys. zł po przepracowanych 12 miesiącach.

Dziś osoby, które dały się skusić tymi warunkami, znalazły się na lodzie. Osoba związana z branżą, która wypowiada się anonimowo dla „Rzeczpospolitej", kreśli ich najbliższą zawodową przyszłość raczej w ciemnych barwach. – PKP Intercity raczej nie przyjmie ich z powrotem, z powrotami do kolei regionalnych też może być trudno, a u przewoźników towarowych pracy nie ma, bo tam już nie ma co wozić – mówi.

MONOPOL – RZECZ POLITYCZNA

Być może ludzie ci z nadzieją spoglądają w kierunku Leo Express. To inny czeski przewoźnik, który próbuje sił na polskim rynku. W marcu uruchomił połączenie między Warszawą a Pragą przez Kraków. Spore zainteresowanie ofertą sprawiło, że firma zapowiada zwiększenie liczby kursów na tej trasie, a także utworzenie nowych połączeń. Już jednak spotkała się ze zdecydowaną reakcją ze strony PKP. Prezes PKP Intercity Janusz Malinowski złożył wniosek do Urzędu Transportu Kolejowego o zbadanie równowagi ekonomicznej tego połączenia Przemyśla, przez Rzeszów, Kraków i Pragę, do Frankfurtu nad Menem, którego uruchomienie zapowiedziało Leo Express.

Ani władze PKP, ani politycy nie będą się palić do przychylania nieba konkurencji. Pozycja monopolisty jest dla nich zbyt wygodna. Ale Unia Europejska nie daje Polsce wyjścia, jedynie trochę czasu. Komisja Europejska dała Polsce czas do 2030 r. Na zliberalizowanie przepisów tak, aby przełamać monopolistyczną pozycję PKP Intercity na torach. Nikt się nie zamierza spieszyć. Prezes PKP SA Alan Beroud, uważany za człowieka Marcina Kierwińskiego, ministra spraw wewnętrznych i administracji, sekretarza i kadrowego Koalicji Obywatelskiej dla „Gazety Wyborczej", mówi: „Grupa PKP szykuje się na konkurencyjny rynek przewozów, ale pośpiech jest tu niewskazany. Biznesowo dla PKP Intercity byłoby najlepiej, gdyby konkurencja zaczęła się od 2030 r.".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl f190bf5ce0



Niepokój przy Wiertniczej



Zuzanna Dąbrowska-Pieczyńska

Wielkimi krokami zbliża się przejęcie Warner Bros., właściciela stacji TVN i TVN24, przez firmę Paramount, której szefem jest syn sojusznika Donalda Trumpa. Czy czeka nas rewolucja medialna nad Wisłą?

To będzie – jeżeli zakończy się powodzeniem, a na to wszystko wskazuje – „gamechanger" na globalnym rynku medialnym. Przejęcie Warner Bros. Discovery przez Paramount Skydance oznaczało powstanie prawdziwej potęgi. W jej władaniu będą m.in. platformy HBO Max i Paramount Plus oraz kanały telewizyjne CNN i CBS News. Jednak w Polsce proces ten budzi zainteresowanie z innego powodu – w przypadku połączenia Paramount stanie się nowym właścicielem Grupy TVN. Stawiane są pytania o możliwą zmianę kursu telewizji założonej przez Mariusza Waltera. Szczególną ciekawość wywołuje przyszłość informacyjnej odnogi grupy, czyli TVN24.

W lutym grupa Paramount zgłosiła chęć zakupu Warner Bros. Discovery za 110 mld dol. Koncern pokonał Netflixa. Akcjonariusze mają otrzymać 31 dol. w gotówce za każdą posiadaną akcję zwykłą Warner Bros. W kwietniu akcjonariusze Warner Bros. Discovery zatwierdzili sprzedaż spółki. Zanim dojdzie do sprzedaży, przed Paramount jeszcze kilka trudności prawnych do pokonania – prokurator generalny Kalifornii, Rob Bonta, zapowiedział dochodzenie, umowa podlega też kontroli antymonopolowej w Unii Europejskiej. Szefowie Paramount Skydance są jednak optymistami i oczekują, że Komisja Europejska wyrazi akceptację. Kilka dni temu grupa kalifornijskich polityków Partii Demokratycznej skierowała list do prokuratora Bonty, domagając się szczegółowego zbadania skutków antymonopolowych transakcji.

TONOWANIE NASTROJÓW

W kwietniu David Ellison, szef Paramount Skydance, wydał kolację na cześć prezydenta Donalda Trumpa i Pierwszej Poprawki do Konstytucji USA. W wydarzeniu uczestniczyli także dziennikarze i menedżerowie CBS News, m.in. Bari Weiss i Nancy Cordes. Ellison to syn Larry'ego Ellisona, twórcy Oracle (zajmuje się zarządzaniem bazami danych), jednego z najbogatszych ludzi na świecie, a także sojusznika Donalda Trumpa. Osiemdziesięciojednolatek od lat wspiera finansowo republikanów. Bywał zapraszany na kolacje do rezydencji w Mar-a-Lago, a także kilkukrotnie gościł w Gabinecie Owalnym. W roku 2026 został powołany do Prezydenckiej Rady Doradców do spraw Nauki i Technologii (PCAST). „The Wall Street Journal" informował, że David Ellison miał zapewniać urzędników administracji Trumpa o planach „gruntownego przebudowania" linii redakcyjnej CNN w kierunku „bezpartyjnego formatu". Dziś stacja ta ewidentnie sprzyja demokratom, nie stroniąc od krytyki prezydenta. Kwietniowe przyjęcie na cześć Trumpa wywołało „konsternację" wśród części pracowników CBS News. Obawiają się oskarżeń o uzależnienie newsroomu od administracji Trumpa.

Powiązania szefa koncernu, który jest w trakcie przejmowania portfela medialnego z TVN i TVN24, ma wywoływać niepokój także wśród pracowników tego ostatniego. O przyszłość mają się martwić szczególnie dziennikarze polityczni będący twarzami stacji. Portal Wirtualne Media opisywał w marcu spotkania prezes TVN Katarzyny Kieli z pracownikami w sprawie zmiany właściciela stacji matki. Miała tonować nastroje. Jeden z informatorów powiedział, że główny przekaz brzmiał: „Działać normalnie, bo proces dopięcia transakcji potrwa przynajmniej wiele miesięcy". Szefowa TVN zwróciła uwagę, że firma jest częścią „potężnego biznesu, który broni się wynikami". „Miejmy do siebie zaufanie, nie dajmy się ponieść emocjom. Nie dajmy się zwieść, będzie zamieszanie, ale róbmy swoje, będziemy częścią jeszcze większej amerykańskiej firmy, co zawsze na nas dobrze działało" – zacytowano Kieli. Podczas krótkiego, trwającego zaledwie 15 minut spotkania pracownicy nie mogli zada-

eprasa.pl f190bf5ce0



FOT. ADOBE STOCK

wać pytań (mogli je wysłać wcześniej). Informacja o dogadaniu się Warner Bros. z Paramount Skydance wywołała wrzenie. „Ludzie nie rozmawiają o niczym innym. Pytają, co dalej. Przypominają, że kiedy jakiś czas temu Ellison przejął CBS News, zrobił tam niezłą rewolucję. W sensie: usunął całe kierownictwo" – opowiadała Wirtualnej Polsce jedna z osób zatrudnionych w stacji. Obawy dotyczą możliwych zmian personalnych i programowych. „To jest scenariusz, którego wszyscy się obawiają" – dodaje inny rozmówca. Nie wszyscy wpadają jednak w panikę. „Jesteśmy w procesie permanentnej sprzedaży od bodaj dekady. Na razie nic konkretnego z tego nie wyniknęło. Poczekajmy więc, aż ta transakcja rzeczywiście dojdzie do skutku. Wtedy będzie można zacząć się zastanawiać, co się może dalej stać" – komentuje kolejny informator WP.

PREZESEM NIE ZOSTANIE DANIEL OBAJTEK

O politycznym kontekście transakcji opowiedział Igor Zalewski na Kanale Zero. „Ludziom TVN-u marzyła się opcja taka, że oto Paramount przejmuje TVN, ale nie przywiązuje do TVN-u wielkiej wagi, tylko wystawia od razu TVN na sprzedaż dalej […]. Może przyjdzie kolejny kupiec, kolejny nabywca i ten nabywca, daj Panie Boże, nie będzie tak haniebnie związany z prawicą jak Paramount […]. Ale tak nie będzie, ponieważ załatwili to, bo wychodzili to u prezydenta Donalda Trumpa, politycy PiS" – przekonuje. Politycy partii Jarosława Kaczyńskiego mają swój kanał dotarcia do otoczenia przywódcy USA. „Ostatnio kilka razy jeździli do Waszyngtonu, żeby spotykać się z republikańskimi politykami, z tymi ludźmi z ekipy Donalda Trumpa, i żeby wpłynąć na Donalda Trumpa, żeby on powiedział Paramountowi »stop, nie sprzedajemy TVN-u« […], urządzimy go na swoją modłę i to się politykom PiS udało. Rzeczywiście Donald Trump, który ma niezłe relacje z klanem Ellisonów, po prostu załatwił to z nimi, że TVN nie zostanie sprzedany, że będzie zarządzany przez Paramount" – mówił Zalewski w materiale z końca kwietnia.

W Waszyngtonie o przyszłości stacji przy Wiertniczej miał rozmawiać europoseł PiS Adam Bielan, a także, co ciekawe, wicemarszałek Senatu z PSL Michał Kamiński, który w ostatnim czasie jest coraz częściej widywany w siedzibie partii Jarosława Kaczyńskiego. „To wcale nie znaczy, że prezesem TVN-u zostanie Daniel Obajtek, jak to się kiedyś odgrażał, czy Jacek Kurski. Nic z tych rzeczy. Amerykanie to poważni biznesmeni i ułożą ten swój zarząd telewizji po prostu rynkowo. Wezmą tam sensownych ludzi z rynku, z mediów, którym mogą zaufać, ale co do których będą mieli pewność, że oni są po prostu dobrymi menedżerami medialnymi […]. Rządzić będą oczywiście Amerykanie, natomiast politycy PiS-u będą mogli im coś tam doradzić, będą mogli im coś zasugerować" – wskazał Zalewski. Nie należy spodziewać się skasowania komercyjnych hitów, jak np. show Magdy Gessler „Kuchenne rewolucje". Lifestyle ma zostać wyłączony ze zmian. „Zmieni się jedno, zmieni się bardzo TVN24 i zmienią się bardzo »Fakty«, czyli główny serwis informacyjny TVN" – słyszymy. Komentator Kanału Zero relacjonuje, że dziennikarze już zaczynają się rozglądać za nową pracą. „Tych miejsc nie zostało na mapie polskich mediów zbyt wiele. Jest taka potężna wyspa medialna, czyli telewizja publiczna, gdzie pewnie ci rozbitkowie z TVN-u będą się kierować przede wszystkim. Ale ile ta wyspa będzie w stanie przyjąć rozbitków? To jest już inna kwestia, bo w pewnym momencie w telewizji publicznej może robić się ciasno" – ocenia. Jaki TVN24 możemy zobaczyć za jakiś czas? „Rozsądek mówi, że w Polsce nie ma miejsca na kolejną prawicową telewizję. Dlatego że jest Republika, jest wPolsce24, jest teraz Newsmax, który jakoś z tą sceną poli-

„Do końca roku ujrzymy TVN w nowym, wciąż amerykańskim, ale politycznie zupełnie innym kształcie" – powiedział w Kanale Zero jego komentator Igor Zalewski

tyczną jest kojarzony. Może lepiej byłoby postawić na taką przezroczystą telewizję informacyjną? Taką obiektywną, trochę w stylu Polsatu czy Polsat News" – mówi Igor Zalewski. „Do końca roku ujrzymy TVN w nowym, wciąż amerykańskim, ale politycznie zupełnie innym kształcie. Niezależnie od tego, co wyrośnie na zaoranym TVN24, to trzeba powiedzieć, że to jest taka rewolucja medialna, która – cytując klasyka – »w pale się nie mieści«" – podsumował.

Medioznawca prof. Tadeusz Kowalski także odwołuje się do przykładu CBS News. „Z doniesień z USA wynika, że po przejęciu kontroli przez Paramount Skydance nad telewizją CBS doszło do ingerencji w tzw. polityczną linię programową i stacja zaczęła sprzyjać obecnej administracji – mówi członek KRRiT w rozmowie z Polską Agencją Prasową. Stwierdza jednocześnie, że skoro TVN24 generuje zysk, to radykalne zmiany programowe wiązałyby się z dużym ryzykiem. „Oczywiście może się zdarzyć, że kurierzy obecnej opozycji będą pielgrzymowali do Stanów i docierali do rozmaitych ludzi, przekonując, jak ważne jest wykonanie prawicowego skrętu TVN24" – dodał.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl f190bf5ce0



Ewentualny sukces lub porażka filmu „Gwiezdne wojny: Mandalorian i Grogu" niczego już nie zmieni FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Jak umierają „Gwiezdne wojny"



Piotr Gociek

„Gwiezdne wojny" zamieniono we franczyzę dla dziewczynek, w dodatku mocno zideologizowaną. Utracono dawną bazę fanowską, nie zyskując nowej. Teraz Disney jest w panice

Gasło, gasło i zgasło. Nie ma już we mnie ani krzty ekscytacji faktem, że za kilka dni do kin trafi nowy film z uniwersum „Gwiezdnych wojen". A przecież jeszcze nie tak dawno z ciekawością oglądałem pierwszy sezon serialu „Mandalorian" (2019). Nieco dawniej sarkałem na film „Han Solo: Gwiezdne wojny – historie" (2018), lecz wciąż bawiłem się na nim nieźle. I naprawdę ucieszyłem się, widząc starego Marka Hamilla powracającego do roli Luke'a Skywalkera w trylogii sequeli (2015–2019). Nostalgia to potężna siła napędzająca dziś popkulturę i ja tej nostalgii ulegałem. Bo czemu nie?

Dziś nie oczekuję od sagi „Star Wars" już niczego. Ewentualny sukces filmu „Gwiezdne wojny: Mandalorian i Grogu" niewiele odmieni, ewentualna kasowa porażka niczego nie zmieni. Katastrofa już nastąpiła, gwiezdna saga mało kogo dziś ekscytuje, a już najmniej tych, którzy piszą, kręcą i produkują jej kolejne odsłony. Jak do tego doszło? Dlaczego „Gwiezdne wojny" umierają?

COŚ INNEGO

Kilka tygodni temu ukazało się wznowienie świetnej książki Jakuba Turkiewicza „Wojna gwiazd", poświęconej fenomenowi polskiego fandomu „Gwiezdnych wojen". Praca zawodowego historyka, wielkiego znawcy popkultury i – prywatnie – wielkiego fana oryginalnej trylogii to niezwykłe świadectwo czasów, kiedy byliśmy młodzi, niewinni i bardzo spragnieni. Czego? Wszystkiego: zachodnich filmów, wolności, kolorów, zapomnienia, frajdy, wspólnoty. Późny PRL był nieciekawą krainą. W moim mieście najbarwniejszą sklepową witryną była witryna Mody Polskiej, a i tam kolorów zbyt wiele nie było. Barwnie i głośno było, gdy przyjeżdżał cyrk. Albo w kinie. Nie bez powodu na plakatach reklamujących w 1979 r. film „Gwiezdne wojny" było hasło: „film amerykański". Była to bowiem gwarancja dla widza, że będzie mógł zobaczyć coś ciekawego i innego. Niekoniecznie dobrego, ale na pewno innego. Od czego? Od wszystkiego: od pochodów pierwszomajowych, węgierskich filmów obyczajowych, NRD-owskich kryminałów i sowieckiego

eprasa.pl f190bf5ce0

czegokolwiek. To cokolwiek wypełniało większość repertuaru kin.

Turkiewicz opowiada o czasie, gdy pojawienie się błahego, ale uroczego, krzepiącego i łatwego do pokochania filmu sprawiło, że tysiące młodych ludzi odkryło, że mają wspólne zainteresowania wykraczające poza powtórki „Janosika" w telewizji oraz poza powieści Adama Bahdaja w bibliotekach. Tworzyli fankluby i kluby, wklejali do zeszytów artykuły z gazet, kupowali podróbki figurek, dzieło prężnego PRL-owskiego chałupnictwa. Nagle byli gdzie indziej. A być gdzie indziej, to była w PRL prawdziwa rzadkość. Bo zwykle było się po prostu w PRL. I nikomu nie śniły się żadne upadki systemu.

Zmieniały się czasy, legenda żyła. Był rok 1999. Na uroczystej prapremierze pierwszego z prequeli, czyli filmu „Gwiezdne wojny: Mroczne widmo", pojawiły się tysiące fanów. Miała miejsce w Sali Kongresowej Pałacu Kultury. W kuluarach spotkałem Grzegorza Ciechowskiego. „Jak się panu podobało?" – zapytałem go po seansie. „Wie pan, ja z tego nic nie rozumiem, ale moja córka to uwielbia" – odparł Ciechowski. I wydawało się, że fascynacja uniwersum „Star Wars" płynnie przejdzie na kolejną generację fanów. Rozmawiałem wtedy także z goszczącym w Polsce producentem filmu, Rickiem McCallumem. Gdy zarzuciłem mu, że film wydaje mi się zbyt dziecinny, odparł, że oryginalne „Gwiezdne wojny" też były tak naprawdę dla dzieciaków. A dopiero potem ich legenda dorastała wraz z nami. I myślę po latach, że miał rację.

DISNEJOWSKA ERA

Trylogia prequeli („Mroczne widmo", „Atak klonów", „Zemsta Sithów") okazała się pożegnaniem George'a Lucasa ze stworzonym przez niego światem i bohaterami. Nie była tak kochana i popularna jak trzy oryginalne filmy, ale nie wiedzieliśmy, że najgorsze miało dopiero nadejść. W 2012 r. Lucas sprzedał firmę Lucasfilm koncernowi Disneya za 4 mld dol. To, co kiedyś było dla wielu z nas doświadczeniem pokoleniowym, stało się teraz jedynie kolejnym ajpi w bibliotece potężnego koncernu. „Ajpi" od IP – „intellectual property". Szybko okazało się, że zgadza się tylko „property". Bo „intellectual" już nie.

Im z dalszej perspektywy spoglądam na disnejowską erę „Gwiezdnych wojen", tym surowiej ją oceniam. I składam samokrytykę – zbyt często patrzyłem na oczywiste braki kolejnych produkcji przez palce. Tak, ja też byłem więźniem nostalgii. I czasem zamiast patrzeć trzeźwo, trzymałem kciuki za to, żeby się udało. Tak oto dusza fana wygrywała z duchem krytyki.

A działy się rzeczy niedobre. Lata 2015–2019 to jeszcze czas inwestycji kinowych. Nowa trylogia – tym razem sequeli – zatem zestaw „Przebudzenie Mocy", „Ostatni Jedi" oraz „Skywalker. Odrodzenie". Pierwszy film był podróbką „Nowej nadziei" w nowych dekoracjach, drugi wywracał do góry nogami uniwersum „Gwiezdnych wojen", czyniąc ze Skywalkera nienawistnika, a z niezwykłej mocy rycerzy Jedi coś na kształt drogi ku rewolucyjnemu wyzwoleniu uciskanych ludów. Trzeci film zaś był karkołomną próbą wymazania tych elementów, które najbardziej wkurzyły fanów w filmach pierwszym i drugim.



„GWIEZDNE WOJNY: MANDALORIAN I GROGU"
USA 2026

Pomiędzy filmami nowej trylogii premiery miały pojedyncze produkcje. Najpierw „Łotr 1" (2016), który był sprawnym, rozbudowanym wstępem do oryginalnych „Gwiezdnych wojen". Oraz film o młodym Hanie Solo, otwierający zarzucony szybko cykl „Historie", w którym powstać miało sześć filmów poświęconych poszczególnym lubianym przez fanów postaciom. Wszystkie te filmy zarabiały, ale nie tyle, ile się w gabinetach Disneya spodziewano.

Z roku na rok zmieniały się więc plany. A może taka nowa trylogia, a może inna, a może cofnąć się w czasie o setki lat, a może wykreować całkiem nowe zakątki galaktyki, nowych bohaterów i nowe pomysły? Zmieniali się też wynajmowani przez Kathleen Kennedy (kierująca od 2012 r. studiem Lucasfilm) reżyserzy, scenarzyści i producenci. Lekką ręką zatrudniani, jeszcze łatwiej zwalniani. Wreszcie zapadła decyzja: przyszłość to telewizja i streaming. Pomysły na filmy kinowe zamieniały się w koncepty seriali lub miniseriali. I tak zamiast filmu swoje miniserie dostali łowca nagród Boba Fett („Księga Boby Fetta", 2022) oraz dawny mentor Luke'a („Obi-Wan Kenobi", 2022).

Fundamentem telewizyjnej odnogi stał się serial „The Mandalorian" (2019), którego trzy sezony wzbudziły mieszane uczucia. Pierwszy wzbudził powszechny aplauz, drugi był niezły, w trzecim było już słabo, z przyczyn, o których za chwilę wspomnę. Planowany sezon czwarty przerobiono na film kinowy „Gwiezdne wojny: Mandalorian i Grogu", od którego zapowiedzi rozpocząłem ten tekst.

W latach 2019–2025 dostaliśmy łącznie siedem aktorskich seriali lub miniserii z uniwersum „Gwiezdnych wojen" (nie liczę animacji). Wyliczając kolejne, będę już musiał nie przebierać w słowach, bo zbliżamy się do okresu kluczowego dla pogrzebania fenomenu „Star Wars".

„Andor" (2022, 2025) – wychwalany przez krytyków – to najbardziej ponura, jak dotąd, opowieść ze wszechświata Lucasa. Opowieść, która nie ma już w sobie nic z lekkości i optymizmu oryginalnego filmu. Główny bohater to złodziejaszek, który zwerbowany zostaje w szeregi rebelii. Dojrzewa do walki w obozie pracy przymusowej. Jego nauczycielem życia jest cyniczny zawodowy rewolucjonista, który organizuje zamachy przeciw Imperium bez oglądania się na fakt, że prowokuje to władze do ślepej zemsty na niewinnych obywatelach. Uważa bowiem, że takie działania przybliżają rewolucję. Już wcześniej w filmie kinowym „Łotr 1" mieliśmy podobnego terrorystę – był nim niejaki Saw Gerrera, który dowodzi radykalnym skrzydłem buntowników. Pisałem przy okazji premiery tego filmu o tym, że nagle dowiedzieliśmy się, iż rebelianci mają swój Hamas. Bo bojownicy Garrery to nie byli już żadni rebelianci, tylko zwykli terroryści.

FRANCZYZA DLA DZIEWCZYNEK

„Ahsoka" (2023) – serial, którego głównym bohaterem jest obdarzona Mocą dawna uczennica Anakina Skywalkera. Spełnienie marzeń Kathleen Kennedy o „Gwiezdnych wojnach", w których pierwsze skrzypce grają dziewczęta. Bo wedle jej konceptu „Star Wars" miał głosić hasła girl power, przejść równouprawnienie i dogonić rzeczywistość. Mamy więc już w „Andorze" lesbijski

eprasa.pl f190bf5ce0



Z serialu „Akolita" (2024) dowiedzieliśmy się, że istnieje cała planeta lesbijskich wiedźm obdarzonych magiczną mocą FOT. MATERIAŁY PRASOWE

romans, a w serialu „Ahsoka" właściwie wszystkie liczące się postacie (oprócz jednej) to kobiety.

Krok dalej poszedł Lucasfilm w serialu „Akolita" (2024), z którego dowiadujemy się, że istnieje cała planeta lesbijskich wiedźm obdarzonych magiczną mocą i wychowujących w związkach jednopłciowych córki. Rycerze Jedi to natomiast zło wcielone. Łup, łup, łup – czy słyszycie odgłos wbijania gwoździ w wieko trumny z napisem: „Star Wars"?

Krótką chwilą opamiętania była miniseria „Załoga rozbitków" (2025), serial dla dzieci, w którym próbowano wskrzesić ducha nie tylko dawnego Lucasa, lecz także Spielberga. I wyszło przyzwoicie, choć oczywiście przeważają dziewczynki, a chłopcy są albo grubi, albo głupi. No i oczywiście czarujący mężczyzna jest głównym wrogiem i największym oszustem.

A przecież mieliśmy jeszcze seriale animowane: u schyłku rządów Lucasa „Wojny klonów", a w epoce Kathleen Kennedy już siedem: „Rebelianci", „Ruch oporu", „Parszywa zgraja", „Wizje", „Opowieści Jedi", „Przygody młodych Jedi", „Opowieści z Imperium". I mieliśmy jeszcze masę licencjonowanych produkcji „Star Wars LEGO". Nawet gdyby wszystkie te propozycje były świetną rozrywką, to i tak przesyt jest oczywisty. Disney chciał po prostu jak najszybciej odzyskać swoje 4 mld dol. i zarobić kolejne.

Problem polega na tym, że zdecydowana większość tych produkcji dobrą rozrywką nie była. Od samego początku odrzucono też propozycję, by w kręceniu nowych filmów i seriali korzystać z dawnych pomysłów, scenariuszy oraz sugestii George'a Lucasa. Kathleen Kennedy chciała przejść do historii jako kobieta, która przerobi „Gwiezdne wojny" we franczyzę dla dziewczynek, w dodatku mocno zideologizowaną. W ten sposób utracono dawną bazę fanowską, nie zyskując nowej, bo brawo biły jedynie feministki zatrudnione przez samą Kennedy do kręcenia tych koszmarków. No i recenzenci liberalnych amerykańskich mediów.

Skala katastrofy stała się widoczna, kiedy w maju tego roku opublikowano badania Nielsena na temat oglądalności wszystkich produkcji gwiezdnowojennych w Ameryce. Okazja do badań była znakomita, bo co roku obchodzi się w fandomie 4 maja Star Wars Day. Maj jest także miesiącem, kiedy miewały swe amerykańskie premiery niemal wszystkie kinowe filmy sagi.

Co się okazało? Owszem, „Gwiezdne wojny" królowały w amerykańskim streamingu. Ale co dokładnie oglądano? Widzowie wybierali przede wszystkim trzy oryginalne filmy: „Gwiezdne wojny" (potem przemianowane na „Nową nadzieję"), „Imperium kontratakuje" i „Powrót Jedi". Niezłą oglądalnością cieszył się film „Łotr 1". Dużo rzadziej odtwarzano filmy z trylogii prequeli. Natomiast mało kto włączył sobie dla przyjemności celebrowania nieoficjalnego święta „Star Wars" którekolwiek z nowych produkcji Disneya. Dane są oficjalne, dowody miażdżące, wnioski bezlitosne. Wszystko to było psu na budę, marzenie o wychowaniu kolejnych generacji wiernych fanów legło w gruzach. Dla przeciętnego odbiorcy nowe „Gwiezdne wojny" to nie są „Gwiezdne wojny". Podziękujcie Kathleen Kennedy.

Panika sięgnęła najwyższych szczytów władzy w koncernie Disneya. Kennedy już kilka miesięcy temu pożegnała się ze stanowiskiem. W parkach rozrywki, słynnych Disneylandach, gdzie jedną z atrakcji były sekcje poświęcone „Gwiezdnym wojnom", postacie z nowej trylogii zostały pośpiesznie zastąpione na powrót postaciami z oryginalnych filmów. Według insajderskich plotek z Disneya rozważa się tam wystawienie całego dorobku ery pani Kennedy poza kanon „Star Wars". Ma w tym pomóc sztuczka w stylu Marvela i jego uniwersum kinowego – że może są różne alternatywne linie czasowe, iż przez ostatnią dekadę eksplorowaliśmy właśnie alternatywną rzeczywistość, a teraz wrócimy do dawnych wątków i bohaterów. Taki reset oznaczałby, że wracamy fabularnie do zakończenia „Powrotu Jedi" i kręcimy nowe filmy oraz seriale z szacunkiem dla bazy fanowskiej i spełniając jej oczekiwania.

Czy tak się wydarzy – nie wiem. Skala operacji nie jest żadnym problemem, już kiedyś Disney dokonał takiego ruchu, w 2014 r. ogłaszając, że wszystkie komiksy, powieści, gry i filmy oprócz samej sagi i animowanego filmu Lucasa „Wojny klonów" nie stanowią już kanonu „Star Wars", że cały, jak to nazywano, „Star Wars Expanded Universe" zwany będzie odtąd „Legendami" i niewznawiany. Czy dziś stać będzie szefów Disneya, by ogłosić za niekanoniczne wszystkie swoje dokonania?

Myślę, że jest już za późno, utraconej niewinności odzyskać się nie da. Pewne fenomeny przemijają, a zmaltretowane głupimi decyzjami i torturowane ideologią oraz polityką „Gwiezdne wojny" czas złożyć do grobu. Zresztą… właściwie jest mi to już całkowicie obojętne. Żadna Kathleen Kennedy nie jest mi w stanie odebrać wspomnień z gorącego lata 1979 r., kiedy po raz pierwszy w małym nadmorskim kinie zobaczyłem płynący przez kosmos napis: „Dawno, dawno temu w odległej galaktyce…". Miałem wtedy 10 lat.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl f190bf5ce0



Krzysztof Masłoń



Teatr Telewizji 1991 – „Pan Cogito", reż. Zbigniew Zapasiewicz

FOT. JAN BOGACZ/TVP/EAST NEWS

Herbert na drzewo

Wśród lektur ocalałych z pogromu zafundowanego młodzieży przez postępowe władze oświatowe, wykorzystujące do tego równie postępowych ekspertów (?), uchował się – Bóg raczy wiedzieć dlaczego – poeta Zbigniew Herbert. Przeciwstawiany przez nienawistników naszej umiłowanej noblistce Szymborskiej, wróg innego zacnego noblisty Miłosza, admirator Ryszarda Kuklińskiego i walczących o wolność Czeczenów, bezwzględny krytyk III Rzeczypospolitej. Z dzisiejszego punktu widzenia najbardziej jednak naganny jest przede wszystkim ten fakt, że napisał swego czasu wiersz „Bezradność", w którym odnosząc się do osoby ówczesnego polskiego premiera Józefa Oleksego, stwierdził, że wolałby, by okazał się on głupi lub chory, byleby nie był zdrajcą. „Olin" był jednak „Olinem", a poeta sprawę komentował, nie kryjąc swego bólu, bo tamten premier był przecież premierem Rzeczypospolitej, a więc i jego. „Bezradności" oczywiście nie znajdziemy w zbiorach wierszy twórcy „Pana Cogito", a już tym bardziej wśród lektur szkolnych, co jednak będzie, gdy jakiś nadgorliwy uczniak (a zawsze taki się znajdzie!) wyciągnie skądś tę niemądrą pisaninę i zacznie robić niestosowne analogie do światłych rządów niemiłościwie nam panującego Tuska? Czego jak czego, ale tego to mieniąca się ministrem edukacji Barbara Nowacka nie zniosłaby. A świadoma jest tego, że rodzimych wsteczników i faszystów stać na to.

Zbigniew Herbert, ten niewydarzony poeta, ośmielał się samego Adama Michnika nazywać wprost oszustem intelektualnym i przyrównywać go do Dyzmy. Jego życie – dowodził – to „smutna historia wyjątkowo uzdolnionego, pełnego talentu chłopca, który doszedł do lat, kiedy to ludzie natarczywie pytają, »co właściwie zrobić z całą swoją heroiczną młodością«. A on stacza się po równi pochyłej, w gorączkowy aktywizm. Cynizm godny admiratora »Księcia« i najpospolitszy nihilizm".

A ten sam wychwalony niegdyś ponad miarę „Pan Cogito" to w gruncie rzeczy przykład twórczej demencji. Nawet bliski poecie Jacek Łukasiewicz przyznawał, że „bohater tomu pozostaje staroświecki, a ludzie starzy i staroświeccy nieraz lubią narzekać. Pan Cogito tedy »biada nad małością snów«. Zamiast godnych kostiumów, w jakie przebierały się sny przodków, widzi we śnie własną twarz, budzi się z krzykiem. Z zażenowaniem patrzy na »poetę w pewnym wieku«, który chce być młody, i wchodzi – daremnie oczywiście – w duchową skórę młodej kontrkulturowej generacji: »przewodniczy zebraniu / niezależnych trockistów / namawia do podpalania […], sadzi kolczaste ekslamacje / inwektywy i traktaty […], czyta na przemian Izajasza i »Kapitał« / potem w ferworze dyskusji / mieszają mu się cytaty […], pali haszysze / ale nie widzi / ani nieskończoności / ani kwiatów / ani wodospadów« (»Pan Cogito a poeta w pewnym wieku«).

Buntuje się przeciw muzyce rockowej oszałamiającej hałasem. Występuje przeciw modzie na gnozę i magię. Naprawdę jest z innej epoki. Równie staroświecko, całkiem trzeźwo widzi, jak – nie bez związku z tą modą – z krańcowych ekscesów, mordów, pokazywanych jako happeningi, rosną fortuny: »gałęzie przemysłu / gałęzie zbrodni«. Pociesza się więc gorzko, że »z czasem deprawatorzy osiwieją« (»Pan Cogito o magii«)".

Nie podobało się też Herbertowi zatruwanie dusz młodych ludzi literaturą fałszywą, byle jaką, kłamliwą, często głupią. Bo to jest – jak może z pewną dozą przesady mówił Jackowi Trznadlowi w „Hańbie domowej" – „zbrodnia przeciwko Duchowi Świętemu. Grzech przeciwko Duchowi jest niewybaczalny. Ja jestem rzymski katolik, ale bardziej rzymski niż katolik. I tutaj nie ma usprawiedliwień". Rzymski nie rzymski, a katolików należy opiłowywać, co zalecał intelektualista Nitras. A Herbert? Apelował: „Bądź wierny Idź", niech więc idzie. Na drzewo.

Jak sądzę, z Herbertem oświecona inaczej ministra patyczkować się nie będzie. Cóż to w końcu dla niej za problem? Wykreśli się poetę razem z jego Gilgameszem, Hektorem i Rolandem. A wówczas Nowacka Barbara zajmie się tym, co bardziej ją interesuje. Ostatnio np. zbulwersował ją bowiem bardzo przebywający w Ameryce eksminister Zbigniew Ziobro. „Oczywiście wolałabym widzieć Ziobrę na ławie oskarżonych, gdzie jego miejsce, niż oglądać zdjęcia, jak świetnie się bawi" – powiedziała przed kamerami TVN24, dodając: „Swoją drogą, skąd on ma pieniądze na takie wesołe życie w Stanach? Bo to jednak kosztuje".

Ta obywatelska troska budzi uznanie. W końcu sama ministra z Alei Szucha żywot ma nielekki, będąc zmuszona – za pieniądze podatników, jakby ktoś był ciekawy (czyli Twoje – Czytelniku, moje, nasze itd.) – do borykania się ze zmorą współczesnej szkoły, którą są, jej zdaniem, rodzice. Wystarczy jeden taki „toksyczny rodzic" i cała wytężona praca Nowackiej et consortes na nic się nie zda. A ona przecież tak bardzo się stara, by unowocześnić nasze placówki edukacyjne, oczyszczając je z przestarzałych treści religijnych, historycznych, a i literaturoznawczych.

Na wszelki wypadek, zanim ta rozszalała ministra do szczętu osiwieje, jak inni deprawatorzy, i „oczyści" polską szkołę z Herberta, zapamiętajmy, bo może warto, to wskazanie poety:

powtarzaj stare zaklęcia ludzkości
bajki i legendy
bo tak zdobędziesz dobro którego nie zdobędziesz
powtarzaj wielkie słowa powtarzaj je z uporem
jak ci co szli przez pustynię i ginęli na piasku. ©℗

eprasa.pl f190bf5ce0



FOT. MATERIAŁY PRASOWE



PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

sky SHOWTIME

Przed burzą



★★★★★★

MINISERIA „UNDER SALT MARSH" WIELKA BRYTANIA 2026

wyst. Kelly Reilly, Jonathan Pryce, Brian Gleeson

Nawet koniec świata nie unieważnia potrzeby sprawiedliwości – przypomina serial „Under Salt Marsh". Nie jest to częste w dzisiejszych czasach przesłanie. A przecież rzecz powinna być oczywista: każdy powinien robić to, co do niego należy, niezależnie od tego, czy to jego ostatni dzień życia czy nie.

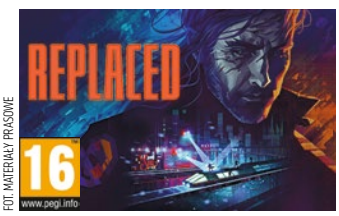
Apokalipsa nadchodzi w postaci wielkiego sztormu, który zdaniem speców od pogody zatopi maleńkie walijskie miasteczko Morfa Halen otoczone moczarami, położone na płaskim brzegu Atlantyku. Miejscowi ratowali się dotąd wzmacnianiem wałów, ale i te mają granice wytrzymałości. Tymczasem mała tragedia poprzedza nadchodzącą wielką tragedię: uczeń miejscowej szkoły zostaje znaleziony martwy. Zdaje się, że utonął, dopóty, dopóki na jaw nie wyjdzie, że ktoś mu w odejściu z tego padołu łez pomógł. I że śmierć ta jest bardzo podobna do innego niewyjaśnionego zgonu, który trzy lata wcześniej zakończył policyjną karierę bohaterki serialu.

Poznajcie więc Jackie Ellis, kobietę z przeszłością, która wciąż żyje traumą sprzed lat (była spokrewniona z pierwszą ofiarą), uczy dzieci w miejscowej szkole i naraz znów staje w centrum śledztwa. Żeby wszystko było jasne: „Under Salt Marsh" to kryminał brytyjski, więc ważniejsze od efektownych zwrotów akcji i kolorowych samochodów są tu swojskie klimaty, typowo brytyjski mikrokosmos prowincji. Ludzie żyją tu z hodowli, nikt nie przepada za rządem w Londynie i cholernymi politykami oraz przemądrzałymi naukowcami, życie skupia się w lokalnym pubie, gdzie przesiadują postacie o gębach tyleż oryginalnych, co szpetnych. Znamy to dobrze nie tylko z seriali typu „Broadchurch".

W roli Ellis pojawia się wielka gwiazda serialu „Yellowstone" i jego kontynuacji, „Ranczo Duttonów". Kelly Reilly, na zawsze skojarzona w masowej wyobraźni z Montaną i Teksasem, jest tak naprawdę Brytyjką z irlandzkiej rodziny, a jej celtycka uroda idealnie pasuje do świata miasteczka Morfa Halen. W roli ojca zabitego chłopca świetny jest (jak zwykle) Jonathan Pryce. Sześcioodcinkowy serial wyprodukowany przez brytyjski kanał Sky Atlantic to solidna produkcja obyczajowa, w której lokalny koloryt ważniejszy jest od sensacyjnej fabuły. Lubię takie opowieści. ©℗

GRA TYGODNIA: „REPLACED"

Wreszcie cyberpunkowa gra warta uwagi. Zacznijmy nietypowo – od wyglądu. Postaci i świat zbudowane z przerośniętych jak na dzisiejsze standardy pikseli nie robiłyby wielkiego wrażenia, ale uzupełnienie tej konwencji o fantastyczną grę światłem sprawia, że pod względem wizualnym tytuł ten zapisuje się w pamięci gracza na dłużej, niż trwa ukończenie przygody. A co do samej przygody – wcielamy się w sztuczną inteligencję zamkniętą w ciele człowieka. Nikt tu z tego faktu nie jest zachwycony, ale



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

★★★★★★

trzeba odłożyć pretensje na bok, by ratować skórę. ©℗

Radosław Wojtas

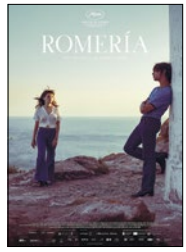
- *Gatunek: akcji, side-scroll 2,5D*
- *Platforma: XSX, PC*
- *Producent, dystrybutor: Sad Cat Studios, Thunderful Publishing*

eprasa.pl f190bf5ce0

Krajobraz po balu

KINO

Czym żyli młodzi ludzie 40 lat temu? Carla Simón odpowiada: miłością, buntem i marzeniami. Punkt wyjścia jest cokolwiek banalny: dziewczyna z Katalonii pod pretekstem zdobycia dokumentów koniecznych, aby otrzymać stypendium, przybywa do Galicji (tej hiszpańskiej). Mając za przewodnik pamiętnik nieżyjącej matki, szuka swoich korzeni. Liczna rodzina ojca, też świętej pamięci, przyjmuje krewną z mieszanymi uczuciami. Każdy zapamiętał z przeszłości co innego. Zresztą po co w niej grzebać, gdy lato nad Atlantykiem dostarcza tyle rozrywek i przyjemności?



★★★★★★

REŻ. CARLA SIMÓN
„ROMERÍA"
HISZPANIA 2025

wyst. Llúcia Garcia, Mitch Martin, Tristán Ulloa

Podobnie kombinowali Bertolucci w „Ukrytych pragnieniach" tudzież autorka libretta kiczowatej komedii „Mamma Mia!". „Romería" jest bardziej serio, oprócz wątków autobiograficznych pojawia się w niej motyw rozliczeniowy, podważający mit szczęśliwej dekady przełomu. Hedonizm madryckiej Movidy promieniował na cały kraj. O cieniach obyczajowej rewolucji mówiło się mniej. Tymczasem młodzi kontestatorzy zatracili instynkt samozachowawczy: zamiast rozejrzeć się za jakąś pracą, bawili się i ćpali na potęgę. Epilog był smutny: jedni przedawkowali, drugich skosił AIDS, inni stali się przestępcami. Simón ten upadek pokazuje, lecz w zawoalowanej, odległej od realizmu formie. Ciężar odpowiedzialności przerzuca na generację poprzednią: bezduszną, przeżartą korupcją oraz hipokryzją.

Państwo Piñeiro nawet jako emeryci są wredni. Babcia Mariny ma obsesję na tle czystości basenu, dziadek wręcza wnusiom pieniądze pod warunkiem, że regularnie odwiedzają fryzjera. Dawniej ani chybi popierał gen. Franco, współczesną Hiszpanię nazywa zaś „państwem z kartonu". Cóż, na rzetelny rachunek sumienia trzeba jeszcze trochę poczekać. Główna bohaterka wydaje się lepsza i mądrzejsza. Od używek stroni, odmawia przyjęcia jałmużny. Chce kręcić filmy. Trzeba przyznać, że Simón ma dobrą rękę do aktorów: debiutantka Llúcia Garcia w podwójnej roli matki i córki jest urocza. Domknięcie trylogii, rozpoczętej „Latem 1993" i kontynuowanej w „Alcarràs", nie zachwyca recenzentów, ponieważ „Romería" bazuje na dystansie oraz ambiwalencji. Zgoda, z ekranu wieje chłodem, ale bądźmy cierpliwi! Carla Simón ma dopiero 39 lat. ©℗

Wiesław Chełminiak

KAWA I SUCHARY

Liam Neeson wszedł w kapcie Leslie Nielsena, ale są na niego o numer za duże. Reedycja „Nagiej broni" prezentuje się tylko trochę lepiej niż „Różowa Pantera" bez Petera Sellersa. Zwalisty Irlandczyk grał już w komediach, rozpustna Pamela znowu jest modna, wrócił Al Yankovic. Więc co mogło pójść nie tak? Po pierwsze: Nielsen starzał się lepiej. Po drugie: scenarzyści wzięli pieniądze za nic. Frank Drebin junior to klon tatusia. Jest gwiazdą Brygady Specjalnej policji w Los Angeles, pasjami łamie prawo, a zapach kobiety odbiera mu resztki rozumu. Po trzecie: przeciwnikiem idioty w mundurze jest zdziadziały magnat technologiczny rodem z dawnych Bondów. Czemu nie arogancki szczeniak w typie Muska? Mógłbym tak jeszcze długo, ale miejsca brak. Widzom, których nie przekonałem, radzę wytrwać aż do napisów końcowych. ©℗



MEGOGO

★★★★★★

REŻ. AKIVA SCHAFFER
„NAGA BROŃ"
(„NAKED GUN")
USA 2025

wyst. Liam Neeson, Pamela Anderson, Danny Huston

DO ZOBACZENIA

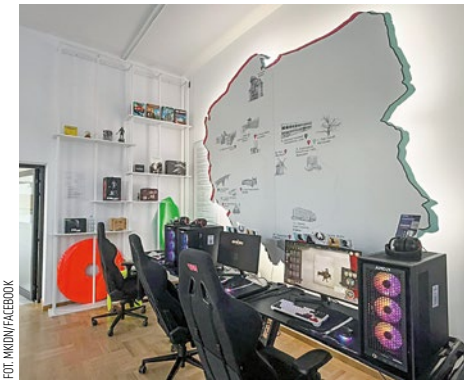
Polska w grze



RADOSŁAW WOJTAS

Jaka jest pierwsza polska gra komputerowa? Odpowiedź na to pytanie jest dość trudna. Niektórzy przyjmują umownie, że jest nią „Puszka Pandory" stworzona przez Marcina „Borka" Borkowskiego. Choć faktycznie wcześniej powstawały mniej lub bardziej zaawansowane gry, to „Puszka..." zapisała się w historii jako ta, która jako pierwsza trafiła do regularnej sprzedaży.

A trafiła do sprzedaży równo 40 lat temu – w 1986 r. I ta rocznica była pretekstem do otwarcia niewielkiej wystawy podsumowującej cztery dekady polskiego gamedevu. Na odwiedzających czekają osiem stanowisk z grami, wielkoformatowa mapa prezentująca najważniejsze polskie lokacje obecne w grach wideo i film ukazujący historię branży poprzez fragmenty 44 tytułów z ostatnich czterech dekad oraz inne ekspo-



FOT. MKIDN/FACEBOOK

naty związane z historią polskiej branży gier. Organizowane są też spotkania z ludźmi z branży. Najbliższe, z Adrianem Chmielarzem, zaplanowano na 21 maja. ©℗

GDZIE? ***Galeria „Okno na Kulturę", Krakowskie Przedmieście 17 w Warszawie***
KIEDY? ***do 30 czerwca***

eprasa.pl f190bf5ce0

MOJA PÓŁKA

Najpiękniejsze miejsce na ziemi



KRZYSZTOF MASŁOŃ

Na Lucka, jednego z protagonistów „Ludzi czerwonego słońca", natknąć się można było przy drodze, poleguującego gdzieś na podwórku czy w rowie. „W takich momentach, gdy czuł ziemię pod plecami, rozmarzał się, tracił siły, szybował do nieba. Był w raju".

– Jak można się takim urodzić? – pytał go kierownik zlewni, do której oddawał zwiezione z całej wsi mleko.

– Można – odpowiadał Lucek.

– Jak można być tak głupim? – drążył temat kierownik.

– Można.

– Nikt tu nie jest taki głupi jak ty – wyrokował kierownik.

– Ty jesteś.

Takie rozmowy prowadzili ze sobą codziennie. Powtarzały się te same pytania, powtarzały też te same uderzenia w twarz, pozostawiane bez odpowiedzi. Kierownika zlewni męczyło, widać, wciąż to samo, w nieskończoność więc pytał: „Dlaczego ty taki głupi jesteś? Śpisz z kobyłami czy co? Dlaczego taki dziwny jesteś? Nie można patrzeć na ciebie".

Inni też mają z tym trudności; dobre słowo znajduje dla niego tylko Monika, no i czasem sklepowa Irena obdaruje go pączkami, starymi wprawdzie, ale darmowymi. Nie tylko dlatego Lucek uważa, że nigdzie nie jest tak dobrze, jak w tym sklepie, gdzie nawet światło jest inne niż gdzie indziej, lepsze. Ale co z tego? „Głupi jesteś, mówił do siebie Lucek. Debil. Idiota. Będziesz zdychał. Bóg cię ukarze. A jak nie Bóg, to ktoś inny. Ktoś się znajdzie. Zawsze ktoś się znajdzie".

„Dlaczego ty taki tępy jesteś?" – pyta sołtys Rudecki. „A ty, dlaczego taki tępy jesteś" – jak echo odpowiada Lucek. A na pytanie, co ma w głowie, z pełnym przekonaniem odpowiada, że nic. Nic nie ma w głowie. I dlatego musi zdechnąć. Jeśli czegoś mu będzie wtedy żal, to pracy. Tego, jak rano po ciemku wstaje i po ciemku zasypia potem, jak zaprzęga konie, które lubi najbardziej, i jedzie po mleko, przywozi je do zlewni i może już pójść do sklepu koło spółdzielni, a tam już jest najlepiej na świecie.



FOT. RADEK PIETRUSZKA/PAP

Paweł – jego brat cioteczny, choć nie jest to do końca pewne – zabił matkę, rozwalił jej głowę siekierą. Poniósł karę, odsiedział wyrok, twierdzi, że jest dobrym człowiekiem. Odosobniony jest w tym zdaniu. Jeden dyrektor szkoły, jego dawny nauczyciel, pociesza go, że matka byłaby z niego dumna, bo w końcu wyszedł na ludzi. To nie byłem wcześniej człowiekiem? – pyta Paweł. I dlaczego – głośno myśli – matka byłaby z niego dumna: przecież ją zabił. A że drugi raz już nie zabił i rzekomo odpokutował za swój czyn, to jak miał drugi raz zabić matkę? Nie ma drugiej.

Zapewnia jednak każdego, że jest dobrym człowiekiem. „A kto mówi, że nie? Nie można tylko na ciebie patrzeć" – słyszy w remizie na zabawie. No, widok jego nie jest może zbyt budujący. Czesał się ostatnio, nie wiadomo kiedy, a buty kupił sobie jeszcze przed więzieniem, 20 lat temu. Ale nie dlatego zostaje pobity, a z tego powodu, że psuje atmosferę na zabawie. Ma więc tu nie przychodzić. A jednak przyjdzie i już na następnej zabawie zabije Monikę.

W tej wsi wszystko umiera. Dyrektor szkoły nie pracuje już od pięciu lat. Jego żona „prowadziła jeszcze dwie klasy, ale gmina zdecydowała, że trzeba już zamknąć placówkę, bo za dużo kosztowało jej utrzymanie. Ludzie umierają i szkoła umiera". W okolicy dziewczyn zrobiło się jakby mniej niż kiedyś, a teraz nie ma już Moniki. Po co tam siedzieć dalej? W miejscu, które nauczyciele uważali kiedyś za najpiękniejsze, jakie widzieli w życiu i jakie mogło im się trafić.

A Pawła, zabójcę poszukiwanego przez policję, zapamiętał dyrektor jako ucznia, który zawsze miał coś do powiedzenia:

Na przykład kiedy mieliśmy lekcję z dietetyczką. Dietetyczka mówiła dzieciakom o tym, że człowiek jest tym, co je, tym, co czyta, ogląda i tak dalej. I on zaraz odpowiedział: jak człowiek jest tym, co je, co czyta, ogląda i tak dalej, to znaczy, że sam z siebie jest niczym. Bo zależy od tego, co je, czyta i ogląda. Więc jest niczym. Nieważne, co je, czyta, ogląda i tak dalej. I tak zawsze jest niczym. Sam z siebie. I z życia też. Od początku do końca. Czyli życie jest niczym. Nie można mu było nic wytłumaczyć. Tkwił w takich błędach. Nie wiem dlaczego. Nie miał w życiu ani lepiej, ani gorzej niż inni. Ale tkwił w tym.

– Dobrze się uczył?

– Prawie jak wszyscy tu.

Współtwórcą tej niezwykłej książki Rafała Wojasińskiego, stawiającej otwarte pytania o naturę zła i sens cierpienia, jest Franciszek Maśluszczak, wybitny malarz i rysownik, świetny ilustrator. Dwadzieścia reprodukcji jego obrazów tworzy nie tyle może szatę graficzną, ile dopełnia treści zawarte na zaledwie siedemdziesięciu paru stronach „Ludzi czerwonego słońca". Małego kawałka wielkiej literatury. ©℗



★★★★★★

RAFAŁ WOJASIŃSKI „LUDZIE CZERWONEGO SŁOŃCA" BOSZ, LESKO 2026

eprasa.pl f190bf5ce0



PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Fatalny romans

Specjalista od katastrof lotniczych prowadzi dochodzenie w sprawie tragicznego wypadku – zginęły załogi i wszyscy pasażerowie dwóch wielkich maszyn, które zderzyły się ze sobą w powietrzu. Ale coś jest bardzo nie w porządku. Martwe ciała powinny wyglądać inaczej. W dodatku na miejscu znaleziono dziwny artefakt – najprawdopodobniej nie jest to dzieło ludzkich rąk. Jednocześnie śledztwem interesuje się kobieta przybyła do naszych czasów z odległej przyszłości. Śledztwem oraz prowadzącym je mężczyzną.

Czasem dobre książki powstają trochę przez przypadek. Tym razem rolę odegrały też frustracja i desperacja. Zaczęło się od opowiadania „Porwanie" z 1977 r. Szybko zainteresowało się nim Hollywood. Film wszedł na ekrany w roku 1989, po wielu latach kłótni o kształt projektu. Jak mówił mi przed laty w wywiadzie John Varley: „To straszna chała. I w dodatku napisana przeze mnie. Zarówno ja, jak i sześciu kolejnych producentów nie zgadzaliśmy się na proponowane zakończenie. Ale zapłacili nam nieźle". (Cały wywiad z Varleyem i rozmowy z innymi pisarzami SF znajdziecie w mojej nowej książce „Wróbel Galaktyki", która ukaże się w czerwcu).

Autor odcina się od filmu – i słusznie – ale wcześniej ocalił swoją wizję. Wydał bowiem w 1983 r. powieść, której podstawą był jego oryginalny scenariusz z roku 1979. I ta właśnie książka wraca teraz na księgarskie półki w Polsce. Pierwsze wydanie ukazało się niemal 20 lat temu nakładem wydawnictwa Prószyński i S-ka, Rebis pod tytułem „Milenium" przypomina ją w serii „Wehikuł czasu".

O zakrętach fabuły mówić wiele nie mogę, żeby nie psuć niespodzianek, odnotuję jednak rzeczy dwie: to jedna z najlepszych powieści Varleya (za rzadko, moim zdaniem, tłumaczonego), a opowiadanie było jeszcze lepsze. Po drugie okazuje się zaskakująco aktualna, gdy dojdziemy już do rozwiązania zagadki oraz do obrazu dalekiej przyszłości, którą wyimaginował sobie pisarz.

Żal, że dobrą dekadę swego życia zmarnował Varley na ślęczenie nad kolejnymi projektami filmowymi, które czekał los jeszcze gorszy od „Milenium" – nigdy nie były realizowane. Pisarzu, pamiętaj: mając do wyboru między romansem z Hollywood a romansem z piękną agentką temporalną, zawsze wybieraj to drugie. ©℗



★★★★★★

JOHN VARLEY
„MILENIUM"
REBIS 2026

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

W nowym numerze „Czwórek" dużo o sarmatyzmie i mesjanizmie sarmackim; Michał Łuczewski przekłada wiersze Gerarda Manleya Hopkinsa i Alfreda lorda Tennysona; są i Gołębiowski, i Rojek – nic, tylko czytać. Warto.



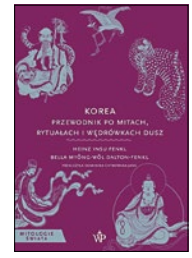
„MAGAZYN APOKALIPTYCZNY 44"
NR 16

Sowieci wzięli go do niewoli w 1945 r. Spędził w łagrach 13 lat, był przywódcą buntu w Workucie. Raz skazany na śmierć przez Rosjan, drugi raz – przez sąd PRL. Przeżył „nieludzką ziemię" i opisał swoją historię.



EDWARD BUCA
„W PIEKLE CZERWONEGO IMPERIUM"
REPLIKA

Podania, legendy, ideologie, egzotyczne rytuały, wierzenia w wędrówkę dusz: w ostatniej dekadzie rosła w Polsce popularność literatury koreańskiej, ta książka dostarcza z kolei wiedzy, która pomoże czytelnikowi ją zrozumieć.



AUTORZY RÓŻNI
„KOREA. PRZEWODNIK PO MITACH"
WYDAWNICTWO POZNAŃSKIE

W styczniu minęło 120 lat od narodzin twórcy Conana. Wśród jego opowiadań znaleźć można jednak także typowe opowieści grozy, czasem inspirowane Lovecraftem. Zbiór najlepszych przełożył Jerzy Łoziński.

recenzuje Piotr Gociek



ROBERT E. HOWARD
„DŁAWIĄCY HORROR"
ZYSK I S-KA

KOMIKS TYGODNIA:
KLASYK Z DŻUNGLI

Album kolekcjonerski otwierający wielotomową edycję nowych adaptacji komiksowych powieści fantastyczno-przygodowych Edgara Rice'a Burroughsa. Następne w kolejce historie są o podziemnym świecie Pellucidar, o zapomnianym lądzie Caspak i o planecie Mars. Nie mamy jednak do czynienia z typowymi adaptacjami, twórcy albumu sięgają też po inspirację filmami o Tarzanie i dokładają własne pomysły. ***Piotr Gociek***



ÉRIC CORBEYRAN, ROY ALLAN MARTINEZ
„TARZAN. CZŁOWIEK MAŁPA"
EGMONT 2026

eprasa.pl f190bf5ce0



Wojciech Golonka



NATO pod niemiecką kuratelą

Niemcy jawią się Amerykanom jako najbardziej odpowiedni i w sumie jedyny sensowny kandydat do stopniowej cesji odpowiedzialności za obronę kontynentu mimo niedoskonałości czy wręcz bolączek tego rozwiązania

Na spotkaniu ministrów obrony NATO w Brukseli w lutym br. Elbridge Colby, amerykański podsekretarz obrony do spraw polityki i strategii, ogłosił przeniesienie odpowiedzialności za konwencjonalną obronę Europy na kraje europejskie, na czele z Niemcami w roli przywódcy. Odtąd projekt ten zwany jest NATO 3.0. Przyjęcie tej linii Colby powtórzył następnie na Monachijskiej Konferencji Bezpieczeństwa, a w komentarzu do ogłoszonej w kwietniu nowej strategii obrony Niemiec pochwalił Berlin za przejmowanie roli lidera obrony europejskiej. Ogłoszenie w maju wycofania 5 tys. żołnierzy amerykańskich z Niemiec, jakkolwiek nieprzedstawiane w ramach polityki międzynarodowej i krajowej, nie jest zatem pokłosiem możliwych waśni na tle wojny amerykańsko-irańskiej, a logicznym elementem procesu przegrupowania amerykańskich sił zbrojnych w skali globalnej, które wywrze swe piętno także na Europie.

W okresie przystępowania Polski do NATO potęga militarna USA jawiła się nam bezsprzecznie jako niezrównana, a stąd idea samego sojuszu pod przywództwem Amerykanów jako niepodważalna i w zasadzie bezterminowa, przynajmniej za naszego mniej lub bardziej długiego życia. W szczególności uważano, że Amerykanie w swych technologiach zbrojeniowych są i na długo pozostaną 20 lat do przodu względem swych rywali, Stany Zjednoczone zaś – podkreślano – były zdolne prowadzić dwie i pół pełnoskalowe wojny jednocześnie. Ta aura niepokonalności graniczącej z niezniszczalnością oraz entuzjazm związanym z samym naszym akcesem do sojuszu północnoatlantyckiego, stanowiącym dla nas swego rodzaju moralną i mentalną kompensację oraz rewanż za dekady przynależności do bloku sowieckiego, z pewnością przesłaniały nam procesy już wówczas zachodzące, choćby w zalążku, a które dziś stały się faktami dokonanymi: USA z 2026 r. nie są w stanie prowadzić zwycięsko dwóch wojen regionalnych naraz, w kontekście rosnących napięć nie honorują terminowo kontraktów zbrojeniowych dla swych sojuszników, a pozostałości z przewagi technologicznej, która wyraźnie skurczyła się na przestrzeni ostatnich dwóch dekad, i tak okazują się niewystarczające w przypadku konfliktu asymetrycznego na wzór amerykańsko-perskiej wojny, która wygrywana do pewnego stopnia taktycznie okazała się strategicznie impasem, jeśli nie wręcz porażką.

FERMENT POLITYCZNYCH PRZESILEŃ

Na ile te twarde realia docierają do naszej wyobraźni (o ile nie są one przez nas wypierane lub po prostu zagłuszone

eprasa.pl f190bf5ce0



FOT. ADOBE STOCK

przez różnoraką propagandę), to ich zderzenie z naszym jakże silnym onegdaj poczuciem bezpieczeństwa, budowanym właśnie na opinii niezrównanej potęgi USA, wywołuje dezorientację, która siłą rzeczy nakłada się dodatkowo na zachodzący już ferment politycznych przesileń i rozgrywek mających miejsce wokół samego sojuszu, ferment przybierający na sile przy okazji co głośniejszych deklaracji antagonizujących członków sojuszu wskutek rozbieżnych interesów strategicznych i finansowych. Co więcej, ta już i tak rzeczywista dezorientacja, przypominająca dynamiczne falowanie statku na wzburzonych morzach dzisiejszej geopolityki, jest dublowana sprzecznym przekazem ekspertów – ludzi, którzy naprawdę wydają się zorientowani – kiedy część z nich mówi wprost o śmierci NATO i jego nekrologu w postaci wojny irańskiej, podczas gdy inni zapewniają, że sojusz pozostaje silny jak nigdy dotąd. Czy przy tej skali rozbieżności zdań jest zatem jeszcze możliwe przewidzenie, co stanie się z sojuszem, a w szczególności, jaką postać przybierze on ostatecznie po amerykańskich przetasowaniach, które rozpoczęły się w Europie?

Odpowiedź na to pytanie wydaje się możliwa, jeśli mniej lub bardziej huczne wypowiedzi chwili, a zwłaszcza poszczególne decyzje, umieścimy na naturalnej trajektorii długofalowych procesów, które dokonują się w amerykańskim potencjale militarnym, jak i w zasobach geopolitycznych rywali USA. Nie sposób tu uchwycić wszystkich elementów tego jakże złożonego zjawiska, nie mówiąc już o potrzebie eksperckich kwalifikacji, aby te elementy dogłębnie przeanalizować, odpowiednio wyważyć i zestawić następnie w jedną całość. Można natomiast jak najbardziej sprowadzić całość do kilku czynników, a w zasadzie jednego, podsumowującego dziś poniekąd wszystko z perspektywy czasu, a jawiącego się jak na dłoni. Z perspektywy czasu, zresztą bardzo długiej, jeśli wspomnimy przypisywaną Cyceronowi starożytną maksymę: „Nervus belli pecunia infinita" („Nerwem wojny jest pieniądz, i to pieniądz nieograniczony" – w wolnym tłumaczeniu). A skoro największe nawet pieniądze okazują się z czasem skończone, to... w praktyce żadna gospodarka nie może sobie pozwolić na wyścig zbrojeń bez końca, tym bardziej w społeczeństwie silnie zorientowanym na konsumpcję i dobrobyt, jak w przypadku naszych sojuszników zza oceanu.

Ma się rozumieć, ten wątek w przypadku Stanów Zjednoczonych należy naświetlić i zniuansować, ale to właśnie ta zasada tłumaczy, dlaczego dziś, mimo chwilowych przepychanek o stacjonowanie żołnierzy amerykańskich w Niemczech, Amerykanie stawiają akurat na Niemcy w kwestii stopniowej cesji ciężaru obronności Europy. I ta sama zasada tłumaczy, dlaczego choćby najsilniejszy lobbing po stronie polskiej tego procesu nie odwróci na rzecz tzw. wschodniej flanki NATO. Wchodząc bardziej w szczegóły, osławiona mityczna zdolność amerykańskiej armii do prowadzenia dwóch pełnoskalowych wojen oraz jednego konfliktu regionalnego jednocześnie to w rzeczywistości zimnowojenny ideał, ukuty w latach 60. za prezydentur Johna Kennedy'ego i Lyndona Johnsona, zakładający możliwość prowadzenia przez USA jednocześnie wojny konwencjonalnej w Europie i w Azji oraz dodatkowego konfliktu regionalnego. Wizja ta jednak już w latach 70., w ramach reorganizacji po porażce i kosztach wojny wietnamskiej, uległa znacznej dewaluacji, ograniczając się do potencjału półtorej wojny jednocześnie, a z kolei w latach 90., za prezydentur George'a Busha seniora i Billa Clintona, w dobie odwilży po zimnej wojnie zastąpiono ją jeszcze prostszym standardem możliwości prowadzenia dwóch wojen regionalnych jednocześnie. (Dodajmy, że wojna regionalna to także wojna nieangażująca bezpośrednio sił zbrojnych USA, jednakże angażująca jak najbardziej jej zasoby w ramach proxy war – wojen zastępczych USA, z których przykładem par excellence była, przynajmniej do czasu szczytu na Alasce, wojna rosyjsko-ukraińska). Co więcej, standard ten uległ, po roku 2000, dalszej redukcji, gdzie doktrynę win-win (możliwości równoległego prowadzenia dwóch „zwycięskich" wojen) zastąpiono tańszym i mniej idealistycznym rozwiązaniem w postaci „win-hold-win": „zwycięskiego" prowadzenia jednej wojny oraz działań obronnych w równoległym konflikcie do czasu, kiedy rozstrzygnięcie pierwszego konfliktu umożliwi przerzucenie większych sił i rozstrzygające zwycięstwo w tym drugim.

ZDERZENIE POTENCJAŁU Z GEOPOLITYKĄ

Innymi słowy, co skądinąd jest truizmem godnym podkreślenia, amerykańscy planiści i decydenci już od ponad pół wieku dokonują stałej redukcji wolumenu możliwości bojowych sił USA w skali globalnej (rozwijając skądinąd ich jakość), które przybrały nadzwyczajne imperialne rozmiary na skutek przyłączenia się tego kraju do drugiej wojny światowej i powojennych realiów zimnej wojny. Stąd już w chwili naszego akcesu do sojuszu północnoatlantyckiego mówiono o ograniczeniach, które dziś, pół wieku później, być może z pewnym niedowierzaniem uwidaczniają się na naszych oczach na skutek zderzenia obecnego amerykańskiego potencjału z rzeczywistością bieżącej geopolityki. Wprawdzie nie należałoby czynić z poniższej konstatacji deprecjacji sojuszu, ale winniśmy zdać sobie sprawę, że nasze

eprasa.pl f190bf5ce0

bezpieczeństwo w ostatnich dekadach wynikało bardziej z równowagi na świecie, dyktowanej, owszem, przez hegemoniczne amerykańskie supermocarstwo, i braku stosownego potencjału po stronie jego rywali, niezdolnych wówczas tejże hegemonii zagrozić, niż z jakiejś samej abstrakcyjnej niepokonalności armii USA, która miałaby trwać wiecznie. Otóż w chwili, kiedy Rosja otrząsnęła się na dobre z rozsypki po upadku Związku Sowieckiego, a Chiny, w oparciu o długofalowy wzrost gospodarczy, urosły do rangi bezsprzecznego mocarstwa z aspiracjami globalnymi, brana za pewnik przez wielu niepokonalność amerykańskiego oręża została zweryfikowana w zestawieniu z zasobami i potencjałem innych graczy na arenie światowej, z Iranem włącznie, skutecznie aspirującym do miana czwartego supermocarstwa.

Tę współczesną amerykańską wykładnię wspomnianej Cyceronowej maksymy należałoby uzupełnić o dodatkowy aspekt już stricte finansowy: otóż redukcja możliwości militarnych Stanów Zjednoczonych w skali globalnej nie oznaczała automatycznej redukcji wydatków zbrojeniowych, wręcz przeciwnie. Z jednej strony niezwykle kosztowne inwestycje zbrojeniowe, z drugiej strony dobre dwie dekady wojen na Bliskim Wschodzie, zwieńczone gigantycznymi nakładami na wojnę rosyjsko-ukraińską – krzywa długu Ameryki przypomina w ostatnich latach funkcję ze wzrostem w trybie wykładniczym, niezwalniającym mimo rotacji partii u władzy. Jeśli w 2017 r. „ekscytowano" się na świecie, że dług ten przebił granicę 20 bln dol., to obecnie jest to już przeszło 39 bln, więc skok o prawie 100 proc. w niecałe 10 lat. Ekonomiści mogliby wprawdzie relatywizować te dane zmienną wartością samego pieniądza czy stosunkiem długu do PKB, niemniej przy tych astronomicznych kwotach, przy ewidentnym wzroście potencjału rywali jedyną sensowną możliwością dla Ameryki jest przegrupowanie jej sił w skali globalnej wedle wyznawanych przez Waszyngton priorytetów. „Nervus belli pecunia infinita" – ot prawda odpowiedzialna w największej mierze za wstrząsy mogące dotknąć NATO, mimo ewentualnej politycznej rekuperacji wydarzeń czy nawet rozbieżności interesów strategicznych, kiedy to zachodni wasale zbiorowo wypowiedzieli pomoc swemu amerykańskiemu suzerenowi w kwestii perskiej pułapki.

Należy nastawić się na to, że znacząca militaryzacja naszego sąsiada za Odrą stanie się, w perspektywie od jednej dekady do dwóch, faktem dokonanym

Wspomniałem, że Cyceron równie dobrze tłumaczy, dlaczego Amerykanie stawiali i najwyraźniej będą nadal stawiać na Niemcy w kwestii przejęcia ciężaru obronności Europy, choć zachowają przy tym pakiet kontrolny w postaci choćby częściowej zależności logistycznej i wywiadowczej lokalnych sił zbrojnych, o odstraszaniu nuklearnym i naczelnym dowództwie nie wspominając.

POLSKA BEZ REALNYCH SZANS

Otóż, po pierwsze, precedens ten miał już miejsce stosunkowo niedługo po zakończeniu drugiej wojny światowej, kiedy to USA wykazały się pragmatyzmem, który równie dobrze mógłby szokować kraje, które doświadczyły niemieckiej napaści i okrucieństwa. I tak po wybuchu wojny koreańskiej w 1950 r. ówczesny głównodowodzący sił sojuszniczych w Europie, gen. Dwight Eisenhower, nalegał na szybkie włączenie RFN w struktury obronne Europy (czy to w formie NATO, czy to rozważanej już wówczas Europejskiej Wspólnoty Obronnej), zarówno z punktu widzenia liczebności potrzebnych do tego wojsk, jak i strategii – Niemcy zachodnie były wówczas potencjalnym teatrem konwencjonalnej wojny NATO – Związek Sowiecki. Ten sam Eisenhower, zostawszy prezydentem USA, umożliwił w 1955 r. wstąpienie Niemiec do NATO, a już dwa lata później niemiecki generał Hans Speidel – w czasie drugiej wojny światowej m.in. szef sztabu feldmarszałka Erwina Rommla we Francji – został dowódcą sił lądowych NATO w Europie Środkowej, z siedzibą sztabu w podparyskim Fontainebleau…

Wprawdzie wschodnia flanka NATO przesunęła się w tym czasie o dobre dodatkowe 800 km na wschód, niemniej to pozbawione kompleksów oparcie się Amerykanów na pokonanych nazistach jako kluczowym komponencie obrony (zachodniej) Europy jest historycznym faktem dokonanym, łatwo rzutującym na dzisiejsze decyzje.

Po drugie, i przede wszystkim, Niemcy jako najludniejszy kraj w Unii Europejskiej, z najsilniejszą gospodarką i wciąż niezatraconymi możliwościami technologicznymi, z siecią autostrad i utartym od lat hubem amerykańskiej armii w środku Europy, jawią się Amerykanom jako najbardziej odpowiedni i w sumie jedyny sensowny kandydat do stopniowej cesji odpowiedzialności za obronę kontynentu, mimo niedoskonałości czy wręcz bolączek tego rozwiązania. Jakkolwiek by zabiegać o ten status ze strony połączonych państw wschodniej flanki NATO, z Polską na czele, ich rozproszony status, możliwe niestabilności polityczne czy wahające się orientacje geopolityczne (Słowacja, Węgry), o polskiej anarchii lub awanturnictwie nie wspominając, w plebiscycie o przejęcie częściowej schedy po suzerenie w jego europejskich włościach nie mamy, wśród wasali Ameryki, realnych szans.

Ma się rozumieć, przyszłość pozostaje domeną przygodności, z natury zmiennej, biorąc jednak pod uwagę poważne zapowiedzi polityków „technicznych" z administracji Donalda Trumpa pokroju Elbridge'a Colby'ego, należy nastawić się na to, że znacząca militaryzacja naszego sąsiada za Odrą stanie się, w perspektywie od jednej dekady do dwóch, faktem dokonanym, ze wszystkimi tego możliwymi skutkami. Politycy biorący odpowiedzialność za Rzeczpospolitą muszą zatem, w najbliższych latach, wykazać się największą dalekowzrocznością i przezornością, aby to czyhające na nas mniej lub bardziej rzeczywiste zwierzchnictwo niemieckiego imperium nie pozbawiło nas, w praktyce, resztek naszej wąskiej już niepodległości. Pomijając właściwego im ducha imposybilizmu i rezygnacji, przyznam, że jest to dość pobożne życzenie, zważywszy, ilu przedstawicieli naszych elit przewidziało, że akces do NATO w 1999 r. oznaczał, na trajektorii już wówczas odbywających się procesów historycznych, docelowo przejście pod niemiecką kuratelę militarną.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl f190bf5ce0

Reset z Rosją? Po co?



Rafał A. Ziemkiewicz

Nie rozumiem, dlaczego Marcin Skalski każe mi rozumieć, jak ważne jest dla Rosjan panowanie nad Ukrainą. Co nas to obchodzi? Myślmy raczej, jak zmusić Rosjan, by to oni zrozumieli, że żywotnym interesem Polski jest powrócić na tereny, które odebrano nam 100 lat temu i wcześniej, w czasie rozbiorów

Pojednać się z Rosją" – mało kto zdaje sobie sprawę, jak stara to idea i jak wielu wybitnych Polaków ją podejmowało. Pierwszym, który wierzył, że racjonalne argumenty przekonają carycę, iż nowoczesna, sprawnie zarządzana sojusznicza Polska opłaci się Rosji bardziej niż jej niszczenie i podbój, był niesłusznie dziś zapomniany Stanisław Poniatowski, ojciec nieszczęsnego ostatniego króla Rzeczypospolitej. Potem o ugodę z Rosją starali się najwięksi politycy, których Polska wydała, na czele z Adamem Czartoryskim, Aleksandrem Wielopolskim i Romanem Dmowskim, nie wspominając o postaciach nieco mniejszej miary, jak Staszic czy Drucki-Lubecki. Marcin Skalski, pisząc o pożytkach teoretycznego „Resetu z Rosją" („DRz" nr 19/2026), chodzi więc po śladach nie byle jakich postaci. Niestety, nie mam wrażenia, by zdawał sobie sprawę z przyczyn, dla których starania takich tuzów geopolityki skończyły się fiaskiem i dla których Polacy ostatecznie powierzyć musieli swe losy przywódcom innego rodzaju, „bardziej nienawidzącym Rosji niż kochającym Polskę". Bynajmniej nie miała z tym nic wspólnego rzekoma polska „rusofobia", wmawiana nam uporczywie przez propagandę Kremla, której chętnie sekundowały w tym przez wiele lat liberalne media zachodnie.

Fakty z naszej historii przeczą rozbudowanej legendzie o odwiecznym polskim buncie przeciwko Rosji. Ten bunt wybuchał od czasu do czasu jako „zbrojna reakcja na ucisk", jak to ujął Dmowski, ale podobnie od czasu do czasu wybuchały wielkie nadzieje związane z nowym carem. Każdy kolejny był witany przez Polaków jako ten, który dokona oczekiwanego – użyjmy tego współczesnego słowa – „resetu" i, mówiąc po ludzku, da żyć.

Niechęć do strzelców Piłsudskiego, wzywających jako forpoczta inne z zaborczych armii do antyrosyjskiego powstania, nie została zmyślona, podobnie jak pomniki stawiane carowi przez polskich chłopów ani milion rubli zebrany w publicznej zbiórce jako dar dla nowego rosyjskiego władcy z okazji jego pierwszej wizyty w Warszawie.

Nie należy mylić tych gestów z kolaboracją, zaprzedaniem się okupantowi, zdradą – te oczywiście również się zdarzały, ale, wbrew propagandzie radykałów, ugodowcy, sami siebie zwący chętniej „realistami", nie byli renegatami i kierowali się dobrze pojmowanymi interesami Polski. O fiasku ich starań nie decydowały żaden „powstańczy szantaż" ani polska „głupota", ale fakt, że nigdy nie znajdowali partnera do uprawiania polityki po stronie rosyjskiej. Na wszystkie racjonalne i obustronnie korzystne propozycje ugody jedyną odpowiedzią były knuty, pałki i kibitki. Jedyną ofertą dla Polaków było to, że mają stać się oddanymi samodzierżawiu Rosjanami. Uparte sekowanie i rusyfikowanie ludności „priwislanskiego kraju" nie miało żadnych racjonalnych podstaw, przeciwnie – powodowało nieustanny, nierozwiązywalny konflikt, który ostatecznie przyczynił się do tragicznego końca monarchii i dynastii Romanowów.

SZALEŃSTWO ROSYJSKICH ELIT

Nie tylko Polacy nie byli zdolni pojąć przedziwnej logiki – jeśli słowo „logika" jest tu na miejscu – którą kierują się elity państwa, którego, jak ujął to rosyjski poeta, „rozumem nie pojmiesz" i „w które można tylko wierzyć". Także polityka przywódców Zachodu wobec Kremla regularnie kończyła się bankructwem. Przykładem najnowszym jest „reset" rozpoczęty przez Baracka Obamę i kontynuowany przez Joe Bidena, którego nieprzewidzianym skutkiem jest trwająca od czterech lat wojna na Ukrainie.

W tym punkcie nie zgadzam się z Johnem Mearsheimerem i Henrym Kissingerem. Ich teza, że ta wojna wybuchła dlatego, że, jakoby, Rosja wskutek nieprzemyślanych działań USA poczuła się osaczana i zagrożona, to właśnie jeden z przykładów przypisywania przywódcom rosyjskim sposobu myślenia absolwentów chicagowskich i nowojorskich uczelni prawniczych. Rosja uderzyła na Ukrainę, ku zdumieniu i zaskoczeniu wszystkich, ponieważ USA i zachodnia Europa, chcąc pozyskać Rosję do antychińskiego sojuszu, dały jej złudzenie, że jest wciąż potężna i że Waszyngton, Berlin i Paryż się jej boją.

Założenia obamowskiego „resetu" były racjonalne – w logice, którą kierują się

eprasa.pl f190bf5ce0

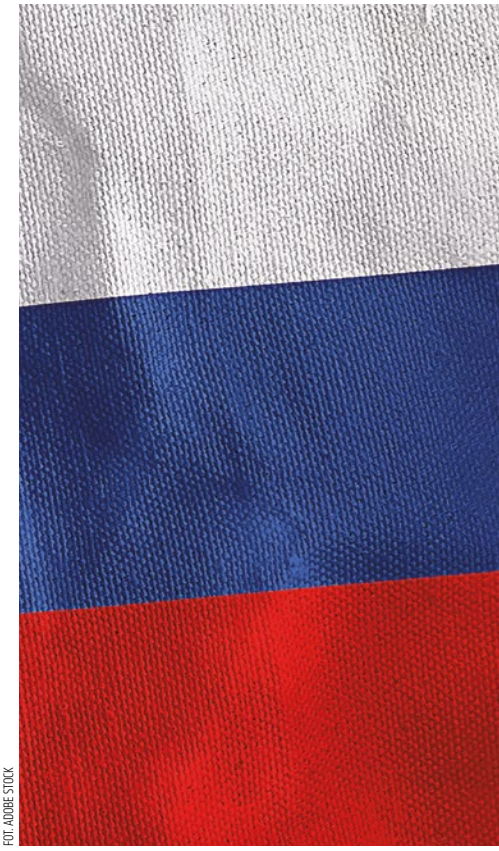
politycy Zachodu. Skoro Rosja została zepchnięta z pozycji światowego mocarstwa i nie ma potencjału, by kiedykolwiek do tej roli powrócić, to trzeba uprawiać z nią politykę jako z mocarstwem regionalnym. Co jest dla Rosji największym zagrożeniem? Przecież nie NATO, które już swoją rolę odegrało, tylko Chiny. Dążąc do realizacji celu wskazanego przez przewodniczącego Mao w roku 1945 („Za 100 lat Chiny muszą się stać najpotężniejszym i jedynym globalnym mocarstwem"), muszą one złamać siłę Rosji i zmarginalizować ją, po czym prawdopodobnie przyjdzie odebranie Rosji zdobyczy terytorialnych, które osiągnęła kosztem Chin w wieku XIX. Decydująca bitwa pomiędzy Rosją a Chinami rozegra się o wpływy w środkowo-południowej Azji, stanowiącej pas niezbędny Chinom do zdominowania Europy i przejęcia zachodnich wpływów na Bliskim Wschodzie. Tam są w nowej, posowieckiej erze priorytety Kremla (tzn. byłyby, gdyby Kremlem rządzili wychowankowie Uniwersytetu Harvarda, a nie Akademii Dzierżyńskiego), a nie na Zachodzie, tam też, co więcej, interesy Zachodu pokrywają się z rosyjskimi: powstrzymywać chińskie dążenie do światowej hegemonii.

Zmieniły się sytuacja i układ sił, więc zmieniamy sojusze – to elementarz zachodniej polityki. Jeśli po zjednoczeniu państewek niemieckich w jedno cesarstwo skłócone od wieków Anglia i Francja mogły zawrzeć przeciwko niemu „entente cordial", to sprzymierzenie się Rosji z Zachodem przeciwko montowanemu przez Chiny obozowi Południa wydawało się jak najbardziej racjonalne.

Dla Polski było to śmiertelne zagrożenie, bo było oczywiste, że ceną, której Rosja zażąda, będzie oddanie jej dawnej strefy wpływu w Europie Środkowej. I cenę tę uznaje Zachód za wartą zapłacenia, oczywiście pod warunkiem uszanowania przez Rosję wpływów zachodnich, reprezentowanych przez Niemcy. Czego gwarancją miały być półniepodległa Ukraina oraz „reset" Polski w stosunkach z „Rosją taką, jaką ona jest", wykonywany pod niemieckie dyktando przez rząd Tuska.

Okazało się jednak, że gdy Rosja uparcie przypominała, że Związkowi Sowieckiemu, gdy kapitulował w środkowej Europie, obiecano, iż NATO nie rozszerzy się na kraje byłego bloku socjalistycznego, nie robiła tego – jak sądzili negocjatorzy Zachodu – by wytargować lepszą cenę, ale dlatego, że Kreml naprawdę wierzył, że można cofnąć czas do sytuacji z minionej i definitywnie już zamkniętej epoki. I że aby to osiągnąć, najlepszym sposobem będzie sprzymierzenie się przeciwko Zachodowi z najbardziej jej w istocie zagrażającymi Chinami. Szaleństwo? Oczywiście, przecież widzimy już jego skutki – postępującą wasalizację i przyśpieszenie upadku Rosji. Ale elity rosyjskie myślały w inny sposób, w kategoriach odzyskania sowieckiego imperium i zemsty na Zachodzie za „największą geopolityczną tragedię w dziejach", którą był wedle Putina tegoż imperium upadek. To, że o potędze nie decydują już masy poddanych, stal i węglowodory, a sztuczne inteligencje, kontrola nad cyfrowym pieniądzem i metale ziem rzadkich, zwyczajnie im umknęło.

W końcu Ameryka rzuciła na stół najhojniejszą ofertę: Joe Biden wycofał sankcje nałożone przez poprzednika na budowę gazociągu Nord Stream 2. Władimir Putin odczytał to jako dobitny znak słabości przeciwnika, szczególnie w połączeniu z pokazaną we wszystkich mediach kompromitującą rejteradą Amerykanów z Afganistanu. Miesiąc później, korzystając z olimpiady w Pekinie, wygłosił wspólnie z Xi Jinpingiem coś w rodzaju manifestu wypowiedzenia wojny Zachodowi w imieniu „ludów prześladowanych", po czym, dufny w swe siły i doniesienia wywiadu, że Ukraińcy nie będą się na poważnie bronić, przewrócił stolik, dokonując „pełnoskalowej" inwazji na Ukrainę. Klęska, którą tam poniósł, przekonała Amerykę, że jej dalsza obecność w Europie nie jest potrzebna. Jeśli Rosja nie jest już w stanie przez cztery lata zdobyć Kijowa, ba, zabezpieczyć bezdyskusyjnie swoich roszczeń w Donbasie, to znaczy, że tym bardziej nie jest w stanie zagrozić europejskim portom, a to one są strategicznymi punktami na amerykańskiej mapie. Nie ma więc powodu ponosić dłużej kosztów europejskiego bezpieczeństwa. Słabość Rosji sprawiła też, że Ameryce przestała być potrzebna Unia Europejska. Potrzebne jej stało się regionalne mocarstwo, które ustabilizuje sytuację w regionie i zabezpieczy tu amerykańskie interesy w zamian za koncesje, jakie zdoła u Amerykanów wytargować.

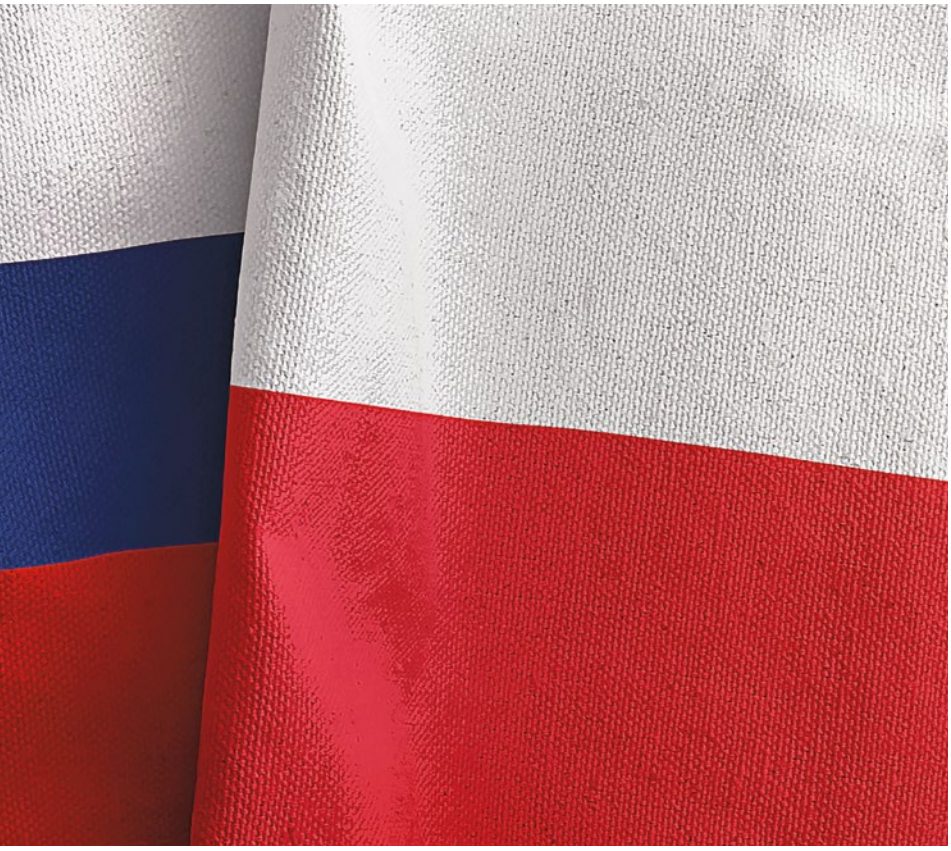


FOT. ADOBE STOCK

Słabość Rosji sprawiła, że Ameryce przestała być potrzebna Unia Europejska. Potrzebne jej stało się regionalne mocarstwo, które ustabilizuje sytuację w regionie i zabezpieczy tu amerykańskie interesy

Takim partnerem może być Polska. Ale to nie byłoby na rękę Niemcom, którzy wolą odgrywać tę rolę sami. Dlatego robią, co mogą, wykorzystując narzędzia unijne i korupcję polityczną na skalę nieznaną od czasów kolonialnych, aby ograniczyć polski potencjał i zapobiec polskim aspiracjom do przywództwa. Elementem mającym to zapewnić jest, obok „pogłębiania integracji", czyli narzucenia nam zwierzchności „państwa europejskiego", wzięcie Polski w kleszcze przez sojusz niemiecko-ukraiński. Dlate-

eprasa.pl f190bf5ce0



go po pierwszym okresie dystansowania się od Ukrainy, wywołanego przekonaniem, że jest ona skazana na przegraną, Niemcy weszły w rolę protektora Wołodymyra Zełenskiego, który chętnie patronat ten przyjął – czego dowodem jego udział w obaleniu w Polsce rządu PiS na rzecz proniemieckiego PO.

KLĘSKA PUTINA

Taka jest z grubsza obecna sytuacja geopolityczna i to od niej trzeba zaczynać dyskusję o tym, jaką prowadzić powinniśmy politykę wobec Rosji. Zaznaczam, że jestem jak najdalszy od apriorycznego odrzucania takiej dyskusji i etykietowania każdego, kto wyłamuje się z narzuconej medialnie politycznej poprawności jako „agenta Putina". Jednak próba podjęta przez Skalskiego – wróćmy na koniec do tekstu, który zainspirował mnie do zebrania tych kilku refleksji – głęboko mnie rozczarowała. Nie znajduję w niej, wbrew zapowiedziom, politycznego realizmu – raczej zakleszczenie się w schematach myślenia z poprzedniej epoki. Jeśli dobrze odbieram przewodnią myśl Skalskiego, to nawołuje on, żebyśmy zrozumieli, czym kieruje się Rosja, i przynajmniej częściowo pogodzili się z jej roszczeniami, ponieważ Rosja „nie zniknie".

Rzecz w tym, że właśnie znika. Karleje jej potencjał, słabnie mocarstwowa siła, ostatecznie zaś marginalizowana jest przez chińskiego suwerena. Klęska Putina na Ukrainie nie polega na tym, że od czterech lat tłucze głową o ukraińskie okopy i stracił przy tym już ok. 400–450 tys. zabitych oraz co najmniej drugie tyle trwale wyeliminowanych rannych. Klęska polega na tym, że w wojnie krytycznej i rozstrzygającej dla zachowania mocarstwowości nie odważył się rozwinąć pełnego potencjału i przeprowadzić masowego poboru w wielkich miastach. A jeśli dotąd tego nie zrobił, to znaczy, że boi się powtórki z roku 1917: katastrofy gospodarczej i buntu. Amerykanie to widzą.

Nie rozumiem, dlaczego Marcin Skalski każe mi rozumieć, jak ważne jest dla Rosjan panowanie nad Ukrainą. Co nas to obchodzi? Myślmy raczej, jak zmusić Rosjan, by to oni zrozumieli, że żywotnym interesem Polski jest powrócić na tereny, które odebrano nam 100 lat temu i wcześniej, w czasie rozbiorów. Dlatego że mamy ku temu odpowiedni potencjał, zasoby i możliwości, dlatego że dla Rusinów jesteśmy Zachodem i nadzieją rozwoju oraz dobrobytu i dlatego że alternatywą gospodarczej ekspansji na wschód – wymagającej odpowiedniego politycznego, czyli być może także militarnego ich zabezpieczenia – jest uwiąd, tkwienie w pułapce „średniego rozwoju".

Rzadko przywołuję Józefa Piłsudskiego jako autorytet, ale jego stwierdzenie, że „cele polskiej polityki są na wschodzie, nie na zachodzie", uważam za niezwykle celne. Tym celem jest ekspansja polskich firm, polskich banków, polskiego „know-how" na wyposzczone rynki postsowieckie. To ustawia nas na kursie kolizyjnym z Rosją, która zresztą wciąż nie ma dla Polski żadnej racjonalnej oferty i widzi w nas jedynie łup do skonsumowania. W tym dążeniu Rosja liczy na tradycyjną współpracę z Niemcami. Nie widzę jednak żadnego interesu, który w przyzwoleniu na odbudowywanie dawnej sowieckiej strefy wpływów albo w powrocie do imperialnej potęgi Niemiec miałyby Chiny, bez zgody których Rosja nie może już sobie pozwolić na żadne realne działania i które w coraz większym stopniu kontrolują rynek niemiecki. Widzę natomiast, jakie interesy czynią je naturalnym sprzymierzeńcem polskiego dążenia do roli mocarstwa regionalnego. Te interesy z kolei czynią nas istotnym obszarem także dla Ameryki, która przeformułowuje swoje przywództwo z modelu światowego hegemona w kierunku budowy sieci mocarstw regionalnych połączonych z USA silnymi więzami gospodarczymi.

Z całym szacunkiem, wojna peloponeska ani znakomite skądinąd filmy Stanleya Kubricka niewiele nam mogą wyjaśnić z nowego, rodzącego się na naszych oczach porządku światowego. Budujmy infrastrukturę transportową i zawiązujmy współpracę gospodarczą, pracujmy nad jak najszybszym wprowadzeniem cyfrowego złotego i włączeniem go w światowe systemy finansowe, zarówno dolarowe, jak i chińsko-arabski M-Bridge, inwestujmy w nowe technologie i ściągajmy do siebie wykształconych, bliskich nam kulturowo uciekinierów z zachodniej Europy oraz bądźmy przygotowani na dynamiczne zmiany, które całkowicie zmienią nasze miejsce w międzynarodowej wymianie handlowej.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl f190bf5ce0



Antysowiecki rusofil

FOT. YOUTUBE.COM/@WBREWCENZURZE



Filip Memches

Architekt polskiego „resetu" pozostaje mentalnie człowiekiem „Gazety Wyborczej". Dlatego zastanawiające jest to, że zmienił towarzystwo i podjął współpracę ze środowiskiem, którego linia przeczy liberalnemu, prozachodniemu przekazowi medium z ul. Czerskiej

To być może najbardziej zaskakująca wolta roku 2026 w polskim życiu publicznym. Przynajmniej na razie. Oto były wysoki rangą urzędnik Ministerstwa Spraw Zagranicznych wziął rozbrat z politycznym oraz medialnym establishmentem – konkretnie: z tym jego segmentem, który stawia na pogłębienie integracji Unii Europejskiej – i nawiązał współpracę z niszowym, marginalnym środowiskiem, stygmatyzowanym w głównym nurcie polskiej debaty publicznej jako tuba opcji prorosyjskiej.

Mowa o dr. hab. Jarosławie Bratkiewiczu. Ten politolog, rosjoznawca, sowietolog (rocznik 1955) pełnił w latach 2007–2015 prominentne funkcje w MSZ: w roku 2007 został dyrektorem Departamentu Wschodniego, a w 2010 – dyrektorem politycznym resortu. To właśnie ów człowiek uchodził za prawą rękę Radosława Sikorskiego w zakresie polityki wschodniej, gdy ten był szefem polskiej dyplomacji w latach 2007–2014. O Bratkiewiczu mówi się wręcz jako o architekcie polskiego „resetu" z Kremlem.

Tymczasem w połowie marca bieżącego roku były urzędnik MSZ zaskoczył polską opinię publiczną pojawieniem się na youtube'owym kanale Wbrew Cenzurze. Bratkiewicz gościł u Mateusza Piskorskiego – w latach 2005–2007 posła Samoobrony, potem lewicowo-nacjonalistycznego aktywisty zajmującego się sprawami międzynarodowymi, który w roku 2018 został oskarżony o szpiegowanie na rzecz Rosji i Chin (do aresztu trafił już dwa lata wcześniej, by po trzech latach z niego wyjść za poręczeniem majątkowym). Do tej pory żaden wyrok w tej sprawie nie zapadł. Ostatnio zaś Piskorski znalazł się w politycznej orbicie Grzegorza Brauna. A co wiadomo o poglądach dawnego posła Samoobrony? Negatywnie ocenia on geopolityczny wybór III Rzeczypospolitej, czyli orientację atlantycką, i pozytywnie się odnosi do racji stojących za antyzachodnim kursem państw Globalnego Południa. Daje temu wyraz w tygodniku „Myśl Polska". I to właśnie na łamach tego czasopisma zaczął swoje teksty zamieszczać Jarosław Bratkiewicz.

Wcześniej jednak były urzędnik MSZ udzielał się publicystycznie w zupełnie innej „bańce". Aż do stycznia bieżącego roku jego teksty ukazywały się w „Gazecie Wyborczej", rekomendowane przez samego jej redaktora naczelnego. Zresztą warto zauważyć, że dwie książki Bratkiewicza: „Eurazjatyzm na wspak. Polscy tradycjonaliści przyglądają się w zwierciadle Eurazji i udają, że to nie oni" (2021) oraz „Wojny domowe dwie i pół" (2025) zostały wydane nakładem wydawnictwa Universitas w serii „Poleca Adam Michnik".

STUDIA W KUŹNI SOWIECKIEJ DYPLOMACJI

Nic dziwnego, że wolta politologa okazała się nie lada gratką dla prawicy (głównie chodzi o Prawo i Sprawiedliwość oraz jego zwolenników). Zapowiedź, że architekt polskiego „resetu" będzie gościł na kanale u człowieka, który napiętnowany został – i to z obu stron głównego podziału polskiej sceny politycznej – jako „ruska onuca", więc nie wypada do niego przychodzić, doskonale wpisała się w opowieść o tym, że pierwszy rząd Donalda Tuska układał się zdradziecko z Kremlem. Warto przypomnieć, że Bratkiewicz to szwarccharakter publicystyki Sławomira Cenckiewicza, w której odsłaniane są kulisy polskiej polityki wschodniej tamtego czasu. Dlatego gdy obwieszczono, że były urzędnik MSZ zmienia towarzystwo, wypominano mu – nie pierwszy raz zresztą – że w okresie PRL odbył studia w kuźni sowieckich kadr dyplomatycznych – słynnym Moskiewskim Państwowym Instytucie Stosunków Międzynarodowych (MGIMO). Ale Bratkiewicz akurat tego się nie wstydzi, zwłaszcza że ukończył je z wyróżnieniem. Później zaś pracował w Polskiej Akademii Nauk, a służbę w MSZ rozpoczął, gdy już nastała III RP (był m.in. w latach 1997–2001 ambasadorem Polski na Łotwie). Niemniej różne źródła podają, że w PRL Bratkiewicz był członkiem PZPR i innych organizacji reżimowych, choć zarazem potem przystąpił do Solidarności i zaangażował się w podziemie wydawnicze.

eprasa.pl f190bf5ce0

Natomiast mocno kłopotliwa okazała się wolta byłego urzędnika MSZ dla ludzi, z którymi wcześniej go kojarzono. Wydawało się, że woleliby oni zaistniałą sytuację przemilczeć. I rzeczywiście próżno szukać w „Gazecie Wyborczej" czegokolwiek na ten temat. Niemniej na X wizytę Bratkiewicza u Piskorskiego odnotowała analityk mediów społecznościowych Anna Mierzyńska, a w sukurs jej poszedł publicysta Grzegorz Rzeczkowski. I ona, i on zajmują się tropieniem śladów opcji prorosyjskiej w kręgach polskiej prawicy. Zresztą Rzeczkowski w roku 2025 znalazł się w Radzie Konsultacyjnej do spraw Odporności na Dezinformację Międzynarodową przy MSZ. W swoim wpisie o Bratkiewiczu stwierdził: „Bardzo źle to wygląda. W tym nie ma przypadku". Pod tymi – zdradzającymi spiskowe myślenie – słowami ktoś zamieścił komentarz: „Czyżby zwerbowano go w Moskwie jeszcze podczas studiów? A teraz jest nieco mocniej uruchamiany?". Na to Rzeczkowski insynuacyjnie odparł: „Chyba w znaczącej mierze Pana pytania są również odpowiedziami". Skądinąd publicysta ten należy do obrońców polityki wschodniej uprawianej przez pierwszy rząd Tuska. Jak w umyśle Rzeczkowskiego łączy się aprobata dla niej z tym, że kształtował ją ktoś, kogo postrzega on – tak przynajmniej można się domyślać – jako rosyjskiego „kreta" w MSZ, niech pozostanie zagadką.

JAK ADAM MICHNIK

Szkopuł w tym, że poglądy Bratkiewicza się nie zmieniły, o czym można się przekonać, słuchając tego, co mówi na Wbrew Cenzurze czy czytając to, co pisze w „Myśli Polskiej". O swoim rozstaniu z „Gazetą Wyborczą" wypowiada się wymijająco, nomen omen bardzo dyplomatycznie. Nie stawia jej żadnych zarzutów. Natomiast oceniając politykę wschodnią obecnego rządu Tuska, po prostu się wobec niej elegancko dystansuje, co bynajmniej nie oznacza, że się pozycjonuje jako antagonista tego gabinetu. Zresztą tym – i nie tylko tym się różni – od swojego nowego środowiska, które z kolei kreuje się na siłę antysystemową, choć jednocześnie odwołuje się ono do osobliwie pojętego realizmu politycznego.

Architekt polskiego „resetu" pozostaje bowiem mentalnie człowiekiem „Gazety Wyborczej". Zresztą znamienne, że niedawno deklarując się jako „antysowiecki rusofil", podkreślił, iż używa tego samego sformułowania, którym swoje stanowisko wobec Rosji określa Adam Michnik.

Przy czym, jeśli chodzi o deklarowaną antysowieckość Bratkiewicza, nie definiuje on Związku Sowieckiego jako państwa próbującego w praktykę przekuwać importowaną z Zachodu progresywną ideologię globalistyczną, czyli marksizm. Były urzędnik MSZ uważa, że w ZSRS nastąpiła „retradycjonalizacja" Rosji. Do przewrotu bolszewickiego kraj ten pod władzą dynastii Romanowów był przez dwa stulecia modernizowany i westernizowany. Bratkiewicz mówi, że jest miłośnikiem tamtej właśnie Rosji, „petersburskiej", obalonej w roku 1917 przez bolszewików. Ci zaś – jego zdaniem – doprowadzili za fasadą oficjalnej doktryny komunistycznej do recydywy „staroruskich tradycji", w których bizantyński despotyzm łączy się z przemocą jako środkiem komunikacji politycznej będącej dziedzictwem jarzma mongolskiego. Bratkiewicz liczył na to, że Rosja pod prezydenturą Władimira Putina znowu – tak jak za panowania cara Piotra I Wielkiego – trwale obierze kurs na Europę. Tak się jednak nie stało: Kreml dokonał zwrotu w kierunku wschodnim (czyli faktycznie państw Globalnego Południa). Niemniej Bratkiewicz twierdzi, że polski „reset" nie był błędem, bo Polska pomagając państwom zachodnim w ich staraniach o porozumienie z Rosją, mogła w świecie zapunktować, choć zarazem ubolewa nad tym, że przedsięwzięcie to skończyło się fiaskiem.

I tak były urzędnik MSZ okazuje się po prostu rozczarowanym przebiegiem wydarzeń prozachodnim liberałem, co poniekąd kontrastuje z linią jego nowego środowiska. W „Myśli Polskiej" popularyzowane są bowiem m.in. koncepcje rosyjskiego myśliciela Aleksandra Dugina. Dla niego zaś to, co Bratkiewicz nazywa „staroruskimi tradycjami", stanowi tożsamościową zaporę przed szkodliwymi wpływami zachodnich ideologii, w tym zwłaszcza liberalizmu. Innym polem rozbieżności architekta polskiego „resetu" z „Myślą Polską" jest stosunek do wojny rosyjsko-ukraińskiej. W czasopiśmie tym roi się od materiałów, w których wyrażane jest – ujmując rzecz eufemistycznie – bardzo daleko idące zrozumienie dla polityki Kremla. Tymczasem Bratkiewicz określa Rosję po prostu jako agresora. Wreszcie jeśli chodzi o Ukrainę – w „Myśli Polskiej" przedstawiana jest ona jako kraj, którego obciążenie stanowi przede wszystkim narodowy szowinizm. Bratkiewicz postrzega ją inaczej – wskazuje, że głównym problemem państwa ukraińskiego okazuje się to, że pozostaje ono przeżarte dezorganizującymi je pozostałościami sowieckości.

IDEA PIASTOWSKA I OPCJA PRONIEMIECKA

Prozachodni liberalizm politologa wyraża się jednak najbardziej w tym, jak patrzy on na Polskę. Bratkiewicz jest zwolennikiem idei piastowskiej. Jako największy błąd w dziejach Polski wymienia unię Korony Królestwa Polskiego z Wielkim Księstwem Litewskim. W ten sposób Polska zamiast integrować się z Zachodem – choćby wiążąc się z Prusami – i w efekcie mieć udział w wielkich odkryciach geograficznych oraz kapitalistycznym rozwoju gospodarczym, nabrała cech ruskich i popadła w „tradycjonalizm". Uległa – nie tylko politycznie, lecz także cywilizacyjnie – orientalizacji, której kulturowym przejawem okazał się sarmatyzm. To doprowadziło do upadku I Rzeczypospolitej. Przy czym wśród Polaków narastał kompleks wobec Rosji, ponieważ wygrała ona z Polską rywalizację o ziemie ruskie. Do tego doszła naiwna romantyzacja Białorusinów i Ukraińców jako ruskich narodów, które mogłyby utrzeć nosa Moskalom, co po fiasku „resetu" daje o sobie znać w polskiej polityce wschodniej (także obecnego rządu Tuska).

Istotne jednak jest to, że za dzisiejszych spadkobierców polskiego „tradycjonalizmu" Jarosław Bratkiewicz uważa Kościół katolicki, szczególnie jego nurt „moherowy", oraz prawicę, zwłaszcza PiS. I nie szczędzi im pogardliwych słów, z których wyziera ojkofobiczna retoryka. Być może wynika to nie tylko z tego, że politolog hołduje progresywno-oświeceniowemu dyskursowi, lecz także z politycznych porachunków sięgających czasu „resetu".

Tak czy inaczej, Bratkiewicz w swoim podziwie dla Zachodu – głównie Niemiec – przyjmuje kompradorski punkt widzenia. Do tego dochodzą jego uwikłania w bieżące polskie spory. Wszystko to zaś kładzie się cieniem na czynione przez niego spostrzeżenia historyczne oraz politologiczne, które bywają i ciekawe, i trafne.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl f190bf5ce0



W dniach 28–30 kwietnia w Płocku odbyło się coroczne spotkanie grupy kontaktowej episkopatów Polski i Niemiec FOT. ILONA KRAWCZYK-KRAJCZYŃSKA/KEP

Pojednanie z Niemcami?



Paweł Chmielewski

Kościół katolicki w Polsce ma problem z Niemcami. Trudności i nierównowaga we wzajemnych kontaktach to norma utrzymująca się od dziesięcioleci. Niestety, w ostatnich latach ma to dla Polaków bardzo poważne, negatywne konsekwencje

Pod koniec kwietnia odbyło się spotkanie kościelnej grupy kontaktowej episkopatów Polski i Niemiec. Gospodarzem był biskup Płocka, Szymon Stułkowski. Z Niemcami rozmawiali też przewodniczący zespołu KEP do spraw kontaktów z episkopatem Niemiec, abp Stanisław Budzik z Lublina, oraz bp Tadeusz Lityński z Zielonej Góry. Ze strony niemieckiej episkopat reprezentowali biskupi Bertram Meier z Augsburga i Wolfgang Ipolt z Görlitz.

Wymieniam te nazwiska, bo dobór rozmówców jest kluczowy i dobrze pokazuje strategię, którą przyjmują obie strony. Trawestując znane niemieckie pojęcie, uczestnicy rozmów ze strony polskiej to „Deutschlandversteher" – „rozumiejący Niemcy". Gospodarz Szymon Stułkowski jest uczniem jednego z najbardziej znanych austriackich progresywnych teologów, Paula Zulehnera. W Płocku, gdzie rządzi jako ordynariusz od 2022 r., silnie rozwija struktury charyzmatyczne, co dobrze odpowiada wizji transformacji Kościoła Zulehnera, gorącego zwolennika synodalności i przemian w rozumieniu kapłaństwa. Stanisław Budzik studiował z kolei teologię dogmatyczną w austriackim Innsbrucku. Habilitował się z myśli m.in. dwóch znanych niemieckojęzycznych teologów, Hansa Ursa von Balthasara i Raymunda Schwagera. Tadeusz Lityński nie ma na koncie podobnych doświadczeń naukowych, ale z racji położenia Zielonej Góry musi śledzić problemy duszpasterskie powstające na styku Polski i Niemiec. W przeszłości zajmował też dziwne stanowisko w sprawie reparacji, do czego jeszcze wrócę. Mówiąc krótko, Polacy w ramach wspólnej grupy dbają o to, by dobrze rozumieć swoich partnerów.

To dobrze, ale… o Niemcach nie można powiedzieć dokładnie tego samego. Wprawdzie Wolfgang Ipolt jako ordynariusz Görlitz ma nieustanny kontakt z Polakami, ale nie zajmował się nigdy naukowo problemami interesującymi polską teologię. Bertram Meier rządzi w odległym od Polski, bawarskim Augsburgu. W ścieżce jego intelektualnej kariery próżno szukać silniejszych polskich akcentów. Kluczem doboru Ipolta i Meiera jest chyba coś innego, a mianowicie ich (relatywny) konserwatyzm. Obaj biskupi mają sceptyczny stosunek do rewolucyjno-liberalnej „drogi synodalnej" („Der Synodale Weg"). Z jednej strony to zaleta, bo Polacy łatwo mogą znaleźć z nimi wspólny język. Jest jednak również druga strona. Otóż ani Ipolt, ani Meier nie są reprezentatywni dla Kościoła katolickiego w Niemczech. To mniejszość, która nie wyznacza realnego kierunku zmian. Dobór takich właśnie delegatów, niezależnie od intencji i wewnętrznych uwarunkowań w episkopacie Niemiec, skutecznie usypia czujność Polaków. Rewolucja za Odrą pędzi naprzód, a w Polsce nikt się tym nie przejmuje.

ZMIANY W EPISKOPATACH

Ten kompletny brak zainteresowania realiami wiary u zachodnich sąsiadów dobrze zobrazował sam bp Wolfgang Ipolt. W marcu tego roku ordynariusz Görlitz brał udział w zebraniu plenarnym polskiego episkopatu, uczestnicząc m.in. w spotkaniu studyjnym o przyszłości parafii. Jak powiedział później w rozmowie z niemieckimi mediami, nikt nie zadał mu nawet jednego pytania

eprasa.pl f190bf5ce0

o rewolucję w Kościele w Niemczech. „Nie, w ogóle nie. Znam całkiem dobrze niektórych polskich biskupów, jest tam też wielu, którzy mówią po niemiecku. Ten temat nie był jednak poruszany". Jak dodał, nie czuł żadnych napięć związanych z niemiecką „drogą synodalną". Według biskupa jest to efektem zmian personalnych w obu episkopatach. „Relacje się znormalizowały" – ocenił.

Zmiany w episkopatach są rzeczywiście faktem. Najważniejszą polską metropolię, Kraków, objął niedawno kard. Grzegorz Ryś, który do niemieckiej teologii wydaje się mieć dość ciepły stosunek. Widać to choćby po zaproszeniu kard. Jeana-Claude'a Hollericha z Luksemburga na początek procesu synodalnego w Krakowie, a także po inspirowaniu własnej refleksji teologiczno-historycznej na temat judaizmu myślicielami niemieckojęzycznymi. Od 2024 r. szefem episkopatu jest ponadto abp Tadeusz Wojda, który doktoryzował się ze znajomości teologii germańskiej, wykuwanej na uniwersytetach w niemieckim Münster i flamandzkim Leuven. Warunki zatem zupełnie inne niż za abp. Marka Jędraszewskiego w Krakowie i zwłaszcza za rządów abp. Stanisława Gądeckiego w episkopacie.

Kierownictwo nad episkopatem niemieckim objął z kolei w tym roku bp Heiner Wilmer. To wprawdzie bardzo progresywny duchowny, ale znacznie mniej radykalny w formie przekazu niż jego poprzednik, Georg Bätzing z Limburga. To właśnie za czasów Bätzinga relacje pomiędzy episkopatami były trudne, głównie za sprawą pryncypialnej postawy abp. Stanisława Gądeckiego. Metropolita Poznania, inaczej niż większość biskupów na świecie, postanowił zareagować na niemiecką herezję i podjąć próbę walki o prawdę doktrynalną. Publicznie krytykował kurs Kościoła katolickiego za Odrą. Współpracował z biskupami z Ukrainy, którzy robili to samo. W 2022 r. napisał też głośny list do bp. Bätzinga, zarzucając niemieckiej „drodze synodalnej" zdradę Ewangelii i przypominając, że chrześcijaństwo w Niemczech miało tendencję do ulegania modnym ideologiom. Tak było w latach 30. i 40., kiedy zwłaszcza niemieccy protestanci ochoczo wsparli reżim Adolfa Hitlera…

Arcybiskup Gądecki przeszedł na emeryturę, bp Bätzing ustąpił z urzędu – i po sporze między Polakami a Niemcami nie ma już nawet śladu. Ktoś powie, że to dobrze, bo wreszcie może nastać twórcza współpraca. Uważam, że jest dokładnie odwrotnie.

OŚRODEK REWOLUCJI

Spór był potrzebny, bo prowadził do ustalenia prawdy i wyklarowania konkretnych stanowisk. Sposób przeżywania i prezentowania wiary w Niemczech budzi oburzenie w wielu krajach świata. Niemcy akceptują antykoncepcję, uroczyście błogosławią związki homoseksualne, lekceważą sakrament spowiedzi, dopuszczają do Komunii Świętej protestantów, afirmują treści teorii gender… a to tylko kilka problemów, pierwszych z brzegu. Niemiecka rewolucja w doktrynie i moralności ma w Europie wielu sojuszników. To także Belgowie, Szwajcarzy, część Austriaków, Francuzów, Włochów…

Ośrodkiem rewolucji są jednak Niemcy – i Polacy powinni zachować we wzajemnych kontaktach dużą czujność. Tego jednak w ogóle nie widać – toczą się przyjemne rozmowy i bezkonfliktowe spotkania. Efekty są oczywiste. Niemiecka rewolucyjna teologia jest w Polsce coraz silniej propagowana i znajduje odbiorców w coraz szerszych kręgach. Jej normalizacja sprawia, że z wąskich kręgów tzw. katolicyzmu otwartego wypływa na szersze wody i zaczyna współkształtować życie kościelne milionów polskich katolików. Czy to dziwne, skoro oba episkopaty tworzą wrażenie sztucznej jedności? Zresztą niedługo ta jedność nie będzie już może wcale sztuczna, ale faktyczna, wynikająca z autentycznego przekonania polskiego Kościoła co do słuszności idei promowanych za Odrą…

Uległość wobec niemieckiej narracji jest widoczna nie tylko w sprawach doktrynalnych i moralnych. Dotyczy również polityki. W 2022 r. abp Stanisław Gądecki wystosował do biskupów w Niemczech dość zasadniczy list dotyczący reparacji, sugerując, że powinni poprzeć wypłacenie Polsce odszkodowań przez RFN. Ponownie gest Gądeckiego był całkowitym wyjątkiem.

Pięć lat wcześniej, kiedy PiS podjął temat reparacji po raz pierwszy, polski episkopat zajął zupełnie inne stanowisko, po prostu krytykując pomysł tej partii i twierdząc, że żądania reparacyjne mogą niepotrzebnie… pogorszyć relacje z Bundesrepubliką. Oświadczenie tego rodzaju podpisał ówczesny szef Zespołu do spraw Kontaktów z Konferencją Episkopatu Niemiec, abp Henryk Muszyński. Sygnowali je jednak również kard. Kazimierz Nycz, abp Wiktor Skworc oraz biskupi Jan Kopiec i wspomniany na początku Tadeusz Lityński. Rządzący wówczas niemieckim episkopatem kard. Reinhard Marx określił to stanowisko mianem „wspaniałego wkładu w polsko-niemiecką przyjaźń"…

NIE ZAPOMINAĆ O PRAWDZIE

Duch tej dziwnej uległości był też wyraźnie widoczny w 2025 r. we Wrocławiu, gdzie odbyły się centralne obchody 60. rocznicy słynnego listu biskupów polskich do biskupów niemieckich z 1965 r., który przygotował kard. Bogusław Kominek. W 60. rocznicę polscy i niemieccy biskupi przyjęli wspólne oświadczenie, w którym powrócono do antyreparacyjnego ducha oświadczenia z 2017 r. „[N]iektórzy polityczni aktorzy wciąż próbują wykorzystywać w celach politycznych bolesne i historycznie nierozwiązane kwestie. Dla nas jest jasne: polityczne rozgrywki oparte na historycznych krzywdach są sprzeczne z duchem pojednania, który został wyrażony w wymianie listów" – napisali. „Nie chodzi przede wszystkim o to, aby mieć rację, ale raczej o to, aby zrozumieć sąsiada i z empatią podchodzić do krzywd wyrządzonych innym" – dodali. „Nie chodzi o to, aby mieć rację"?! Cóż, dla strony niemieckiej takie oświadczenie jest niewątpliwie bardzo wygodne. Pod tekstem podpisał się abp Wojda, ale można domniemywać, że jego przygotowanie należało oczywiście do „eksperckich" zespołów w obu krajach.

Cóż zatem? Czy Kościół katolicki w Polsce powinien toczyć sui generis wojnę z niemieckim Kościołem? Bynajmniej; współpraca naprawdę jest ważna. Nie możemy jednak zapominać o prawdzie. Dotyczy to zarówno wymiaru doktryny i moralności, jak i wymiaru politycznego. Wydaje się, że byłoby lepiej, gdyby we wzajemnych kontaktach postawić na silniejszą świadomość problemów, które targają niemieckim katolicyzmem – i nie zapominać o tym, że nasze narodowe interesy są często bardzo odmienne.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest publicystą portalu PCh24.pl.

eprasa.pl f190bf5ce0



Marek Klecel

W sercu sowieckiego terroru 1940 r. mjr Aleksander Klotz podjął misję niemal samobójczą – ruszył w głąb ZSRS, by odnaleźć zaginionego gen. Tokarzewskiego-Karaszewicza



Major Aleksander Klotz (na zdjęciu) był oficerem wywiadu i wywiózł z ZSRS sporą wiedzę FOT. DOMENA PUBLICZNA

Niezapowiedziana wizyta majora Klotza

Jest połowa roku 1940 w okupowanym przez Sowietów Lwowie. Odbyły się już dwie wielkie wywózki Polaków, które objęły do 200 tys. osób. W atmosferze powszechnego terroru z trudem zaczęła powstawać polska konspiracja z pozostałych jeszcze na miejscu wojskowych, a także z wysłanników z centrali w Warszawie, gdzie powstawały pierwsze pod okupacją niemiecką ogniwa Związku Walki Zbrojnej. Miały być koordynowane przez wojskowe władze warszawskie i emigracyjne, co stało się konieczne, bo już pierwsza komórka ZWZ podzieliła się na dwie grupy według klucza partyjnego. Ale największą przeszkodą w rozwinięciu działalności konspiracyjnej okazały się służby NKWD, które były dużo sprawniejsze od niemieckich. Wyłapywały wysłanników, emisariuszy wysyłanych do Lwowa do scalania organizacji, często najwyższych stopniem, choć nie zawsze ich rozpoznawały. W ten sposób wyeliminowano generałów Januszajtisa, Borutę-Spiechowicza, Klemensa Rudnickiego, później także aresztowano płk. Pstrokońskiego wysłanego z Paryża, a w końcu gen. Okulickiego.

Podobnie został ujęty na granicy gen. Tokarzewski-Karaszewicz, wysłany z Warszawy przez Grota-Roweckiego w porozumieniu ze sztabem w Paryżu. Tyle że jego również nie rozpoznano i zesłano – jak częstych wtedy „turystów" przekraczających granicę – do łagru pod Archangielskiem. Na czele jednej z organizacji ZWZ stał w tym czasie mjr Aleksander Klotz, podkomendny generała z kampanii wrześniowej, dawny legionista, uczestnik wojny polsko-bolszewickiej, oficer wywiadu, dyplomata. W końcu lat 20. także starosta we Lwowie.

GDZIE JEST GENERAŁ?

Po pierwszych masowych deportacjach w lutym i kwietniu 1940 r. zapanowała we Lwowie atmosfera terroru. Spodziewano się następnych wywózek. Miasto ogarnął strach, nikt nie był pewny następnego dnia, aresztowano także pojedynczych ludzi na podstawie podejrzeń lub donosów. W tej napiętej sytuacji powstał plan, który mógł się wydawać szaleńczy. Major Klotz w porozumieniu z innymi osobami z konspiracji postanowił odnaleźć generała w Związku Sowieckim. Już wcześniej podjęto nieudaną próbę odbicia go z transportu kolejowego. Wiadomo było tylko, że wywieziono go do jakiegoś łagru na wschód lub na północ. Wiosną 1940 r. mjr Klotz rozpoczął przygotowania do tej wielce ryzykownej, wręcz szaleńczej wy-

eprasa.pl f190bf5ce0

prawy. Miała mu towarzyszyć wypróbowana łączniczka Eleonora Wanda Ptaszek.

Występowali jako przesiedleńcy udający się na wschód z podrabianymi papierami medyków opatrzonych fałszywymi stemplami, których zapas zabrali ze sobą. Aleksander Klotz ps. Niewiarowski w swych wspomnieniach spisanych po wojnie na emigracji zaznaczał, że figurował w ZSRS jako „grażdanin Iwan Iwanowicz Karas lekarz higienista", a Wanda Ptaszek – „Olga Iwanowna Borowaja, starsza pielęgniarka i siostra poprzedniego, wdowa lub rezerwistka w zależności od okoliczności". Bo w zależności od okoliczności podawali, że podróżują w poszukiwaniu rodziny, że brat towarzyszy siostrze w poszukiwaniu jej zaginionego męża. Mieli dokumenty, które były na pierwszy rzut oka podejrzane, ale każdy taki druk mający pieczątki budził w Związku Sowieckim nadzwyczajne poważanie.

Z pomocą polskich cywilnych łączników przebyli wpław granicę na Zbruczu i polami zboża kierowali się na Płoskirów. Znali już trochę rzeczywistość sowiecką ze Lwowa, ale teraz znaleźli się w jej środku i wszystkim mogli się zdradzić. Musieli uczyć się wszelkich nowych zachowań, obserwować reakcje ludzi, rozpoznawać i oceniać funkcjonariuszy, unikać podejrzeń i donosów, kontrolować się w rozmowach, a jednocześnie zasięgać języka, by wybierać kierunek podróży. W dalszych rejonach uchodzili za „zapadników", ludzi z „Zapadnoj" Ukrainy, różniących się nieco językiem i wyglądem, który często budził podejrzenie, ale nawet NKWD nie było w stanie wszystkiego kontrolować. Mieli kilka tysięcy rubli, trochę waluty zachodniej, a przede wszystkim dużo zegarków, które Klotz tanio zakupił jeszcze w pociągu do Lwowa od strażników niemieckich.

Z Płoskirowa pojechali do Kijowa, przewidując po zdobyciu informacji u kolejarzy, że w tamtą stronę szły najpierw transporty ze Lwowa. Jednakże o tym transporcie, w którym jechał generał, nie uzyskali pewnych wiadomości. W pociągach były stałe kontrole kolejowych funkcyjnych NKWD, ale – jak wspominał Klotz – nie wysilały się specjalnie. Wystarczyła umiejętna rozmowa, a zwłaszcza „zakurka", czyli papieros, albo „stakanczik", bo „bez wodki nie razbieriosz", więc do Kijowa dotarli bezpiecznie. Tam jednak nie natrafili na ślad generała.

Poszukiwali polskich środowisk, ale parafie i kościoły były już zarekwirowane. Od miejscowych, w tym polskich kolejarzy, dowiedzieli się, że taki transport Polaków z Przemyśla mógł dotrzeć do Charkowa. Pojechali tam, zatrzymując się na krótko w Dniepropietrowsku. W Charkowie dowiedzieli się, że rzeczywiście widziano grupę polskich jeńców pracujących pod miastem. Wyprawili się tam i spotkali Polaków, pracujących pod eskortą w miejscowym kołchozie. Udając Rosjan, zaczepili maszerujących do pracy, proponując „zakurku" również dla eskorty. Po rytualnej przerwie „na papierosa", już na odchodnym, Klotz szepnął po polsku do ostatniego w kolumnie, zaskoczonego Polaka: „Trzymajcie się chłopcy!". Następnego dnia obserwowali pracę polskiego oddziału. Wypatrzyli miejsce na polu kukurydzy, gdzie Klotz mógł podsłuchiwać rozmowy polskich więźniów. Odwołał jednego z nich i przykazał mu przysłanie jakiegoś starszego grupy. Temu wyjaśnił, że jest z konspiracji lwowskiej i nawiązuje w Rosji kontakty z zesłanymi Polakami. Mają trwać w poczuciu, że nie pozostaną pozostawieni bez pomocy. Zobowiązał go, by stworzył polski oddział, który zostaje właśnie przyjęty do konspiracyjnej organizacji ZWZ. Wzruszony chłopak pocałował go w rękę.

W STRONĘ STAROBIELSKA (CZYLI ŚLADEM KATYNIA)

Dowiedzieli się wtedy, że jakieś grupy Polaków znajdują się niedalekiego Starobielska. Mieli bilet kolejowy do Kustanaja, który stanowił przepustkę i rodzaj dowodu osobistego. Nie wiedzieli jednak, czy mogą gdzieś zbaczać. Trzeba było zdobywać często dodatkowe uprawnienia, mieć zaświadczenia o połączeniach z innymi liniami kolejowymi, w których były też różne dane personalne, zawód i przypisanie do zakładu pracy, bo bez tego było się podejrzanym sabotażystą. Według dokumentów mjr Klotz musiał być lekarzem i wykonywać swą pracę. Chodziło o całkowitą kontrolę. Największą trudnością było poruszanie się na dworcach kolejowych pomiędzy strażami NKWD i między takimiż funkcjonariuszami, często tajnymi, na salach dworcowych, przy kasach i w bufetach.

W ten sposób dojechali do stacji najbliższej Starobielska, co już wzbudziło podejrzliwość tajniaka przy kasie na dworcu, a następnie zabrali się furką z napotkanym starszym woźnicą i dojechali do kozackiej wsi i kołchozu niedaleko obozu. Dzięki postawionej w gościnie „horiłce", zakupionej nielegalnie z pokątnej produkcji w kołchozie, rozwiązały się języki. Gospodarz na wiadomość, że Wanda, siostra majora, poszukuje zaginionego męża, powiedział od razu, że nie mają czego szukać, bo nikt nie wie, gdzie ludzi wywożą, nawet „żeleznodorożnoje", czyli kolejarze, bo łagry mają swoich kolejarzy, a Związek Sowiecki jest wielki.

Po udanym spotkaniu i noclegu Polacy z „Zapadnoj" pojechali dalej, w stronę Starobielska, korzystając z podwody gościnnego seniora. Przed miastem zauważyli grupę pracujących w jakimś parku Polaków. Rozdzielili się, Wanda pojechała do Starobielska dowiedzieć się o losy polskich oficerów, Klotz zaś postanowił „podejść", jak poprzednio, napotkanych rodaków i zagadnął po polsku zaskoczonego chłopaka, każąc mu przysłać starszego tej grupy. Równie zaskoczonego sierżanta zobowiązał do wojskowego zorganizowania jego grupy jako konspiracyjnego oddziału ZWZ. Oprócz poszukiwania generała była to druga, jak się można domyślać, część misji mjr. Klotza w ZSRS.

Tymczasem Wanda powróciła z wiadomością, że polskich oficerów przetrzymywanych w Starobielsku wywieziono już do Kozielska. Następnym etapem ich podróży był Woroneż. Jadąc przez niezamieszkane tereny, zauważyli wysokie wieże, które wydały im się wieżami wiertniczymi, znanymi z pól naftowych czy innych kopalń. Klotz odezwał się do jakiegoś pasażera niby to pytająco: „Szachty". Tamten spojrzał na niego z uznaniem i powiedział: „Tak, szachty (kopalnie), to dobrze powiedziane". Ale gdy major zapytał, czy to kopalnie naftowe czy węglowe, tamten przerażony odwrócił się i szybko odszedł. Dopiero później major zrozumiał, że ów pasażer nie brał go za idiotę, tylko za wyrafinowanego prowokatora. Były to bowiem wieżyczki strażnicze należące do łagrów, z którymi polska para zetknęła się pod Woroneżem po raz pierwszy.

OKAZJA CZYNI... SOWIECKIEGO LEKARZA

W tymże pociągu odbyła się inicjacja majora jako lekarza, a Wandy jako jego asystentki i pielęgniarki. Kontrolujący

eprasa.pl f190bf5ce0

enkawudzista długo studiował ich dokumenty, co nie mogło wróżyć nic dobrego. Wypytywał o wszystko: „Wy z »Zapadnoj«? Lekarz zachodni? Gdzie studiowaliście, na Zachodzie? Kiedy Klotz podał może zbyt śmiało, że w Warszawie i w Paryżu, Rosjanin stwierdził, że tak, to wy jesteście zachodni lekarz. Oddał dokumenty i powiedział, że jeszcze do nich wróci. Wyglądało to na prostą sugestię i kwalifikację szpiegostwa. Polska para musiała spodziewać się, że wygarną ich na najbliższej stacji. Po jakimś czasie Rosjanin wrócił i jeszcze raz wypytał majora o jego medyczne przygotowanie, po czym poprosił go do osobnego przedziału. Tam wyznał nieśmiało, że prosi zachodniego lekarza o poradę, bo rosyjscy lekarze nie mogą mu pomóc, a cierpi na dość intymną chorobę, którą na Zachodzie na pewno umieją leczyć. Major wrócił do przedziału, by zabrać potrzebny, a w tej sytuacji zupełnie niepotrzebny sprzęt medyczny, jak strzykawki, słuchawki, termometr, przyrządy do mierzenia ciśnienia, gumowe rękawiczki, a nawet „wzierniki uszne, nosowe i do pochwy macicznej".

Przerażona najpierw Wanda domyśliła się, że przymusowy kontakt z NKWD przybrał już inny mniej groźny obrót. „Na trasie Rjażsk – Czelabińsk – zapisał major – nie miałem czasu na obserwację terenu – o r d y n o w a ł e m! Następną pacjentką była nasza konduktorka, później jej koleżanka z »miagkiego« [przedziału], później kierownik pociągu, później ta panienka z mego przedziału, co się tak odsuwała, kiedy enkawudysta rozpoczął indagację […]. Pracowałem w pocie czoła, a Wanda układała w kuferkach honoraria".

Odtąd major musiał występować jako „wracz", bo stał się jednym z tych przypisanych do swego zawodu lub zakładu pracy „prikrieplonnych", jak wszyscy obywatele sowieccy.

W AZJI TEŻ PANUJE NKWD

Tak przejechali Ural i dotarli do Czelabińska, który był już w Azji. Przez stację kolejową przewalały się tłumy Tatarów, Kazachów, Kirgizów, Mongołów, wśród których nadal panuje NKWD. Major już nieco śmielej korzysta z pomocy funkcyjnego przy kasie. Ostemplowuje bilety na pociąg Czelabińsk – Czkałow, czyli Orenburg. Jadą dalej w kierunku Kustanaja, gdzie mają być większe skupiska polskich więźniów. Złapaną ciężarówką docierają do kołchozu w Siemionowce. Major ze swą asystentką poruszali się po ZSRS według pewnego planu na podstawie informacji o możliwych trasach wywózek ze Lwowa i okolic, które pochodziły z relacji i listów zesłańców z rodzinami. Okazało się, że w kołchozach w rejonie Kustanaja przebywały przeważnie polskie kobiety, matki z dziećmi. Trudno więc było spodziewać się tam więźnia takiego jak generał. Ale ten trop nie był jednak mylny. W kołchozie koło Siemionowki Wanda odnalazła swoją matkę i siostrę z dzieckiem, wywiezione w pierwszych deportacjach. Musiała mieć o tym wcześniej jakieś informacje i takie były też zapewne zamiary jej podróży w tę stronę.

Dla Wandy była to sytuacja bardzo przykra, musiała wkrótce opuścić matkę i siostrę, pozostawiając je samym sobie. A jednak i te kobiety, jak się okazało, gotowe były się mobilizować. Major założył w tych kołchozach trzy komórki konspiracyjne jako delegatury ZWZ. Jedna z kobiet wzruszona powiedziała mu: „Wie pan, dopiero teraz po zaprzysiężeniu czuję w sobie siłę do tego, aby – umrzeć… Przedtem nie miałam. Bałam się…".

Polska para musiała jak najszybciej opuścić kołchoz, bo zaczęła już zwracać na siebie uwagę. Nie było to łatwe. Wybrali niebezpieczną drogę przez pusty step, by dotrzeć do linii kolejowej do Orenburga. Tam najłatwiej było dostać bilety do Ałma Aty, później kierowali się do Taszkientu, gdzie miały być także jakieś miejsca wywózek i ślady generała. Były to jednak wszystko, jak się po kolei okazywało, mylne tropy. Zawadzili jeszcze o Krasnowodsk nad Morzem Kaspijskim, który za dwa lata miał być miejscem przerzutu Armii Polskiej gen. Andersa do Persji. Postanowili zmienić kierunek i pojechać na północ w rejon łagrów Kotłasu i Archangielska.

SZCZĘŚLIWY POWRÓT POD OKUPACJĘ (JEDNĄ I DRUGĄ)

Była to dopiero połowa ich wyprawy. Mieli jeszcze przejechać tysiące kilometrów z Baku przez Saratow, Kirow, Syktywkar do Kotłasu. Nie dojechali już w rejon Archangielska, a tam właśnie znajdował się gen. Tokarzewski-Karaszewicz – nierozpoznany wtedy jeszcze przez Sowietów. Jesienią 1940 r., gdy na północy zaczynała się już zima, zmuszeni byli wracać do Lwowa. Ominęli szczęśliwie kolejne kontrole i znaleźli się znów w sowieckim Lwowie. Nie odnaleziono generała, ale zapewne nie był to jedyny cel całej wyprawy, a może nawet tylko pretekst do szerszej operacji wywiadowczej. Trzeba pamiętać, że mjr Klotz pozostał oficerem wywiadu i wywiózł z ZSRS sporą wiedzę.

Nie odnaleziono generała, ale zapewne nie był to jedyny cel całej wyprawy, a może nawet tylko pretekst do szerszej operacji wywiadowczej

Minął dopiero pierwszy rok wojny. Konspiracja nadal się rwała, na początku 1941 r. został aresztowany gen. Okulicki, którego przeprowadzał z Warszawy niejaki Bolesław Zymon, jak się później okazało – agent NKWD. Major Klotz wyłączył się ze struktur ZWZ i zaczął tworzyć własną organizację. W ten sposób uniknął kontroli i wpływów NKWD i dotrwał do wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej w połowie 1941 r. Na tyłach armii niemieckiej, maszerującej na Moskwę, zaczął tworzyć nową sieć konspiracji, która sięgnęła Kijowa i Charkowa. Niemcy również zabezpieczali swą armię, rozpracowywali dywersję, sabotaż, konspirę. Sieć Klotza nie ustrzegła się wpadek. W jednej z nich wpadła jego towarzyszka wyprawy do ZSRS Wanda Ptaszek. Zaginęła wtedy albo raczej zginęła.

Z drugim nadejściem Armii Czerwonej w 1945 r. mjr Klotz legalizował się siłą rzeczy na modłę sowiecką jako lekarz z nie byle jaką, bo syberyjską kartą. Nie miał nadal większej wiedzy lekarskiej, ale wystarczyły papiery. Z nowym wojskiem polskim wracał do kraju w 1945 r. oficjalnie jako lekarz wojskowy. W tej nowej, już polskiej sytuacji dalej działał sowiecki nakaz pracy i „prikrieplenje" do zawodu. Powołano go do władz lekarskich w wojsku i wyznaczono na stanowisko dyrektora szpitala. Długo jednak ta komedia nie mogła trwać, służby sowieckie były nadal czynne i sprawne. W którymś momencie mjr Klotz zorientował się, że depczą mu po piętach. Wiedział, że musi uciekać na Zachód.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl f190bf5ce0



LESZEK ŻEBROWSKI

KOMUCHOŻERCA

Defilada

To była rzecz niesłychana. Kilkanaście miesięcy trwało już powstanie antykomunistyczne. Równolegle Sowieci umacniali swoją władzę pod przykrywką „Polski Ludowej", która miała imitować suwerenną władzę, działającą w interesie podbitego kraju. Aż tu nagle, w dniu święta narodowego 3 maja 1946 r. miała miejsce okazała defilada oddziałów partyzanckich NSZ w uzdrowiskowej miejscowości Wisła! Przebywający tam wówczas w sanatoriach byli więźniowie obozów koncentracyjnych i pacjenci miejscowych uzdrowisk byli zszokowani. Niektórzy z nich myśleli, że to Polska się odradza i komuna upadła. Niestety, aż tak dobrze nie było, ale dla komunistów był to szok.

Organizatorem starannie zaplanowanej i wykonanej akcji polskiego podziemia był kpt. Henryk Flame „Bartek", „Grot", dowódca grup leśnych NSZ na Podbeskidziu. Już miał imponujący dorobek zbrojny w walce z komunistami. Zorganizował aż 16 grup partyzanckich, które stale przeprowadzały operacje przeciw UB i MO. Przez jego zgrupowanie przewinęły się setki partyzantów, którzy kontrolowali teren, chroniąc ludność cywilną, likwidując komunistyczną agenturę i zwalczając UB i MO. Kapitan „Bartek" utrzymywał też kontakty z innymi organizacjami zbrojnymi, w tym z WiN i KWP.

Siły bezpieczeństwa, stacjonujące w Wiśle, zostały ostrzeżone, że mają nie wychylać nosa. Do ich pilnowania „Bartek" wyznaczył część swych sił. Inne grupy pilnowały okolicy, aby nie nadjechały niespodziewane posiłki. Ostrzeżone zostały też okoliczne jednostki wojskowe, aby się „nie wtrącały". Defiladę oddziałów NSZ przez kurort poprowadził por. Jan Przewoźnik „Ryś". Przemaszerowało ok. 200 partyzantów, jednolicie umundurowanych i wyposażonych. Całość robiła imponujące wrażenie. Defilada trwała dwie godziny, następnie żołnierze NSZ odmaszerowali do baz w góry. Akcja została przeprowadzona bez jednego wystrzału, milicjanci i wojsko przezornie schowali się w swych kwaterach. Efekt propagandowy został osiągnięty.

Niestety, do Zgrupowania ubowcy wprowadzili agenturę, m.in. byłego oficera AK Henryka Wendrowskiego. Przygotował straszliwą w skutkach prowokację: przerzut żołnierzy na Zachód. Ci, którzy ulegli pokusie, zostali bestialsko pomordowani. W kwietniu 1947 r. część ocalonych żołnierzy NSZ ze swym dowódcą uległa pokusie „amnestii". Część pozostała w konspiracji i prowadziła działalność nadal. Kapitan „Bartek" został zamordowany 1 grudnia 1947 r. przez funkcjonariusza MO Rudolfa Dadaka. Morderca został uznany za chorego psychicznie (dziś to byłaby „pomroczność jasna") i zabrany z tego terenu. Odnalazł się w MO w Raciborzu. ©℗



SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Testament Piłsudskiego

Po śmierci Józefa Piłsudskiego w Polsce ogłoszono żałobę, która trwała do zakończenia sześciodniowych uroczystości pogrzebowych (18 maja 1935 r.). Marszałek spoczął na Wawelu, a tygodniową żałobę ogłoszono we Francji, w Niemczech i w ZSRS. Rok później w Wilnie pochowano ekshumowane na terenie Republiki Litewskiej szczątki matki Komendanta i zgodnie z jego życzeniem do grobu na wileńskiej Rossie włożono urnę z jego sercem.

Pomimo izolowanych przypadków bojkotu żałoby narodowej społeczeństwo solidarnie oddało hołd zmarłemu. Szok po śmierci Marszałka był tak wielki, że od chwili śmierci do dnia zakończenia uroczystości pogrzebowych w Wilnie nie zanotowano żadnego (!) przestępstwa.

Piłsudski nie pozostawił po sobie spisanego testamentu politycznego i właściwie nie wiadomo, czy w ogóle wyraził swoją wolę na temat następstwa po sobie. Zapewne uważał (całkiem zresztą słusznie), że nikt nie posiada wystarczającego autorytetu, by go skutecznie zastąpić, a wola zmarłych nie ma większego znaczenia.

Komendant odszedł w chwili, gdy sytuacja Polski na arenie międzynarodowej mogła być uważana za względnie dobrą. Obowiązywały porozumienia z Niemcami i ZSRS, kraj wydawał się bezpieczny. Jak potoczyłyby się losy Polski, gdyby Marszałek żył dłużej, możemy tylko domniemywać. Wątpliwe jednak, aby starzejący się i schorowany Piłsudski potrafił zapewnić bezpieczeństwo. I chociaż posiadał genialny zmysł geopolityczny, to jednak nie doceniał nowych, decydujących środków walki, takich jak lotnictwo czy broń pancerna. Nie był w tym jednak odosobniony, czego przykładem stały się oszałamiające sukcesy Hitlera z podbojem Francji na czele. Ale los umożliwił zachowanie legendy Marszałka jako człowieka, który zapewnił Polsce bezpieczeństwo, a dopiero jego śmierć umożliwiła czwarty rozbiór Polski.

„Nie było systemu pomajowego – podsumowywał dyplomata, Kajetan Morawski. – Był tylko najpierw Piłsudski, genialny szlachcic o intuicji męża stanu i temperamencie rewolucjonisty, wielkopański i rubaszny, równie bliski trywialności legendy, dla którego Polska była jakimś wielkim Zułowem czy Pikieliszkami, że chodził po niej, gderząc i dziwacząc i kijem sękatym poganiał lub przepędzał parobków i ekonomów. Swą renesansową bujnością i litewskim uporem, szerokością swych koncepcji i małostkową mściwością, swą osobą i legendą przysłonił i przytłoczył cały okres dziejów Polski i wdarł się w życie każdego z nas. Wszyscy ci, co chcieli i nie chcieli, bardziej niż sobą samym byliśmy jego współczesnymi. A potem był Piłsudski stary i chory, a potem były walki diadochów". ©℗

eprasa.pl f190bf5ce0



Ronald Reagan to pierwszy amerykański prezydent, któremu udało się przeżyć zamach na swoje życie

FOT. MICHAEL EVANS/WHITE HOUSE/CAMERAPRESS/FORUM

Strzały pod Hiltonem



Piotr Włoczyk

Strzały w waszyngtońskim hotelu Hilton, w którym przebywał Donald Trump, przypomniały Amerykanom o zamachu na innego prezydenta USA, do którego doszło w tym samym miejscu. O tych dramatycznych chwilach opowiedział mi szef ochrony Reagana – Jerry Parr – który uratował mu wtedy życie

Świeżo upieczony prezydent USA (sprawował urząd dopiero 70 dni) 30 marca 1981 r. wygłosił w waszyngtońskim hotelu Hilton przemówienie do związkowców. Gdy wychodził z budynku, 26-letni John Hinckley jr oddał w jego kierunku sześć strzałów. Trafił trzy osoby znajdujące się tuż obok prezydenta: policjanta zabezpieczającego wizytę, sekretarza prasowego Białego Domu, a także funkcjonariusza Secret Service, który zasłaniał Reagana.

– Gdy wyszliśmy z hotelu, byłem dosłownie krok za prezydentem. Tylko kilka metrów dzieliło nas od limuzyny. Jeden z agentów czekał już na nas przy otwartych drzwiach. Wreszcie, jakieś dwa metry od auta, usłyszałem pierwszy z sześciu strzałów. Zanim zdołałem cokolwiek pomyśleć, odezwała się moja pamięć mięśniowa, którą każdy funkcjonariusz wyrabia w sobie latami treningów. Agenci ochrony są tak szkoleni, że sam dźwięk wystrzału powoduje natychmiastową i automatyczną realizację procedury, na którą składają się tylko dwa elementy – zakrycie i ewakuacja prezydenta. Gdy tylko usłyszałem trzask zamykanych drzwi, kazałem kierowcy jak najszybciej zabrać nas spod hotelu – mówił przed laty w rozmowie ze mną Jerry Parr (1930–2015), oficer Secret Service, który w tamtym czasie był szefem ochrony Ronalda Reagana.

Początkowo sytuacja nie wyglądała źle. Prezydent nie zgłaszał żadnego problemu, nie było też widać śladu po kuli. Wydawało się, że zamachowiec chybił. Reagan miał wprawdzie krew na ustach, ale przekonywał swojego ochroniarza, że to nic takiego – musiał się ugryźć w język albo w policzek. Kolumna prezydencka jechała wtedy spod hotelu Hilton do Białego Domu. W siedzibie prezydenta znajdował się pokój zabiegowy, gdzie na stałe dyżurował lekarz, ale w przypadku poważniejszego zdarzenia byłby bezradny.

– Krew na ustach prezydenta była jasnego koloru, więc zdawałem sobie sprawę, że pochodzi z płuc. Wtedy zacząłem się martwić, że być może jednak został on ranny w zamachu. Prezydent siedział pochylony na krawędzi siedzenia, gdy nagle zaczął pluć krwią. Uklęknąłem więc przed nim i powtórzyłem badanie. Skrupulatnie sprawdzałem każdy fragment jego ciała – włącznie z głową – ale po raz kolejny nie znalazłem ani kropli krwi na rękach. Sprawdzanie miało miejsce w tunelu, którego przejechanie zajmuje ok. pół minuty. Gdy wyjechaliśmy z tunelu, stwierdziłem jednak, że trzeba zawrócić całą kolumnę i musimy pędzić do szpitala – mówił szef ochrony Reagana.

REPUBLIKANIE ZE SKALPELAMI

Gdy limuzyna podjechała pod drzwi do Szpitala Uniwersytetu Jerzego Wa-

eprasa.pl f190bf5ce0

szyngtona, stała się rzecz, która – jeśli weźmiemy pod uwagę stan Reagana – wydaje się wręcz niemożliwa. Wykrwawiający się 70-letni prezydent, z kulą tkwiącą w płucu, o własnych siłach wyszedł z samochodu i wszedł do szpitala.

– Gdy szliśmy w kierunku drzwi szpitala, ja asekurowałem go, idąc po jego lewej stronie, a drugi funkcjonariusz Secret Service szedł po jego prawej stronie. Tuż po przekroczeniu drzwi prezydenta opuściły w końcu siły i upadł na kolana. Chwyciliśmy go pod ręce i wraz z kilkoma pracownikami szpitala doprowadziliśmy go do stojącego nieopodal łóżka. Pielęgniarki rozebrały go do naga i zaczęły szukać rany. Znalazły ją pod lewą pachą. Okazało się, że kula odbiła się rykoszetem od ramy drzwi, akurat gdy wpychałem prezydenta do limuzyny. Miał on wtedy ręce wyciągnięte przed siebie, jak podczas skoku na główkę. Kula po odbiciu się od pancerza auta rozpłaszczyła się jak moneta 10-centowa, uderzając w żebro i wbijając się głęboko w płuco. Od serca dzieliło ją tylko ok. 2,5 cm. Efektem postrzału była dziura w płucu wielkości ołówka. Tak poważna rana spowodowała potworne krwawienie. Dziś można zatem powiedzieć, że wtedy w limuzynie prezydent wykrwawiał się na śmierć – opowiadał Jerry Parr. Szef ochrony Reagana powszechnie uznawany jest za człowieka, który uratował tamtego dnia prezydenta USA. Lekarze ze szpitala stwierdzili, że pacjent dotarł do nich w ostatniej chwili.

Błyskawicznie zebrano zespół operacyjny i Reagan trafił na stół. Prezydent wciąż był jeszcze przytomny i to wtedy padł jego słynny żart pod adresem chirurgów: „Mam nadzieję, że wszyscy jesteście republikanami". „Tak, panie prezydencie, dziś wszyscy jesteśmy republikanami" – odpowiedział jeden z nich.

– Sytuacja była bardzo napięta, bo wiedzieliśmy, że stan prezydenta jest bardzo ciężki. Od razu jednak zaczęliśmy myśleć, co będzie dla nas oznaczał pobyt w szpitalu przez kolejnych kilka tygodni. Nie było mowy o przenoszeniu prezydenta po operacji, więc musieliśmy zreorganizować życie szpitala, by zapewnić mu bezpieczeństwo i odpowiednie warunki do pracy. W szpitalu pojawili się snajperzy i zespół pirotechniczny z psami. Generalnie przenieśliśmy do szpitala cały Biały Dom (śmiech). Nikt przed nami nie przeprowadził tak skomplikowanej operacji i patrząc wstecz, mogę powiedzieć, że sam jestem zaskoczony, że wszystko udało się bez komplikacji – mówił Jerry Parr.



Prezydent Reagan macha do tłumu krótko przed atakiem zamachowca

FOT. MIKE EVENS/AFP/EAST NEWS

ZAIMPONOWAĆ MŁODEJ AKTORCE

Secret Service przeszło istną rewolucję po zabójstwie JFK, do którego doszło 18 lat wcześniej, ale wydarzenia pod Hiltonem uwidoczniły kolejne problemy. Zamachowcowi udało się przemycić broń w bezpośrednie otoczenie prezydenta, ponieważ na miejscu nie było wykrywaczy metali. – Gdy odchodziłem ze służby [w 1985 r. – przyp. red.], używaliśmy ich już przy każdej okazji. Teraz to już standardowa procedura wszędzie tam, gdzie pojawiają się prezydent i wiceprezydent – mówił Parr.

Kolejnym problemem było zaginięcie tzw. karty uwierzytelniającej. Coś takiego nie miało prawa się zdarzyć, ponieważ dzięki niej prezydent USA jest w stanie zarządzić odpalenie rakiet z głowicami atomowymi. A jednak w czasie zamieszania w szpitalu karta zaginęła wraz z garniturem prezydenta.

– W końcu jednak się odnalazła. Od tamtego incydentu zmieniły się procedury, aby coś podobnego już nigdy się nie powtórzyło. Ustalono ostatecznie, że agent Secret Service odpowiedzialny za prezydenckie ubranie i rzeczy osobiste nie będzie ich spuszczał z oczu – mówił Parr.

Strzały pod Hiltonem sprawiły, że Ronald Reagan „przeprosił się" z kamizelką kuloodporną i zaczął rygorystycznie podporządkowywać się zaleceniom ochrony, m.in. ograniczając kontakt z tłumem po zapadnięciu zmierzchu. Parr, który po zakończeniu służby został pastorem, podkreślał, że to Boska opatrzność czuwała nad nimi tamtego dnia. – Naprawdę w to wierzę. Również Ronald Reagan tak to postrzegał – Bóg darował mu życie, żeby mógł wykończyć komunizm – powiedział mi Jerry Parr.

Trafieni kulami Hinckleya funkcjonariusz Secret Service i policjant wrócili do zdrowia, ale raniony tamtego dnia w głowę sekretarz prasowy Reagana, James Brady, do końca życia pozostał kaleką (w późniejszych latach zasłynął z prowadzenia kampanii na rzecz zaostrzenia dostępu do broni palnej).

Śledczy ustalili, że zamachowiec chciał zabić prezydenta USA, by zaimponować początkującej, 18-letniej aktorce Jodie Foster. John Hinckley jr został uznany za niepoczytalnego i trafił na ponad trzy dekady do zakładu psychiatrycznego. W 2016 r. sąd uznał, że człowiek, który strzelał do Reagana, nie stanowi już zagrożenia dla otoczenia, i Hinckley został wypuszczony na wolność.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl f190bf5ce0

Węgry po Orbánie



Maciej Szymanowski

Po 16 latach niepodzielnych rządów Viktora Orbána Węgry wkraczają w erę niepewności pod wodzą Pétera Magyara i jego partii TISZA. Choć nowy premier obiecuje głęboką „zmianę systemu", walkę z korupcją i europejskie otwarcie, to pierwsze dni jego urzędowania zwiastują raczej chaos konstytucyjny i polityczny teatr

Premier Péter Magyar powołał aż trzy rzeczniczki rządu. To (od lewej): Vanda Szondi, Éva Magyar, Anita Köböl FOT. PETER MAGYAR/FACEBOOK



Viktator" (Jean-Claude Juncker), „autokrata" (Manfred Weber), „szef mafii" (wielu, także w Polsce), czyli premier Węgier Viktor Orbán, po 16 latach sprawowania władzy w wyborczy wieczór 12 kwietnia br. nie wezwał do ponownego przeliczenia głosów. Nawet nie zasugerował nieodebrania przysięgi od kandydata na nowego premiera. Po prostu pogratulował odniesionego zwycięstwa swoim rywalom z partii TISZA. O dalszych losach Viktora Orbána, który w tym czasie zrezygnował ze swojego mandatu poselskiego, zadecyduje kongres Fideszu zwołany na 13 czerwca. Władzę na Węgrzech sprawuje obecnie partia TISZA, porównywana w zachodnich mediach najczęściej do francuskiej En Marche. Partia, która w momencie swojego wyborczego triumfu (53 proc. otrzymanych głosów, ponad dwie trzecie miejsc w parlamencie), liczyła 25 członków.

Śledząc w ubiegłym tygodniu ceremonię zaprzysiężenia nowego węgierskiego rządu z premierem Péterem Magyarem na czele, trudno było oprzeć się wrażeniu, że widzi się skądś już znane obrazki. Pokazana okiem kamery pustka wokół lidera, zapełniona następnie tłumami szalejących z radości ludzi. Dzieci grające na bałałajkach w sali izby poselskiej, a potem towarzyszące Magyarowi na placu przed parlamentem. Wzorowane na Angusie Youngu, liderze zespołu AC/DC, pląsy wykonywane przez jednego z ministrów, a potem wszystkich członków rządu w rytm wyklaskiwany osobiście przez premiera Magyara. I oczywiście treść wystąpienia nowego premiera. W sumie dwóch wystąpień, z których mogliśmy się dowiedzieć, że na Węgrzech – przypomnijmy: kraj ten jest od 1999 r. członkiem NATO, a od 2004 r. państwem członkowskim UE – dochodzi nie tylko do zmiany rządu, że dopiero teraz na Węgrzech dokona się prawdziwy „rendszerváltás" – „zmiana systemu". Skądinąd doskonałe pojęcie wytrych używane wcześniej w tym samym kontekście jak w Polsce wyrażenie „transformacja". Zamiast „odzyskanie niepodległości", „suwerenność" etc. Magyar sięgnął też w swojej retoryce do pojęcia „naród", ale jednak częściej przywoływał słowo „lud" (nép). I trudno nie zauważyć, że po spotkaniu z prezydentem mówił o 9 maja, dniu swojego zaprzysiężenia, jako pierwszy tak wysokiej rangi

eprasa.pl f190bf5ce0

węgierski polityk od ładnych paru dekad, w kontekście Dnia Zwycięstwa.

Na ile był to ukłon poczyniony wobec postkomunistycznej lewicy, która po raz pierwszy po 1989 nie jest reprezentowana w parlamencie, ale jednocześnie bez której poparcia partia TISZA nie odniosłaby tak spektakularnego zwycięstwa, a na ile podkreślenie faktu, że Magyar jest po prostu reprezentantem tej pierwszej, uwłaszczonej na majątku państwowym klasy średniej, w odróżnieniu od tych obywateli, którzy dopiero w czasach Viktora Orbána zaczęli robić swoje finansowe kariery – trudno dzisiaj jednoznacznie rozstrzygnąć. Być może były to jedynie swoiste echa otrzymanego przez Magyara wychowania. Wpływu ojca, a bardziej być może nawet dziadka. Nominowanego bezpośrednio po stłumieniu przez sowieckie czołgi powstania w 1956 r. na stanowisko sędziego Pála Erőssa, wysokiego rangą urzędnika Ministerstwa Sprawiedliwości aż do 1989 r.

KRYZYS NA START

W omawianym kontekście ciekawa jest zapowiedź przeprowadzenia na Węgrzech lustracji. Niewykluczone, że ograniczonej jedynie do opublikowania nazwisk agentów, zachowującej ograniczony dostęp do akt. Do tej samej kategorii należy kolejna obietnica złożona w kontekście pierwszych 100 dni nowego rządu – tzw. lustracja majątkowa i powołanie do życia nawet specjalnego urzędu do tych celów. Także tutaj pojawia się więcej pytań niż odpowiedzi. Również dlatego, że na stanowisko przewodniczącej Zgromadzenia Narodowego została powołana taka osoba jak Ágnes Forsthoffer, zawiadująca dotąd hotelowym imperium swoich rodziców, z największym chyba hotelem położonym nad Balatonem w ogóle (Balatonfüred).

Pierwszym prawdziwym wyzwaniem dla nowego premiera Węgier stanie się w najbliższych dniach jednak zupełnie inna sprawa – wywołany wyłącznie na własne życzenie kryzys konstytucyjny. Żądanie podania się do dymisji przez prezydenta Tamása Sulyoka. Jeśli prezydent ulegnie tej presji, to oczywiście będziemy mieli do czynienia jedynie ze stworzeniem precedensu powoływania przez parlament własnego prezydenta przez każdą siłę polityczną, która wygra wybory

Premier Magyar ma minimalne doświadczenie w administracji. Nigdy nie pełnił żadnej kierowniczej funkcji

większością dwóch trzecich (co z uwagi na węgierską ordynację wyborczą jest częste). Jeśli prezydent nie poda się do dymisji, a większość parlamentarna wybierze nowego, to będziemy mieli do czynienia z sytuacją, przy której brak obsady polskich placówek dyplomatycznych przez ambasadorów wyda nam się śmiesznie nieważny. Pierwszy przykład z brzegu: jeden z prezydentów podpisuje ustawę, na podstawie której Węgry przyjmują euro jako swoją walutę, co ma się dokonać według obietnic nowego rządu najpóźniej do 2030 r., ale drugi prezydent już nie. A werdykt węgierskiego Trybunału Konstytucyjnego w powyższej sprawie, którego Sulyok był zresztą wieloletnim wiceprezesem, a następnie prezesem, stosunkowo łatwo można przewidzieć…

WSZYSCY LUDZIE PREMIERA

To oczywiście spekulacje. Ale problemów piętrzących się przed nowym premierem Węgier jest całkiem sporo. I nie są to oczywiście kwestie ekonomiczne, jak można się ostatnio doczytać w Polsce. Całkiem niezły wzrost gospodarczy przewidziany na ten rok (+1,7 PKB, za pierwszy kwartał br. +3,5 PKB), niska inflacja (2,1 proc.) i stopa bezrobocia (4,5 proc.), wysokie rezerwy walutowe (66 mld euro) i złota (110 ton), przy znacząco niższym niż w okresie przejmowania władzy przez Viktora Orbána poziomie zadłużenia państwa (78 proc.), stwarza całkiem spore pole możliwości.

Natomiast ewentualne wycofanie się z obietnicy przeprowadzenia jeszcze w br. podwyżek uposażeń o 25 proc. dla osób zatrudnionych w oświacie, nauce i kulturze – a tak naprawdę zwiększenia dochodów wszystkich obywateli, ponieważ jednocześnie obiecane zostały takie działania, jak obniżenie podatku VAT czy wysokości składki zdrowotnej oraz wypłata 14. emerytury, o czym w ogóle w swoim exposé nie wspomniał premier Magyar – będzie oczywiście rodzić swoje polityczne konsekwencje. Warto tutaj chyba przypomnieć, że na partię TISZA oddało swój głos niemalże 3,4 mln wyborców. Na partie tworzące dziś opozycję parlamentarną: 3 mln.

Nie jest to zatem miażdżąca różnica. W realnej polityce rządzenia nowy węgierski gabinet w żaden sposób nie będzie mógł się oprzeć na danych socjologicznych. Dość tutaj wspomnieć, że wszystkie węgierskie sondażownie (14) nie tylko znacznie różniły się w typowaniu zwycięzcy ostatnich wyborów parlamentarnych, jak miało to miejsce także wcześniej przed czterema laty, ale wszystkie zarazem, tu nadzwyczaj zgodnie, pomyliły się co do wyborczych preferencji, jeśli chodzi o liczbę mandatów pochodzących z list krajowych oraz okręgów jednomandatowych. Tam, gdzie rządząca koalicja Fidesz-KDNP miała zdecydowanie przegrać (listy ogólnokrajowe), tam co prawda faktycznie przegrała, ale różnicą zaledwie czterech mandatów. Tam, gdzie – jak zapewniano – miała „odrabiać straty" (okręgi jednomandatowe), przegrała w miażdżącej proporcji 10:1.

Jakkolwiek dziwnie by to brzmiało, kolejnym problemem nowego rządu jest sam jego skład. Wicepremier i jednocześnie minister spraw zagranicznych Anita Orbán (zbieżność nazwisk z byłym premierem Węgier jest przypadkowa) ma co prawda za sobą doświadczenie pracy w administracji rządowej, ale niczym szczególnym się wówczas nie wyróżniła. Przez ostatnie lata Orbán pracowała na rzecz czeskiego przemysłu chemiczno-zbrojeniowego (Draslovka Group). Wspomniany koncern utrzymuje się z różnych dostaw na potrzeby walczącej Ukrainy. Te jednak nowy węgierski rząd, podobnie jak poprzedni, wyklucza. Żadnym doświadczeniem w sektorze rządowym nie dysponuje minister gospodarki i energetyki István Kapitány (Shell) czy minister finansów András Kármán (Erste Group), co nie byłoby być może aż takim problemem, gdyby nie zapowiedziana przez premiera Magyara relokacja siedziby urzędu premiera i wielu ministerstw, co z najwyższym prawdopodobieństwem poskutkuje wielomiesięcznym urzędniczym paraliżem wszelkich działań. Jak nietrudno zgadnąć, przeprowadzka z mieszkania do mieszkania a przeprowadzka tysięcy urzędników z budynku do budynku to jednak inna skala problemu.

eprasa.pl f190bf5ce0

Ministrem obrony został gen. Romulusz Ruszin-Szendi, co też jest zaskakującym posunięciem z punktu widzenia cywilnej kontroli nad wojskiem, której oczekuje NATO. Szendi został odwołany w 2023 r. z pracy w sztabie generalnym w do dziś niejasnych okolicznościach i jedyne, co konkretnego da się powiedzieć o jego planach, na podstawie wypowiedzi przed właściwą komisją wojskową to to, że jest bardzo daleki od ewentualnego przywrócenia powszechnego obowiązku służby wojskowej na Węgrzech czy wojskowego wsparcia dla Ukrainy.

Sam premier Magyar też dysponuje tylko minimalnym doświadczeniem w administracji państwowej (jako niskiej rangi dyplomata i urzędnik). Nigdy nie pełnił żadnej kierowniczej funkcji. W ostatnich dwóch latach był eurodeputowanym, wcześniej małżonkiem Judit Vargi, wieloletniej minister sprawiedliwości. Pomimo tego jego dochody wykazane w deklaracji majątkowej złożonej w Parlamencie Europejskim robią wrażenie. Zatrudniony jednocześnie w siedmiu–dziewięciu różnych podmiotach gospodarczych zarabiał od 100 do 300 tys. euro miesięcznie. Bez konieczności wyjazdu poza rogatki Budapesztu, gdzie lampka dobrego czerwonego wina w restauracji z widokiem na Dunaj wciąż kosztuje 5–7 euro.

Z tego punktu widzenia ciekawie przedstawia się zapowiedź przeprowadzenia lustracji majątku posiadanego przez byłego premiera Viktora Orbána i członów jego rodziny, o czym nieustannie mówi premier Magyar. Bardziej zainteresowanych tematem odsyłam do książki „Ojczulkowie" prof. Bogdana Góralczyka, której odnośny podrozdział kończy zdanie: „Orbánowi tak naprawdę do końca niczego nie udowodniono".

Wszystko wskazuje więc na to, że w najbliższych miesiącach będziemy mieć na Węgrzech do czynienia z politycznymi igrzyskami. Kampanią rozliczeń, rezonującą zapewne także w Polsce, jak mieliśmy z tym do czynienia w dniu rezygnacji premiera Orbána z mandatu poselskiego w postaci bezrefleksyjnie kolportowanego przez wielu najwyższych rangą polityków fake newsa, o jego i jego współpracowników domniemanej ucieczce z Węgier. Choć zdecydowanie bardziej powinno nas interesować, kto przyjeżdża, kto pojawił się na politycznym zapleczu węgierskiego rządu. Czy z taką postacią, o której nawet na Węgrzech nikt nie pamięta, że była wieloletnim ministrem finansów, a nawet premierem tego państwa w latach 2009–2010, za to doskonale znana jest z wielu tak niekonwencjonalnych interesów, jak próba przejęcia barokowego Pałacu Centralnego, w którym mieści się ratusz Budapesztu, aby na pewno jest nam po drodze?

ZMIENNY PARTNER

Całości obrazu dopełniają cztery nowe ministerstwa oraz trzech rzeczników, a raczej rzeczniczek rządu. Ponieważ nowi węgierscy ministrowie kultury oraz sprawiedliwości zostali wymienieni na swoich stanowiskach jeszcze wcześniej, niż w ogóle zostali zaprzysiężeni, nie wydaje się, aby premier Magyar do tych akurat obszarów życia publicznego przywiązywał jakąś szczególną wagę. Po pierwsze, z polskiego punktu widzenia ważniejsze wydaje się, że wbrew publicznie złożonej obietnicy zaplanowana na 20 maja wizyta premiera Węgier w Warszawie wcale nie okaże się pierwszą zagraniczną podróżą, ale trzecią, a może nawet piątą w kolejności. O ile po Brukseli i Rzymie miałyby się jeszcze w tym czasie odbyć jego wizyty w Wiedniu i Kijowie.

W najbliższych miesiącach będziemy mieć na Węgrzech do czynienia z politycznymi igrzyskami

Po drugie, dzięki prowadzonym inwestycjom – także w Chorwacji – od przyszłego roku Węgry będą miały możliwość przejścia w 100 proc. na nierosyjskie: gaz i ropę naftową. To ostatni dzwonek na to, by spróbować zainteresować ten kraj dostawami z północy przez polskie porty. Inaczej możemy mieć powtórkę z porażki, jak w przypadku projektu Stork. Zawieszonego przez Pragę w 2019, a ostatecznie anulowanego w 2022 r.

Po trzecie, Węgry są państwem, które nie tylko na papierze, lecz także realnie wydaje ponad 2 proc. PKB na przemysł obronny. Ponieważ rząd Magyara deklaruje, że tego nie zmieni, a wkrótce otrzyma dostęp do zablokowanych wcześniej środków z programu SAFE (16,2 mld euro), byłoby niewybaczalnym błędem, aby z jakiejś części tych środków nie skorzystał także polski przemysł zbrojeniowy.

Po czwarte, „ekskluzywne" gumy do żucia Donald z czasów Edwarda Gierka wciąż tkwią w najlepsze pod siedzeniami co niektórych wagonów, a pociągi z Warszawy, jak przed pół wiekiem, docierają do Budapesztu w 10 i więcej godzin, choć w tym czasie z wiadomych powodów zniknęły kontrole graniczne. To oczywiście część szerszego problemu, któremu na imię infrastruktura północ – południe. Problemu słabej wciąż pod wieloma względami infrastruktury państw wschodniej flanki NATO. A nie zapominajmy, że gdyby nie dostawa 20 tys. karabinów i milionów sztuk naboi z Budapesztu w sierpniu 1920 r., ofiarnie przewożonych następnie przez polskich chłopów furmankami na front już w czasie Bitwy Warszawskiej, nasza historia mogłaby potoczyć się mocno inaczej.

W kontekście środkowoeuropejskiej współpracy, tej realnej, nie deklaratywnej, premier Magyar nie jest łatwym partnerem. Co trzeba szczególnie podkreślić w przypadku polityka, który jest tzw. mistrzem jednego dnia. I niekoniecznie podtrzymuje we wtorek to, o czym mówił jeszcze w poniedziałek. Poza tym tylko w ciągu ostatnich czterech tygodni udało mu się wygenerować konflikt z Belgradem (co m.in. zablokowało sprzedaż koncernu naftowego NIS węgierskiemu MOLowi), premierem Ficą (w kontekście konsekwencji wydanych po drugiej wojnie światowej przez prezydenta Beneša dekretów konfiskujących majątek Węgrów zamieszkałych na Słowacji), prezydentem Zełenskim (odnośnie do ukraińskiej ustawy językowej i redukcji szkół oraz ośrodków kulturalnych mniejszości węgierskiej) oraz Bukaresztem. Zgodnie z logiką rzeczy odśpiewanie w parlamencie podczas ubiegłotygodniowej ceremonii zaprzysiężenia posłów „Hymnu Szeklerów", w którym padają słowa o „wiecznie węgierskim Siedmiogrodzie", zostało odpowiednio odnotowane. Kto jednak nie gra, z założenia nigdy nie wygrywa.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest wykładowcą Studium Europy Wschodniej Uniwersytetu Warszawskiego.

eprasa.pl f190bf5ce0

Jak Zełenski z Putinem



Maciej Pieczyński

Dziś są wrogami. Wojennymi dyktatorami, stojącymi na czele walczących ze sobą państw. W przeszłości jednak prezydent Ukrainy szukał porozumienia z przywódcą Rosji. Historia relacji dwóch postsowieckich samców alfa to materiał na fascynujący thriller polityczny

Niedawno była rzeczniczka Wołodymyra Zełenskiego Julia Mendel w rozmowie z Tuckerem Carlsonem przekonywała, że podczas pertraktacji w Stambule na początku wojny rosyjsko-ukraińskiej jej dawny szef był gotów oddać cały Donbas w zamian za pokój. To nie koniec sensacyjnych rewelacji. Według Mendel podczas paryskiego szczytu w grudniu 2019 r. Zełenski miał obiecać Władimirowi Putinowi, że Ukraina nigdy nie wejdzie do NATO. Oczywiście nie ma na to żadnych dowodów. Tak czy inaczej, w ostatnim czasie można odnieść wrażenie, że rośnie prawdopodobieństwo rozmów pokojowych (albo Putin chce, by Zachód tak myślał i miękł). Rosyjski prezydent nieco złagodził retorykę wobec Zełenskiego. Podczas spotkania z dziennikarzami 9 maja br. zasugerował, że nie wyklucza wizyty u swojego odpowiednika w Moskwie albo nawet w kraju trzecim, przy czym tylko po to, aby wspólnie podpisać wynegocjowane wcześniej porozumienie, „obliczone na długofalową perspektywę historyczną".

Czy zmiana retoryki przełoży się na realną wolę rozmów o realnym zakończeniu wojny? Nie wiadomo. Tak czy inaczej, od osobistych relacji dwóch liderów w dużej mierze zależą losy największego konfliktu w Europie od czasów drugiej wojny światowej. Relacje te nie zawsze były tak wrogie jak obecnie.

DWA SYLWESTRY

Obaj ruszyli po pełnię władzy w sylwestrową noc, wprowadzając swój kraj nie tyle w nowy rok, ile w nową polityczną epokę. Putina pełniącym obowiązki prezydentem wyznaczył podający się do dymisji podczas noworocznego przemówienia Borys Jelcyn. Zełenski o starcie w wyborach na głowę państwa poinformował w przerwie między jednym a drugim kabaretowym występem w telewizji 1+1 w noc sylwestrową z 2018 na 2019 r. Już wcześniej popularnemu komikowi zdarzyło się skomentować politykę. I to na poważnie.

Był początek marca 2014 r. Euromajdan przejął władzę w Kijowie, Wiktor Janukowycz uciekł do Rosji, niepogodzony z utratą władzy, a Moskwa rozpoczęła operację przejmowania Krymu, rosły też nastroje prorosyjskie na Donbasie. Zełenski przychodzi do studia telewizji TSN, żeby za jej pośrednictwem zaapelować do polityków. „Nie jest pan już prezydentem, tak zadecydował naród ukraiński. Niech pan się z tym pogodzi" – tymi słowami zwrócił się do Janukowycza, prosząc go też, by nie podsycał prorosyjskiego separatyzmu. Od porewolucyjnych władz w Kijowie zażądał: „Jeśli na wschodzie i na Krymie ludzie chcą mówić po rosyjsku, pozwólcie im na to". Przede wszystkim Zełenski zaapelował wówczas do Putina, aby z jego strony nie pojawiła się choćby nawet sugestia, że możliwy jest konflikt zbrojny. „Rosja i Ukraina to naprawdę bratnie narody […]. Jeśli pan chce, to mogę pana błagać na kolanach. Tylko proszę – niech pan nie rzuca na kolana naszego narodu" – mówił Zełenski. Pięć lat później Petro Poroszenko próbował z tych słów zrobić gwóźdź do politycznej trumny swojego rywala w wyborach prezydenckich. Przekonywał Ukraińców, że wybiorą albo jego, czyli patriotę, broniącego „armii, języka i wiary", albo ugodowca czy nawet zdrajcę, klęczącego przed Putinem. Podczas debaty Zełenski obrócił kontrowersyjną wypowiedź na swoją korzyść, demonstracyjnie padając na kolana, ale tym razem przed narodem ukraińskim, cierpiącym z powodu wojny. Wybory wygrał zresztą dzięki ugodowej retoryce. Obiecał, że usiądzie do stołu z Putinem i zakończy rozlew krwi. Najprawdopodobniej wierzył, że jest w stanie osobiście przekonać gospodarza Kremla do swoich racji. Głosowali na niego rosyjskojęzyczni Ukraińcy, nie tyle popierający Moskwę, ile zmęczeni konfliktem z sąsiadem i nacjonalistyczną retoryką swoich władz.

„Często mnie pytano, jaką cenę jestem gotów zapłacić w zamian za przerwanie ognia. Dziwne pytanie. A jaką cenę jesteście gotowi zapłacić wy, Ukraińcy, aby uratować życie swoich bliskich? Mogę zapewnić, że jestem gotów na wszystko, aby tylko nasi bohaterowie już nie ginęli" – mówił Zełenski podczas swojego inauguracyjnego przemówienia. Jednak deklaracja chęci dialogu nie satysfakcjonowała Moskwy. Putin nie pogratulował Zełenskiemu triumfu w wyborach. Zamiast tego ustami Pieskowa zadeklarował, że pogratuluje „pierwszych sukcesów w uregulowaniu konfliktu wewnętrznego na południowym

eprasa.pl f190bf5ce0





FOT. MANDEL NGAN AND MIKHAIL METZEL/AFP/EAST NEWS

wschodzie Ukrainy, a także pierwszych sukcesów w normalizacji relacji rosyjsko-ukraińskich". Niedługo potem zaczął się pierwszy zgrzyt w relacjach z Rosją. Putinowi nie spodobało się, że Zełenski nie chce rozmawiać z separatystami, tylko z ich zwierzchnikiem w Moskwie. Kąśliwie pochwalił wtedy byłego komika za talent sceniczny i umiejętność rozśmieszania publiki, dodając przy tym, że jego polityka to nie komedia, tylko tragedia. Zełenski zaczął jednak wykonywać gesty pod adresem Kremla. Zmusił nacjonalistyczne oddziały ochotnicze do wycofania się z zajmowanych przyfrontowych pozycji, co było jednym z warunków procesu pokojowego.

WYCIĄGANIE RĘKI

Pierwsza rozmowa obu prezydentów odbyła się telefonicznie 11 lipca 2019 r. (ponad dwa miesiące po wyborach) i trwała 20 minut. Zadzwonił Zełenski. Nie wiadomo, czy usłyszał wtedy gratulacje. Wiadomo, że rozmowa odbyła się wbrew radom zachodnich partnerów Ukrainy. Zełenski publicznie dał do zrozumienia, że choć jest Zachodowi wdzięczny za wsparcie, to jednak ma swoje zdanie i sam będzie decydował, czy kontaktować się z Putinem czy nie. Do kolejnej rozmowy przez telefon doszło w sierpniu. Ponownie z inicjatywy Zełenskiego, który miał poruszyć temat śmierci czterech ukraińskich żołnierzy na Donbasie. W tym samym roku jeszcze dwukrotnie wyciągał telefonicznie rękę do rosyjskiego prezydenta. Jednymi z namacalnych sukcesów ówczesnego dialogu były wymiana jeńców oraz zwrot Ukrainie statków porwanych przez Rosję.

Wreszcie 9 grudnia 2019 r. obaj przywódcy spotkali się na żywo w Paryżu, w ramach szczytu Formatu Normandzkiego. Szczyt nie przyniósł przełomu. Niespodzianką była jednak asertywna postawa Zełenskiego. Wbrew prognozom (i oczekiwaniom strony rosyjskiej) nowy ukraiński prezydent nie zgodził się na żadne ustępstwa. Zapewnił, że nie uzna aneksji Krymu, nie zrezygnuje z prozachodniego kursu i nie zaakceptuje planu federalizacji Ukrainy. Spierał się z Putinem o jeden z najbardziej niejednoznacznych punktów porozumień mińskich. Strony zgadzały się co do tego, że Kijów powinien odzyskać kontrolę nad granicą, a na Donbasie powinny odbyć się wybory samorządowe. Fundamentalna była różnica zdań co do kolejności. Zełenski upierał się przy schemacie „najpierw granica, potem wybory", na co Putin się nie godził.

Wstępnie umówili się na kolejne spotkanie za cztery miesiące. Ostatecznie nic z tego nie wyszło. Jak do tej pory szczyt paryski był pierwszym i ostatnim spotkaniem Putina z Zełenskim. Później jeszcze dwukrotnie rozmawiali oni przez telefon. Znów inicjatorem był Ukrainiec. Bez konkretnych ustaleń. Potem nastało milczenie. Zełenski wielokrotnie proponował Putinowi spotkanie. Ten jednak odmawiał nawet rozmów telefonicznych. Gdy w marcu 2021 r. zginęli kolejni ukraińscy żołnierze, Zełenski chciał przeprowadzić konsultacje z przedstawicielami Trójstronnej Grupy Kontaktowej do spraw uregulowania konfliktu na Donbasie. Udało się porozmawiać z Angelą Merkel i Emmanuelem Macronem, natomiast Putin odmówił. Zełenski się nie zniechęcał. Wciąż wychodził z założenia, że tylko negocjacje bezpośrednio z rosyjskim odpowiednikiem mogą doprowadzić do pokoju. W kwietniu 2021 r. w specjalnym orędziu zwrócił się do Putina z prośbą o spotkanie „w jakimkolwiek miejscu ukraińskiego Donbasu, gdzie toczy się wojna". Podkreślił, że tylko w ten sposób można „zatrzymać morderczą matematykę przyszłych strat". Putin obiecał, że chętnie przyjmie Zełenskiego w Moskwie, ale po to, by rozmawiać o relacjach rosyjsko-ukraińskich, a nie o Donbasie, który nie jest problemem Rosji, tylko Ukrainy i republik ludowych. W tamtym okresie Kreml konsekwentnie dążył do uznania konfliktu za wojnę domową oraz do legitymizacji separatystów. Zełenski wciąż jednak ponawiał apel o rozmowę jeden na jeden o Donbasie. W wywiadzie dla włoskiej gazety „La Repubblica" jako idealne miejsce negocjacji wskazał Watykan. Kreml znów odmówił, tym razem tłumacząc, że po pierwsze nie dostał oficjalnego zaproszenia, a po drugie, jak wielokrotnie powtarzał Dmitrij Pieskow, „spotkanie dla samego spotkania nie jest nikomu potrzebne". Putin, podobnie jak dziś, brał pod uwagę spotkanie z prezydentem Ukrainy tylko w tym wypadku, jeśli wcześniej Kijów spełni wszystkie żądania Moskwy.

W pewnym momencie dla obu stron stało się jasne, że kompromis nie jest możliwy. Prezydent Rosji zorientował się, że stojący na czele Ukrainy rosyjskojęzyczny „ugodowiec" nie chce kapitulować, tylko negocjować, w obawie przed buntem nacjonalistów. Zniechęcony asertywnością gospodarza Kremla i zawiedziony krachem swoich iluzji przeszedł ewolucję od „ugodowca" do „patrioty". Zaczął rozprawiać się ze środowiskami prorosyjskimi nad Dnieprem – mediami, oligarchami, partiami politycznymi. Z jednej strony, był to wyraz antykremlowskiej przemiany u „sługi narodu". Jako niedoświadczony, ale ambitny i skory do zdecydowanych (a często

eprasa.pl f190bf5ce0

histerycznych) ruchów polityk od jednej skrajności (szukanie porozumienia z Putinem za wszelką cenę) popadł w drugą skrajność (radykalna likwidacja „piątej kolumny", bez względu na ryzyko zemsty Putina). Z drugiej strony, Zełenski w ten sposób likwidował swoich konkurentów w walce o rosyjskojęzyczny elektorat. Sytuacja na linii Kijów – Moskwa (oraz między dwoma przywódcami) stawała się coraz bardziej napięta. Wczesnym latem 2021 r. Putin dał do zrozumienia, że nie ma sensu rozmawiać z Zełenskim, skoro prawdziwymi gospodarzami Ukrainy są jej zagraniczni partnerzy – Waszyngton, Berlin i Paryż. Niedługo potem na stronie internetowej Kremla ukazał się słynny artykuł „O historycznej jedności Rosjan i Ukraińców", kwestionujący prawo państwa ukraińskiego do istnienia. Zełenski coraz częściej zaczął mówić o tym, że Putin nie szanuje Ukrainy i nie dąży do pokoju. Wciąż jednak apelował o bezpośrednią rozmowę z władcą Kremla – nawet w przededniu inwazji, gdy wojska rosyjskie były już gotowe do ataku. O konieczności spotkania z Putinem mówił na forum Rady Najwyższej (w odpowiedzi słysząc gwizdy ukraińskich deputowanych), a także podczas konferencji monachijskiej. W swoim ostatnim przedwojennym przemówieniu (i ostatnim pod krawatem) w nocy z 23 na 24 lutego 2022 r. Zełenski przyznał, że zainicjował rozmowę telefoniczną z Putinem, ale odpowiedzią była „cisza, choć cisza powinna nastać na Donbasie". 25 lutego ukraiński prezydent wzywał do negocjacji. Tydzień później już w innym tonie zwrócił się do Putina: „Czego od nas chcesz? Odejdź z naszej ziemi. Nie chcesz teraz odejść – usiądź ze mną przy stole negocjacyjnym. Tylko nie w odległości 30 metrów, jak z Macronem czy Scholzem" – ironizował, nawiązując do strachu Putina przed COVID-19. „Jestem sąsiadem, nie trzeba mnie trzymać na taką odległość. Nie gryzę. Jestem normalnym facetem, usiądź ze mną, pogadajmy. Czego się boisz?" – dopytywał.

Krach rozmów stambulskich, odkrycie zbrodni w Buczy, aneksja okupowanych terytoriów we wrześniu 2022 r. – to wszystko sprawiało, że Zełenski swoją retorykę wobec Putina zaostrzał. Z wzajemnością zresztą. Od pewnego momentu obaj kwestionowali swoją legitymację. Jesienią 2022 r. Zełenski zapowiedział, że jest gotów do dialogu z Rosją, ale nie z Putinem, który „nie wie, co to honor i godność". Gdy pomimo upłynięcia kadencji ukraiński prezydent pozostał na stanowisku, Kreml wykorzystał ten fakt jako pretekst do zakwestionowania sensu rozmów z „uzurpatorem". Obaj przywódcy byli pytani o kuchnię wzajemnych relacji. Zełenski jeszcze na gorąco po jedynym osobistym spotkaniu w grudniu 2019 r. nazwał Putina „nieprostym, złożonym człowiekiem". Już po rozpoczęciu inwazji wspominał, że bardzo długo się wówczas z rosyjskim prezydentem targował. Więcej szczegółów nie pamięta, bo, jak stwierdził, „to było dawno temu, w innym życiu, kiedy wszystko było inne". „Wołodia, co ty robisz? Dlaczego wspierasz neonazistów na Ukrainie, skoro twój ojciec [zapewne chodziło o dziadka – przyp. red.] walczył z faszyzmem?" – takie pytanie miał kiedyś usłyszeć od Putina Zełenski. Tę rzekomą rozmowę zrelacjonował sam Putin w słynnym wywiadzie udzielonym Tuckerowi Carlsonowi w 2024 r. Gospodarz Kremla pokusił się wtedy również o diagnozę ewolucji, którą przeszedł Zełenski. Zdaniem Putina po wygraniu wyborów nowy prezydent Ukrainy zrozumiał dwie rzeczy. Po pierwsze, dla własnego bezpieczeństwa lepiej nie wchodzić w konflikt z neonazistami. Po drugie, „Zachód na czele ze Stanami Zjednoczonymi" zawsze popiera tego, kto występuje przeciwko Rosji. I właśnie dlatego Zełenski postanowił przejąć antyrosyjską retorykę neobanderowców.

Moskwa najprawdopodobniej, rękami kadyrowców, polowała na ukraińskiego prezydenta na samym początku wojny. Z kolei ukraińskie drony są w stanie porazić Kreml

„Widziałem Putina i widziałem jego pragnienie życia. Bardzo kocha życie" – to z kolei diagnoza, sformułowana w jednym z wywiadów przez Zełenskiego. Ukraiński prezydent swojego odpowiednika nazywał „dziadem bunkrowym", „chorym dziadem z Placu Czerwonego". Składając życzenia bożonarodzeniowe Ukraińcom, Zełenski wyraził jakoby wspólne dla wszystkich jego rodaków życzenie: „żeby on zdechł", mając na myśli Putina.

DLACZEGO JESZCZE ŻYJĄ?

Wojna rosyjsko-ukraińska jest mocno spersonalizowana. Dlaczego więc przywódcy obu państw jeszcze żyją? Dlaczego Zełenski nie zabił Putina? Dlaczego Putin nie zabił Zełenskiego? Moskwa najprawdopodobniej, rękami kadyrowców, polowała na ukraińskiego prezydenta na samym początku wojny. Z kolei ukraińskie drony są w stanie porazić Kreml. Nieprzypadkowo Putin, w obawie przed kompromitacją, a także ze strachu o osobiste bezpieczeństwo, tak bardzo zabiegał o rozejm na czas Parady Zwycięstwa. Zełenski nie wykorzystał szansy, by przynajmniej spróbować zabić Putina na Placu Czerwonym. Putin zaś nieszczególnie atakuje centrum Kijowa. Tak jakby obaj liderzy jednak powstrzymywali się przed wzajemnym zniszczeniem. Powód zdaje się oczywisty.

Bezpieczeństwo osobiste przywódcy jest tutaj czerwoną linią, której nie wolno przekraczać. Być może jest to nawet niepisana umowa. Kijów wie, jak wielka byłaby zemsta, gdyby spróbował zaatakować Kreml. Kreml wie, jak wielka byłaby zemsta, gdyby spróbował zaatakować Bankową. Obaj liderzy się w ten sposób szachują. Obaj publicznie albo się lekceważą, albo życzą sobie śmierci, ale też obaj wiedzą, że są na siebie skazani. Zełenski może powtarzać, że woli podpisać pokój z kimś bardziej godnym zaufania niż Putin. Putin może powtarzać, że nie uzna żadnych porozumień, podpisanych przez „uzurpatora" Zełenskiego. A finalnie obaj – jako sprawni mimo wszystko dyktatorzy wojenni – na tyle umocnili swoją władzę w warunkach konfliktu zbrojnego, że wszelkie pogłoski o ich politycznej śmierci pozostają mocno przesadzone. A co za tym idzie – zależy od nich zarówno wojna, jak i pokój. I to ich podpisy pojawiłyby się na dokumencie wojnę kończącym lub zamrażającym. Na razie jednak wydaje się, że dla obu wojna jest bardziej korzystna niż pokój…

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl f190bf5ce0



FOT. OUTKICKOUTDOORS/INSTAGRAM

NIEDŹWIEDŹ W ŁAZIENCE

W Gatlinburgu (stan Tennessee) policja otrzymała nietypowe zgłoszenie z hotelu. Jego pracownik zauważył niedźwiedzia czarnego, który wszedł do zewnętrznej łazienki i… zatrzasnął się w środku. Funkcjonariusze, którzy przybyli w nocy na miejsce, ostrożnie otworzyli jej drzwi. Zdezorientowane zwierzę spokojnie z niej wyszło i oddaliło się chodnikiem. Nikomu nie stała się krzywda. Jedyną szkodą okazał się rozbity lustrzany panel o wartości ok. 50 dol.

WALKA O LEŻAKI

Turysta z Niemiec wygrał w sądzie ponad 900 euro odszkodowania po wakacjach w Grecji, gdzie nie mógł korzystać z leżaków przy basenie, ponieważ były ciągle „rezerwowane" ręcznikami przez innych gości. W roku 2024 mężczyzna wraz z rodziną spędzał urlop na wyspie Kos. Twierdził, że codziennie przez ok. 20 minut szukał wolnego leżaka, mimo że wstawał już o 6 rano. Nawet o tak wczesnej porze wszystkie miejsca były zajęte, a jego dzieci musiały leżeć na podłodze.

GROŹNA BATERIA

Samolot z Oakland do San Diego spóźnił się prawie godzinę z powodu robota. Humanoidalna konstrukcja tańcząc przy bramce przed wejściem na pokład maszyny przyciągnęła uwagę pasażerów. Problem pojawił się po zajęciu miejsca w samolocie. Obsługa odkryła, że bateria litowo-jonowa robota przekracza dopuszczalne limity bezpieczeństwa. Ostatecznie obsługująca go firma wykupiła mu osobne miejsce jako „przedmiotowi nieożywionemu". Baterię z niego wyjęto i przetransportowano osobno.

NIEWAŻNY TEST

Indie unieważniły egzaminy decydujące o przyjęciu na studia medyczne. Powodem jest wiadomość, że doszło do wycieku pytań egzaminacyjnych. Test pisało ponad 2 mln osób. Sprawę bada indyjskie Centralne Biuro Śledcze. Decyzja władz wywołała protesty studentów oraz krytykę ze strony opozycji. Szykując się do egzaminów, kandydaci na studia musieli ponieść wydatki związane z kosztownymi kursami przygotowawczymi.

FAŁSZYWY DOKTOR

Francuz Florent Montaclair wymyślił fikcyjną nagrodę z filologii, wzorowaną na Noblu, i samodzielnie ją przyznał sam sobie. W roku 2016 r. odebrał Złoty Medal Filologii. Jak się okazało, zarówno ta nagroda, jak i towarzystwo naukowe, które ją przyznało, były wytworem wyobraźni Montaclaira. Ponadto chwalił się on fałszywym doktoratem uzyskanym na nieistniejącej uczelni. Prokuratura w Besançon bada, czy filolog podając fałszywe informacje, nie popełnił przestępstwa. ©℗

Filip Memches



JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Cena wojny

Wojna z Iranem kosztowała już Stany Zjednoczone co najmniej 29 mld dol. Taką kwotę oficjalnie potwierdził w ubiegłym tygodniu Pentagon. Rachunek jest zatem o 4 mld wyższy niż pod koniec kwietnia. A to i tak mocno zaniżona suma.

Według szacunków telewizji CNN po doliczeniu wydatków na odbudowę zniszczonych baz i wymianę aktywów koszt wojny Trumpa z reżimem ajatollahów może wynosić 40–50 mld dol. Linda Bilmes z Harvard Kennedy School prognozuje zaś, że konflikt z Iranem będzie kosztował amerykańskich podatników co najmniej 1 bln dol.

A ile by kosztowała wojna w Polsce? Autorzy raportu opracowanego przez Związek Przedsiębiorców i Pracodawców (ZPP) oraz Defence Institute przeanalizowali trzy scenariusze agresji Rosji na Polskę.

W pierwszym z nich – zakładającym ograniczone uderzenia wroga m.in. na Naftoport i Rafinerię Gdańską – PKB Polski realnie spada o 11,2 proc., inflacja osiąga 80 proc., a dług publiczny rośnie do 85 proc. PKB. Koszty transportu rosną o niemal jedną trzecią. Inwestycje zostają zamrożone. Drugi scenariusz – inwazji regionalnej i okupacji północno-wschodnich części kraju (Warmia i Mazury, Podlasie) – przewiduje spadek PKB o 29,4 proc., inflację na poziomie 160 proc., a także ok. 2 mln uchodźców wewnętrznych. Trzeci scenariusz – zakładający pełnoskalową inwazję z trzech kierunków – prowadzi do bezrobocia na poziomie 43 proc. i destabilizacji monetarnej. I to przy założeniu, że po 120 dniach NATO zmusza Rosjan do wycofania się.

Według ekspertów łączne koszty odbudowy Polski wyniosłyby od 0,8–1,2 bln zł do 3,5–5,5 bln zł.

eprasa.pl f190bf5ce0



HISTORIA DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!



100. ROCZNICA ZAMACHU MAJOWEGO – PIŁSUDSKI BIERZE WŁADZĘ

Polski spór o Polskę – Za wypadki z maja 1926 r. i rozlew krwi trudno obarczyć pełną winą tylko jedną ze stron konfliktu. Stanowiły one bowiem splot wielu okoliczności zmiennego i mało stabilnego życia politycznego Polski

Generałowie za kratami – Po przewrocie majowym Tadeusz Rozwadowski, Włodzimierz Zagórski, Juliusz Malczewski i Bolesław Jaźwiński zostali aresztowani. Żaden z nich nie stanął jednak przed sądem

Od szacha do ajatollaha – „Ci, którzy krytykowali szacha za brutalność jego tajnej policji, po zmianie władzy zmienili tylko jej nazwę i wykorzystywali ją tak samo, przetrzymując swoich wrogów w tych samych więzieniach" – mówi prof. UŁ Robert Czulda

Rzymscy legioniści w Chinach – To w starożytności narodził się handel światowy oplatający swoimi nićmi tereny od rzymskiej Brytanii do Chin. Było to możliwe dzięki śmiałkom, o których dziś już mało kto pamięta

Norymberska farsa – Winston Churchill przekonywał, że niemieckich zbrodniarzy trzeba najzwyczajniej rozstrzelać. Brytyjski przywódca doskonale bowiem rozumiał, że ich proces będzie kpiną z prawa

Odcięta ręka generała Lee – W bitwie pod Chancellorsville gen. Lee wzniósł się na wyżyny swojego dowódczego geniuszu, będąc bliski zakończenia wojny na warunkach Południa. Jednocześnie stracił tam swojego najlepszego generała, bez którego stało się to niemożliwe

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

eprasa.pl f190bf5ce0



Zmiana warty w najważniejszym banku świata



Jacek Przybylski

Kevin Warsh, kandydat Donalda Trumpa na stanowisko szefa Rezerwy Federalnej, został w środę zatwierdzony przez Senat. Czy nowy szef najpotężniejszej instytucji w amerykańskiej gospodarce zdoła zachować niezależność od prezydenta? I jak zmiana za oceanem wpłynąć może na życie przeciętnego Kowalskiego?

To nie była rutynowa zmiana warty w amerykańskim banku centralnym. Co więcej, tak burzliwej i upolitycznionej walki o nowego szefa Fed nie było nigdy w 113-letniej historii tej prestiżowej instytucji. Bój o nominowanego przez Donalda Trumpa następcę Powella był bowiem wyjątkowo zacięty aż do samego końca.

Pod koniec kwietnia senacka komisja bankowa udzieliła co prawda poparcia kandydaturze Kevina Warsha, ale zrobiła to stosunkiem głosów 13:11.

W ubiegły wtorek, gdy Senat zatwierdził 14-letnią kadencję Warsha jako jednego z członków Rady Gubernatorów, telewizja PBS wyemitowała film dokumentalny „Prezydent kontra Rezerwa Federalna" („The President vs. the Fed"). Pokazuje on, jak prezydent Donald Trump w bezprecedensowy sposób próbował przejąć kontrolę nad najpotężniejszą instytucją w amerykańskiej gospodarce i wymusić na banku centralnym obniżki stóp procentowych. Amerykański prezydent nie ograniczał się do gróźb i wyzwisk (Trump publicznie nazywał Powella „głupkiem" i „idiotą"). Podległy prezydenckiej administracji Departament Sprawiedliwości wszczął nawet dochodzenie wobec prezesa Fed (jego rzekomym powodem miało być przekroczenie kosztów remontu siedziby Rezerwy Federalnej w Waszyngtonie).

Dlaczego Donald Trump próbował wszelkimi sposobami doprowadzić do obniżenia stóp procentowych? W agresywnym luzowaniu polityki pieniężnej widzi

eprasa.pl f190bf5ce0



Pięćdziesięcioześcioletni Kevin Warsh – ekonomista, bankier, doradca i urzędnik – to najbogatszy prezes Rezerwy Federalnej w całej historii tej instytucji FOT. KEVIN LAMARQUE/REUTERS/FORUM

on bowiem sposób na osobiste przetrwanie i uchronienie Partii Republikańskiej przed dotkliwą porażką w listopadowych wyborach połówkowych. Rozumowanie prezydenta można streścić w prosty sposób: im szybciej spadną stopy procentowe, tym szybciej wyborcy odczują np. spadek raty kredytu hipotecznego oraz poprawę sytuacji na rynku pracy. Jeśli taki scenariusz by się ziścił, to Amerykanie mogliby być bardziej skłonni do tego, aby zapomnieć o rekordowo wysokich cenach na stacjach paliw i o innych podwyżkach wywołanych decyzją Donalda Trumpa o dołączeniu do izraelskiego ataku na Iran.

Śledztwo wobec Powella zostało ostatecznie umorzone, co pozwoliło udobruchać republikańskiego senatora z Karoliny Północnej, Thoma Tillisa, który publicznie zapowiedział, że będzie blokował procedurę powołania nowego szefa Fed dopóty, dopóki Departament Sprawiedliwości nie porzuci „śledztwa" wobec odchodzącego prezesa Rezerwy Federalnej. Do kluczowego starcia w Senacie doszło 13 maja, zaledwie dwa dni przed końcem kadencji dotychczasowego szefa Fed. „Za" zatwierdzeniem nowego prezesa banku centralnego głosowało 54 senatorów, a „przeciw" było 45. Kandydat nominowany przez prezydenta Donalda Trumpa uzyskał poparcie niemal wyłącznie republikanów (poparł go jeszcze tylko jeden demokrata: John Fetterman z Pensylwanii).

Jerome Powell – szef amerykańskiego banku centralnego przez dwie czteroletnie kadencje, najpierw jako nominat Donalda Trumpa z czasów jego pierwszej kadencji, a następnie Joe Bidena – do samego końca swego urzędowania nie uległ presji ze strony prezydenta i podlegających prezydenckiej administracji prokuratorów. Ze względu na uporczywą inflację Rezerwa Federalna na trzech kolejnych posiedzeniach w tym roku utrzymała stopy procentowe na niezmienionym poziomie 3,5–3,75 proc., pokazując, że najważniejszy bank świata zdołał utrzymać swoją niezależność. W obronie niezależności amerykańskiego banku centralnego publicznie stanęli jednak zarówno byli szefowie Fed (Janet Yellen ostrzegła, że naciski prezydenta na Fed zamienią Stany Zjednoczone w „republikę bananową"), jak i przedstawiciele banków centralnych z różnych krajów świata.

NAJBOGATSZY PREZES W HISTORII FED

Pięćdziesięcioześcioletni Kevin Warsh – bankier, doradca i urzędnik – na nowojorskich i waszyngtońskich salonach od lat cieszy się opinią utalentowanego i doświadczonego ekonomisty. Po ukończeniu studiów na Uniwersytecie Stanforda i Uniwersytecie Harvarda pierwsze duże pieniądze zarabiał jako specjalista do spraw wielkich fuzji i przejęć w nowojorskim banku Morgan Stanley. W administracji państwowej pracował jako sekretarz wykonawczy Narodowej Rady Gospodarczej Białego Domu i doradca ekonomiczny prezydenta George'a W. Busha. W 2006 r. wszedł do Rady Gubernatorów Rezerwy Federalnej. Już wówczas zapisał się na kartach amerykańskiej historii. Prestiżowe stanowisko objął, mając zaledwie 35 lat, jako najmłodszy gubernator w historii Fed. Sprawował je do 2011 r., obserwując z bliska próby wyprowadzenia amerykańskiej gospodarki z najgłębszej recesji od czasów zakończenia drugiej wojny światowej.

Pięćdziesięcioześciolatek ma również duże doświadczenie w biznesie. Przez lata pracował jako doradca wielu publicznych i prywatnych przedsiębiorstw. Zasiadał m.in. w zarządzie takich gigantów jak UPS (lider amerykańskiego rynku kurierskiego) czy Coupang (największa platforma e-commerce w Korei Południowej, nazywana „koreańskim Amazonem").

Kevin Warsh to jednocześnie najbogatszy przewodniczący Rezerwy Federalnej w historii Stanów Zjednoczonych. Największą część rodzinnej fortuny zawdzięcza jednak małżonce. To Jane Lauder – córka miliardera Ronalda S. Laudera, amerykańskiego przedsiębiorcy, dyplomaty, filantropa, laureata m.in. Krzyża Komandorskiego z Gwiazdą Orderu Zasługi Rzeczypospolitej Polskiej, Nagrody Orła Jana Karskiego, byłego ambasadora USA w Austrii za czasów Ronalda Reagana – wniosła do małżeństwa miliardy dolarów (według szacunków magazynu „Forbes" majątek netto 53-letniej Jane Lauder wart jest ok. 2,1 mld dol.).

EWOLUCJA JASTRZĘBIA

Pierwsze posiedzenie Warsha jako przewodniczącego Fed zacznie się 16 czerwca. Jego wybór na nowego szefa Rezerwy Federalnej został dobrze przyjęty przez inwestorów, którzy oczekują, że człowiek doskonale rozumiejący Wall Street i mocno z rynkiem związany wprowadzi regulacje bardziej przyjazne rynkom finansowym i skupi się na redukcji bilansu Fed. Za tą tezą przemawia fakt, że nominacja Warsha miała być wynikiem skutecznego lobbingu prowadzonego w Białym Domu nie tylko przez ludzi Ronalda Laudera, lecz także miliardera Stanleya Druckenmillera, który uznawany jest za jednego z najlepszych traderów na świecie i który przez ponad dekadę był szefem nowego prezesa Fed.

Według mediów nowy przewodniczący Rezerwy Federalnej zamierza zmniejszyć liczbę pracowników Fedu, ograniczyć liczbę posiedzeń dotyczących polityki

eprasa.pl f190bf5ce0

monetarnej z ośmiu do czterech rocznie. Chce również zrezygnować z bardzo precyzyjnego informowania rynków o przyszłych ruchach banku centralnego dotyczących polityki pieniężnej (tzw. forward guidance) i rzadziej niż jego poprzednik organizować konferencje prasowe.

Najważniejsze pytanie brzmi jednak: Jaką politykę pieniężną będzie prowadził następca Powella? Warsh przez lata miał reputację „jastrzębia", a więc zwolennika wyższych stóp procentowych. Takie media jak „The Wall Street Journal", „Financial Times" czy CNBC w ostatnich miesiącach zwracały uwagę na ewolucję poglądów Warsha w tej kwestii. Ekonomista uważa bowiem, że dynamiczny rozwój sztucznej inteligencji (AI) i nowych technologii może drastycznie podnieść produktywność, co w teorii powinno pozwolić na silniejszy wzrost gospodarczy bez wywoływania kolejnej fali inflacji.

SZOK ENERGETYCZNY

Problem w tym, że kierownictwo nad bankiem centralnym przejmuje w momencie, w którym amerykańska gospodarka wstrząsana jest napięciami geopolitycznymi – wywołanymi atakiem wojsk USA i Izraela na Iran – które znacząco podbijają inflację. W kwietniu inflacja w Stanach Zjednoczonych wzrosła do 3,8 proc., czyli do poziomu najwyższego od trzech lat. Tym samym przewyższa już tempo wzrostu płac.

Inwestorzy spoglądający na tak wysoką inflację i szok energetyczny spodziewają się, że Fed utrzyma główną stopę procentową bez zmian do końca roku. Część ekonomistów nie wyklucza nawet podwyżki stóp procentowych. Z kolei prezydent Donald Trump publicznie podkreśla, że będzie się domagał od swego nominata bardzo gwałtownego i agresywnego luzowania polityki pieniężnej. Gospodarz Białego Domu żartował nawet w tym roku, że jeśli nominowany przez niego Warsh nie obniży stóp procentowych, to prezydent pozwie go do sądu.

Odsuwając żarty na bok, można się spodziewać, że prędzej czy później dojdzie do wybuchu nowego, gwałtownego konfliktu na linii Biały Dom – Rezerwa Federalna. Jest on tym bardziej prawdopodobny, że decyzje o podwyższeniu, obniżeniu lub utrzymaniu stóp procentowych podejmuje Federalny Komitet do spraw Operacji Otwartego Rynku (FOMC), w którym przewodniczący Fed jest tylko jednym z 12 członków. Były szef Fed Jerome Powell ogłosił, że przynajmniej na razie nie zamierza zwalniać miejsca w Radzie Gubernatorów. To bardzo nietypowa decyzja. Chociaż kadencja Powella w radzie upływa dopiero w roku 2028, to zazwyczaj przewodniczący Rezerwy Federalnej po zakończeniu swojej kadencji opuszczają Radę Gubernatorów. Do tej pory w całej historii amerykańskiego banku centralnego nie zrobił tego jedynie Marriner S. Eccles. Skonfliktowany z administracją prezydenta Harry'ego Trumana po zakończeniu swej kadencji przewodniczącego Fed w styczniu 1948 r. pozostał w Radzie Gubernatorów do roku 1951, aby bronić niezależności banku centralnego od Departamentu Skarbu (dziś to właśnie imię Ecclesa nosi okazała siedziba Zarządu Gubernatorów Systemu Rezerwy Federalnej w Waszyngtonie).

Inwestorzy spodziewają się, że ze względu na inflację Fed utrzyma stopy procentowe bez zmian do końca roku

Co prawda, Warsh podczas przesłuchań zapewniał senatorów, że jasno oddzieli politykę od wpływu na decyzje Rezerwy Federalnej, ale zwłaszcza przez pierwsze miesiące urzędowania media oraz globalni inwestorzy będą bardzo mocno przyglądać się temu, czy Fed można traktować jeszcze jako instytucję niezależną. Jeśli świat finansów uzna, że tak naprawdę władzę w Rezerwie Federalnej przejął gospodarz Białego Domu, to drastycznie osłabi to zaufanie do amerykańskiego systemu finansowego. Skutki tego odczułaby zaś cała globalna gospodarka.

PRESJA NA ZŁOTEGO I WYŻSZE PODATKI?

Czy zmiana na fotelu prezesa Rezerwy Federalnej może jednak jakkolwiek wpłynąć na życie przeciętnego Kowalskiego? Tak. I to na kilka sposobów. Bardzo ważny jest tu wspomniany wyżej fakt, że Warsh jest zwolennikiem agresywnej redukcji wartego 6,7 bln dol. bilansu Fed. Doświadczony ekonomista od lat podkreślał, że bank centralny powinien skupić się na walce z inflacją oraz bezrobociem. Innymi słowy, prezesura Kevina Warsha oznaczać powinna powrót do bardziej klasycznej bankowości centralnej, opartej na jej najważniejszym narzędziu, czyli stopach procentowych.

Jeśli prowadzona za jego kadencji polityka pieniężna amerykańskiego banku centralnego doprowadzi do utrzymania wysokich rentowności amerykańskich obligacji, to międzynarodowy kapitał może zacząć wracać do dolara. Może to osłabić złotego (doprowadzając do zwiększenia tempa wzrostu cen w sklepach) oraz prowadzić do wzrostu rentowności polskich obligacji (czytaj: Ministerstwo Finansów będzie musiało płacić wyższe odsetki od emitowanego długu).

Skutki? Mniejsze szanse na obniżki stóp procentowych przez Narodowy Bank Polski, bo rosnąca inflacja może związać ręce członkom Rady Polityki Pieniężnej. Możliwe spadki na Giełdzie Papierów Wartościowych w Warszawie, bo niepewność co do polityki Fed może sprzyjać ucieczce z rynków wschodzących. Rosnące prawdopodobieństwo ograniczenia inwestycji, podwyżek stawek podatkowych lub pojawienia się zupełnie nowych danin. Kolejne polskie rządy są bowiem zbyt tchórzliwe, aby uciąć lub przynajmniej znacząco ograniczyć gigantyczne wydatki na bezsensowne programy rozdawnictwa typu „800+". Silniejszy dolar w połączeniu z trudną sytuacją na rynku surowców może również doprowadzić do zmniejszenia tempa wzrostu gospodarczego. Nie tylko w Polsce, lecz także w skali globalnej.

Wszelkie prognozowanie utrudnia jednak to, że o tym, jaką rzeczywiście politykę prowadzić będzie nowy szef Rezerwy Federalnej, przekonamy się tak naprawdę dopiero w ciągu kilku, kilkunastu miesięcy. Jeśli zaś Kevin Warsh okaże się wierny swym dotychczasowym poglądom, to jego prezesura może okazać się trudna zarówno dla gospodarza Białego Domu, jak i dla inwestorów liczących na dalsze wzrosty już teraz rozgrzanego do czerwoności rynku akcji.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl f190bf5ce0



PROSTO ZYGZAKIEM

Kasy chorych albo śmierć!

PIOTR GABRYEL

A raczej, precyzując tytuł tego felietonu: albo przywrócenie kas chorych (które istniały w Polsce w latach 1999–2003), albo szybka (a co najmniej: szybsza) śmierć, bo przecież śmierć tak czy owak – z kasami chorych czy bez nich – i tak każdego z nas czeka. A zatem: albo szybko przywrócimy kasy chorych, albo czeka nas szybsza (z powodu utrudnionego dostępu do lekarzy) śmierć.

Wiem, to dziwne, że felieton o naszym bankrutującym antysystemie ochrony zdrowia zaczynam od obserwowanej przeze mnie z wielką przyjemnością walki, nieustannie toczonej także o moje pieniądze przez Biedronkę i Lidla. I otóż obie te sieci handlowe (i wiele innych) co tydzień zarzucają mnie nie tylko niekończącą się ofertą promocji, lecz także porównaniami własnych „koszyków zakupowych". Rzecz jasna, Lidl zawsze przekonuje, że to w jego sklepach jest taniej, a Biedronka – odwrotnie – że taniej jest w jej sklepach. Towarzyszą temu konkretne liczby i każdy klient sam może wyciągnąć z nich wnioski i po to, czego potrzebuje, udać się tam, gdzie to coś oferowane jest w korzystniejszej cenie.

A przy tym, nieustannie ze sobą konkurując, Biedronka i Lidl (oraz pozostałe sieci) cały czas działają na naszą, klientów, korzyść, opóźniając często nieuchronne, bo wywoływane inflacją podwyżki cen, a czasami prowadząc wręcz do obniżek cen niektórych produktów, nawet kosztem swojej niższej marży. Żeby tylko wygrać z konkurentem!

No i mniej więcej tak mogłoby dziś wyglądać nasze życie z naszym systemem ochrony zdrowia, gdyby był oparty na kasach chorych – konkurujących między sobą o nasze pieniądze i w tym celu „pilnujących" w naszym (i swoim) interesie cen usług medycznych (wizyt, badań, zabiegów, operacji), oferowanych przez szpitale i przychodnie – państwowe i prywatne, a więc także ich kosztów (w tym wysokości pensji lekarzy i pielęgniarek oraz marż). Mogłoby tak wyglądać, gdyby w 2003 r. premier Miller nie zniszczył z trudem wprowadzonego w 1999 r. przez swego poprzednika – premiera Buzka – systemu kas chorych, zastępując go monopolem NFZ. A zniszczył, bo tak bardzo chciał wygrać wybory, że przyrzekł to wyborcom podpuszczonym przez medyków, którzy zaczęli już „czuć pismo nosem", czyli drżeć przed 17 kasami chorych (16 regionalnymi i jedną branżową), które konkurując o nasze – swoich klientów – pieniądze, coraz uważniej zaczęły się przyglądać cenom usług medycznych, oferowanych przez szpitale i przychodnie, i kontraktować je dla swoich klientów, czyli dla nas, w tych, które proponowały je taniej…

Czyli – mogło być tak dobrze, a jest – z winy premiera Millera – tak źle, jak jest. ©℗



NOTATNIK MALKONTENTA

Jak Kononowicz

ŁUKASZ WARZECHA

Dwadzieścia lat temu Grupa Operacyjna (łza się w oku kręci, a gimby nie znajo) nagrała jeden ze swoich największych przebojów: „Nie będzie niczego". Bohaterem hiphopowego utworu był nieżyjący już Krzysztof Kononowicz, wtedy próbujący kandydować na prezydenta Białegostoku, a zapowiadający, że wystartuje w wyborach na prezydenta RP.

Prezes PiS zainspirował projekt ustawy, wprowadzający zakaz obrotu kryptowalutami

Mieszko Sibliński (dzisiaj biznesmen) śpiewał:

Każdy ma coś, co go w życiu drażni
Pomóżmy sami sobie, zlikwidujmy problem
To rozwiązanie dobre, godne nagrodzeniem Noblem […]
… Taki mamy kraj, jaki potrafimy zrobić
Oddaj cześć wodzowi, niech żyje Kononowicz!
Nic się nie podoba, mówisz – co z tego
Jeśli wszystko jest źle, niech nie będzie niczego.

Teledysk do utworu nagrano na ulicach Białegostoku z udziałem samego Kononowicza. Sztuczna inteligencja czyni dzisiaj cuda, warto zatem, aby ktoś wziął ów klip na warsztat i przerobił Kononowicza na Jarosława Kaczyńskiego. Pasuje jak ulał.

„Ja bym tych kryptowalut zakazał" – z rozbrajającą szczerością oznajmił jakiś czas temu dziennikarzom na sejmowym korytarzu prezes PiS. I to on zainspirował absurdalny projekt ustawy, wprowadzający całkowity zakaz obrotu kryptowalutami. W debacie o tym i innych projektach ustaw o kryptowalutach Sławomir Mentzen w 15 minut wytarł wnioskodawcami podłogę, pokazując, że kompletnie nie mają pojęcia, o czym mówią. Ale czy kogokolwiek to zaskakuje?

Jednak ów kuriozalny projekt – którego jedynym skutkiem byłoby pozbawienie Polski wpływów od firm obrotu kryptowalutami z podatków i licencji – wskazuje na naczelny problem w PiS, który jest jak słoń w pokoju: politycy tej formacji udają, że go nie ma. Tym problemem jest fakt, że Kaczyński zaczyna coraz bardziej być jak Krzysztof Kononowicz, który także miał ograniczony kontakt z rzeczywistością. W teledysku Grupy Operacyjnej Kononowicz mówi na końcu: „Młodzież mnie poprze i będę kandydował na prezydenta Polski". Nie wiadomo, czy młodzież wiedziała o tych planach Krzysztofa Kononowicza, ale były one równie mocno zakorzenione w realiach jak kolejne genialne polityczne posunięcia Prezesa. ©℗

eprasa.pl f190bf5ce0



Jakub Wozinski

Donald Trump to pierwsza głowa państwa amerykańskiego, która w tak bezceremonialny sposób uczyniła sprawowany przez siebie urząd narzędziem do zarabiania dla swojej rodziny i przyjaciół



Prezydent USA sp. z o.o.

Amerykańska demokracja uchodzi za najbardziej dojrzałą na świecie, ponieważ może poszczycić się najdłuższym nieprzerwanym funkcjonowaniem sięgającym schyłku XVIII w. Okazuje się jednak, że nawet amerykańska kultura polityczna nie jest w stanie skutecznie przeciwstawić się tak jawnemu wykorzystywaniu najwyższego urzędu w państwie do pomnażania prywatnego majątku. Pod rządami Donalda Trumpa interesy amerykańskiego państwa dosłownie zlały się z jego własnymi.

Część amerykańskich komentatorów zwraca uwagę, że zdecydowana większość poprzedników Trumpa na fotelu prezydenckim nie chciała prowokować nawet cienia podejrzeń co do potencjalnego wykorzystywania urzędu do wzbogacania i decydowała się na bardzo radykalne ruchy. Począwszy od lat 70., obejmujący najwyższy urząd politycy najczęściej powierzali swoje aktywa niezależnym zarządcom. Na taki krok decydowali się m.in. Ronald Reagan, George Bush senior i George Bush junior oraz Bill Clinton. Richard Nixon polecił nawet zainstalować podsłuch w telefonie swojego brata, ponieważ obawiał się, że może skorzystać z posiadanej wiedzy do osiągnięcia prywatnych zysków.

Z niepisaną tradycją zerwał dopiero Donald Trump, który wprawdzie po objęciu urzędu przestał zarządzać swoim The Trump Organization, lecz zamiast oddać ją pod zarząd niezależnych menedżerów, powierzył stery swoim synom. Pod pewnymi względami trudno się mu dziwić, ponieważ obecna głowa amerykańskiego państwa była pierwszym w dziejach miliarderem przejmującym władzę w kraju. W przeciwieństwie do swoich poprzedników, którzy dysponowali co najwyżej nieco większym portfelem akcji, obligacji i nieruchomości lub kierowali średniej wielkości firmami, Trump był od dawna biznesowym magnatem. Pod tym względem mogli się z nim mierzyć jedynie obydwaj Bushowie, którzy jednak grali w nieco niższych biznesowych ligach.

W przypadku wspomnianych Bushów opinia publiczna była bardzo wyczulona na ich poczynania mające wpływ na branżę naftową. Zarówno pierwsza wojna w Zatoce Perskiej, jak i inwazja na Iran znalazły bezpośrednie przełożenie na inwestycje rodzinnego klanu, co znacząco wzmogło niechęć do obydwu polityków. To właśnie z tego powodu Bush junior miał w 2008 r. rekordowo niskie poparcie w sondażach.

eprasa.pl f190bf5ce0



Mający największy wpływ na bieżące zarządzanie rodzinnym biznesem Eric Trump pojawia się nierzadko w danym kraju tuż przed swoim ojcem lub bezpośrednio po jego wyjeździe

FOT. AL DRAGO/POOL/CNP/ZUMA PRESS/FORUM

Donald Trump na razie skutecznie odpiera wszystkie oskarżenia, w czym znacząco pomaga mu fakt, że zajmuje się… dosłownie wszystkim. Sławę zdobył wprawdzie jako magnat operujący na rynku nieruchomości i aktywność ta rzeczywiście stanowi wciąż główny przedmiot jego działalności, lecz na przestrzeni kilkudziesięciu lat Trump zdołał rozszerzyć ją na niezliczoną ilość branż. Już od wielu lat 47. prezydent USA funkcjonuje jako biznesmen celebryta, który dzięki osobistej marce i rozpoznawalności zdołał zbudować prawdziwe imperium.

ROZPROSZONE IMPERIUM

Niedawno wyliczono, że osobisty majątek Donalda Trumpa wzrósł z 2,34 mld dol. w 2024 r. do 6,5 mld dol. w roku obecnym. Tym samym amerykański polityk biznesmen pomnożył swój stan posiadania w rekordowym dotąd zakresie, nie sprawując nawet nad nim bezpośredniego zarządu. Coraz więcej wskazuje jednak na to, że przyczyną tak dużego finansowego sukcesu nie są wcale umiejętności zarządcze synów prezydenta, lecz przede wszystkim mechanizm znany powszechnie jako insider trading, czyli wykorzystywanie informacji poufnych. Dzięki Trumpowi jego otoczenie wie więcej i szybciej niż cała reszta, co pozwala inkasować zysk tam, gdzie inni ponoszą straty.

Kluczem do powodzenia całego przedsięwzięcia jest ogromne rozproszenie interesów Trumpa. Uwaga opinii publicznej nie jest dzięki temu przykuta wyłącznie do żadnego sektora gospodarki. Cały konglomerat spółek i podmiotów podlegających amerykańskiemu prezydentowi liczy łącznie ok. 500 podmiotów, dlatego prześledzenie związków między działaniami Trumpa a korzyściami odnoszonymi przez grono najbliższych mu osób wymaga sporej dociekliwości.

Połowę majątku prezydenta USA stanowią nieruchomości zlokalizowane głównie w Nowym Jorku. Oprócz tego Trump jest także aktywny m.in. w branżach spożywczej, kasyn, pokazów mody, edukacyjnej, reklamowej, finansowej, reklamowej, budowlanej, lotniczej czy też medialnej. Gospodarz Białego Domu prowadzi własne pola golfowe, kluby dla biznesmenów, hotele, portal społecznościowy, restauracje, gazety i wydawnictwa. W amerykańskich sklepach można zaś kupić m.in. produkowane przez niego wódki, wody toaletowe, czekolady, wody mineralne oraz suplementy diety.

Prowadząc działalność w tak wielu dziedzinach, Trump właściwie każdego dnia podejmuje jako prezydent decyzje, które w mniej lub bardziej bezpośredni sposób wpływają na kondycję jego niezliczonych biznesów. Amerykański prezydent znajduje także liczne pretekst do tego, aby publiczne dolary płynęły szerokim strumieniem na jego konto.

Pierwszym z brzegu przykładem tego typu praktyk jest organizowanie ważnych państwowych spotkań w nieruchomościach Trumpa. Najczęściej w związku z tym mówi się o rezydencji w Mar-a-Lago, w której goszczono już wiele głów państw, lecz prezydent USA korzystał już przy organizacji państwowych spotkań z co najmniej sześciu innych nieruchomości, m.in. pola golfowego w New Jersey i Trump Tower na Manhattanie. Nawet w czasie wizyty w Szkocji polityk celebryta bezwstydnie promował swój resort Trump Turnberry.

Opłaty za korzystanie z nieruchomości nie tłumaczą oczywiście tak znacznego wzbogacenia się Donalda Trumpa na przestrzeni ostatnich kilkunastu miesięcy. Dużo większy wpływ na to miały za to liczne inwestycje w zakresie rynku nieruchomości i hotelarstwa, które podjęto przy okazji oficjalnych wizyt zagranicznych. W maju 2025 r. na Bliski Wschód wraz z prezydentem USA udali się przedstawiciele Trump Organization. Zawarte zostały umowy m.in. na budowę luksusowego apartamentowca w Dubaju, pola golfowego w Katarze oraz hotelu i osiedla w Arabii Saudyjskiej. Podobne projekty synowie Trumpa sfinalizowali mniej więcej w tym samym czasie w Wietnamie, którego władze prowadziły akurat negocjacje w sprawie umowy handlowej z USA.

Mający największy wpływ na bieżące zarządzanie rodzinnym biznesem Eric Trump pojawia się nierzadko w danym kraju tuż przed swoim ojcem lub bezpośrednio po jego wyjeździe. Oficjalnie przedsięwzięcia Trump Organization nie mają więc nic wspólnego z działaniami samego Trumpa, lecz tego typu koincydencja inwestycji i wizyt państwowych właściwie mówi sama za siebie.

KRYPTOINTERESY

Jednym z największych zarzutów pod adresem prezydenta Ameryki i jego synów jest to, że w ostatnim czasie znacząco wzbogacili się dzięki decyzjom podejmowanym na rynku kryptowalut. W czasie kampanii wyborczej Trump obiecał zwolennikom nowych środków wymiany wiele ustępstw i ułatwień, czym wzbudził wielkie poruszenie w branży. Środowisko Partii Demokratycznej prowadziło cichą wojnę z kryptowalutami, dlatego Trump zdołał swoimi zapewnieniami zyskać pokaźną liczbę głosów.

Po zaprzysiężeniu zgodnie z obietnicą administracja nowego prezydenta przystąpiła do deregulacji rynku, a w marcu ubiegłego roku utworzono nawet strategiczną państwową rezerwę bitcoina. Kryptowalutowe środowisko było wniebowzięte. Na bazie tej euforii synowie Trumpa wspólnie z synami Steve'a Witkoffa (specjalnego wysłannika USA na Bliski Wschód) utworzyli jesienią

eprasa.pl f190bf5ce0

2024 r. firmę World Liberty Financial, która kilka miesięcy później wyemitowała własny memecoin o nazwie $Trump. Kapitalizacja spółki błyskawicznie wzrosła do aż 6 mld. dol.

Przez pierwsze tygodnie nowa kryptowaluta rozchodziła się niczym ciepłe bułeczki. Rodzina Trumpów oferowała specjalne opcje sprzedażowe, organizowała ekskluzywne kolacje dla kupców oraz pobierała bardzo wysokie opłaty transakcyjne. Umiejętnie podsycana przez Trumpa i jego otoczenie bańka w końcu oczywiście pękła, a kryptowaluta $Trump straciła nawet 90 proc. swojej wartości. Według niektórych wyliczeń na całym procederze rodzina prezydenta zarobiła nawet 3 mld dol.

Wspomniana już spółka World Liberty Financial miała być też zdaniem „Wall Street Journal" zamieszana w inną aferę, tym razem związaną ze Zjednoczonymi Emiratami Arabskimi. Tuż przed zaprzysiężeniem Trumpa władze firmy sprzedały połowę udziałów podmiotowi powiązanemu z rodziną królewską z ZEA. Wkrótce potem inny z arabskich podmiotów z tego samego państwa wykupił od World Liberty Financial kryptowaluty o wartości 2 mld dol., dzięki czemu spółka Trumpów dokonała wielkich zakupów na rynkach finansowych. W zamian za to tuż po objęciu władzy Trump uchylił zakaz sprzedaży czipów dla podmiotów z ZEA, a później ułaskawił Changpenga Zhao, czyli szefa giełdy Binance, na której doszło do transakcji między Arabami a rodziną Trumpów.

PODEJRZANE RUCHY NA GIEŁDZIE

Największy rozgłos medialny zyskały jednak przypadki niecodziennych ruchów na rynku kontraktów terminowych tuż przed zainicjowaną przez Trumpa agresją na Iran. Pierwszy raz pewien anonimowy inwestor zakupił kontrakty na ropę o wartości 580 mln dol. niecałe 15 minut przed wpisem amerykańskiego prezydenta na jego portalu Truth Social, w którym wspomniał o produktywnych rozmowach. Przewidując trafnie spadek ceny surowca, tajemnicza postać mogła zarobić nawet 50 mln dol.

Po raz kolejny podejrzany ruch odnotowano 7 kwietnia br. kilka godzin przed ogłoszeniem dwutygodniowego rozejmu. Tajemniczy inwestor postawił wówczas na spadek aż 950 mln dol. i mógł zarobić na czysto nawet do 90 mln dol. Oprócz tego od początku amerykańsko-izraelskiej agresji na Iran odnotowano jeszcze cztery inne tego typu przypadki, które łącznie przyniosły zysk sięgający kilkuset milionów dolarów.

Amerykański nadzór finansowy na razie odmawia wszczęcia postępowań wyjaśniających, choć cała sprawa wydaje się dość jednoznaczna. Niektóre media zdążyły już nawet ogłosić, że owym tajemniczym inwestorem był najmłodszy syn Trumpa, Barron. Jest to wprawdzie dość prawdopodobne, lecz nikt nie zdołał jak dotąd przedstawić żadnych przekonujących dowodów.

Bezkarność, z jaką prezydent USA pomnaża swój stan posiadania, wydaje się zachęcać go do ciągłego przesuwania granic

Gdyby śledczy zajęli się kiedyś gruntownie omawianą tu sprawą, z pewnością wcześniej czy później musieliby zmierzyć się z podstawową trudnością, którą stanowi fakt, że Trump tak bardzo zmieszał sprawowany przez siebie urząd ze sferą prywatnych biznesów, iż trudno dziś tak naprawdę je od siebie oddzielić. Skoro tak wiele oficjalnych spotkań głowy państwa odbywa się w jego hotelach i posiadłościach, to zachowywanie jakkolwiek pojętej poufności wydaje się czysto iluzoryczne.

Osobną kwestię stanowią zaś profity finansowe czerpane przez rozmaitych członków rodziny i znajomych Donalda Trumpa. Dotyczy to przede wszystkim zięcia, Jareda Kushnera, który nieustannie podróżuje po świecie jako specjalny wysłannik prezydenta. Kushner za każdym razem dba o to, aby nie były to puste przebiegi, szczególnie przy okazji wizyt na Bliskim Wschodzie. Jego firma inwestycyjna Affinity Partners zdobyła w ostatnim czasie wielu zamożnych inwestorów zwłaszcza w krajach arabskich. Amerykańskie media zwracają w szczególności uwagę na fakt, że władze firmy nie wypłaciły dotąd wielu inwestorom nawet grosza zysku. Na dodatek inwestorami w firmie Kushnera są głównie państwowe fundusze. Połączenie kropek w tym układzie zależności nie wymaga nadzwyczajnych zdolności detektywistycznych, a mimo to prezydencki zięć nie musi się jak dotąd przed nikim tłumaczyć.

Na koniec nie sposób nie wspomnieć także o uchylonym przez Trumpa obowiązku uiszczania podatku od napiwków. Zwolnienie to zostało przyjęte z wielkim entuzjazmem w szczególności w branży kasyn i hotelowej, w której od lat inwestuje nie tylko sam Trump, lecz także jego przyjaciółka i jedna z najbardziej hojnych sponsorów izraelskiego lobby, Miriam Adelson. Amerykańsko-izraelska miliarderka odwdzięczyła się niedawno Trumpowi, obiecując 250 mln dol. na kampanię wyborczą dla jego następcy.

SKUTKI UBOCZNE

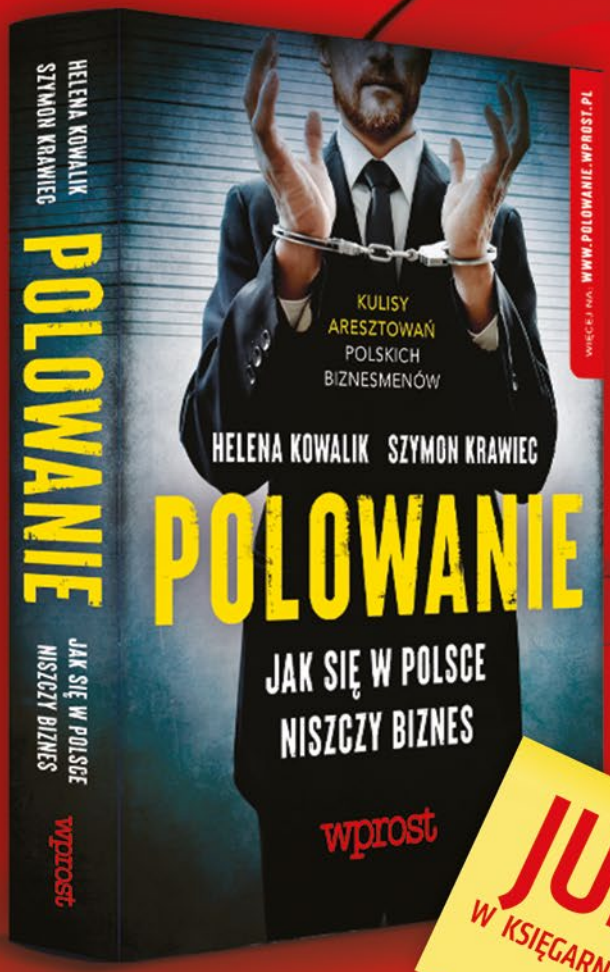
Amerykanie doskonale wiedzieli, kogo wybierają na urząd prezydenta. Donald Trump już od wielu lat znany był wszystkim jako mistrz w robieniu interesów (jego książka „The Art of the Deal" z 1987 r. nadal sprzedaje się dobrze). Mając zdolnego biznesmena za prezydenta, Stany Zjednoczone niewątpliwie odnoszą wiele korzyści, ponieważ Trump świetnie prowadzi negocjacje, nie lubi generować strat i niemal każdą decyzję podporządkowuje korzyściom gospodarczym swojego państwa. Jego biznesowa smykałka i cwaniactwo przynoszą jednak poważny efekt uboczny w postaci wykorzystywania sprawowanego urzędu do wzbogacania siebie i swojego otoczenia. Trump najzwyczajniej w świecie nie potrafi darować sobie żadnej okazji, aby użyć dostępnych mu narzędzi do pomnożenia stanu posiadania w ten czy inny sposób.

Bezkarność, z jaką udaje mu się to robić, wydaje się jednak zachęcać prezydenta USA do ciągłego przesuwania granic. W czasie pierwszej kadencji był w tym zakresie zdecydowanie bardziej ostrożny, lecz obecnie zachowuje się tak, jakby nie obawiał się żadnej odpowiedzialności karnej. I właśnie ten fakt budzi wielkie zdziwienie, ponieważ w czasie prezydentury Joe Bidena Trump był nieustannie ciągany po sądach z dużo bardziej błahych powodów.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl f190bf5ce0

SENSACYJNA, OPARTA NA FAKTACH



KULISY GŁOŚNYCH SPRAW I ARESZTOWAŃ

WSTRZĄSAJĄCE RELACJE

ROZMOWY Z EKSPERTAMI I LUDŹMI Z WYMIARU SPRAWIEDLIWOŚCI

PONAD 500 NAZWISK I FIRM

AUTORAMI SĄ DOŚWIADCZENI DZIENNIKARZE ŚLEDCZY

JUŻ W KSIĘGARNIACH

Bezprawne areszty, popisowe zatrzymania, stawianie zarzutów bez pokrycia w dowodach. Tasiemcowe rozprawy sądowe, prawdziwe historie o twardym zetknięciu się z więziennymi realiami.

Bohaterami tej książki są ludzie sukcesu, rozpoznawalni biznesmeni z pierwszych stron gazet, jedni z najbogatszych Polaków, którzy w jednej chwili znaleźli się w środowisku zupełnie dla siebie obcym, znanym im dotąd jedynie z filmów kryminalnych.

Zamawiając książkę wraz z PDF na stronie

KSIAZKA.WPROST.PL

Otrzymasz gratis praktyczny poradnik stworzony w oparciu o porady adwokatów i osobiste relacje osób zatrzymanych.

W przypadku chęci zakupu większej liczby książek, prosimy o kontakt
+48 539 953 631 , +48 508 040 664



PARTNERZY:

Polska Rada Biznesu · ZPP · WEI · Fundacja Court Watch Polska · Fundacja Pomysł o Przyszłości · Comparic.pl · My Company Polska · Towarzystwa Biznesowe · BRIEF

eprasa.pl f190bf5ce0

Inwazja staruszek



Joanna Bojańczyk

W branży fashion słowo „starość” było przez lata ustawowo zakazane. Nie przechodziło przez usta ani projektantom, ani handlowcom, ani dziennikarzom. Teraz to się zmienia. Moda nagle polubiła siwe włosy. Powód jest ten, co zwykle: pieniądze

Marcowy pokaz Chanel otworzyła w tym roku 50-letnia Stephanie Cavalli, jedna z 15 modelek po czterdziestce. Show włoskiej firmy Bottega Veneta miał dziewięć starszych modelek, u Toma Forda było dziewięciu modeli męskich i żeńskich, u Givenchy ośmiu, u Balenciagi pięciu, Louis Vuitton miał czterech. Pięćdziesięcioletnia Kate Moss, objawienie lat 90., wystąpiła na pokazie Gucciego. Pięćdziesięciosiedmioletnia Gillian Anderson zamknęła pokaz Miu Miu…

Po raz pierwszy na okładce (amerykańskiego) wydania „Vogue” znalazła się kobieta 76-letnia. To Meryl Streep, gwiazda wchodzącego na ekrany sequelu komedii „Diabeł ubiera się u Prady 2”. Jasne, to nie byle kto, to Meryl Streep, która gra Annę Wintour, ta z kolei ma lat 78...

Co się nagle zmieniło? W tej branży słowo „starość” było przecież przez lata ustawowo zakazane. Nie przechodziło przez usta ani projektantom, ani handlowcom, ani dziennikarzom. Nie miał znaczenia fakt, że granice młodości w ostatnich dwóch dekadach przesunęły się mocno w górę. Według socjologów jesteśmy dzisiaj młodsi o 10 lat od naszych rówieśników sprzed 20 lat. Czterdziestka to dawna trzydziestka. Pięćdziesięciolatkowie mają 40 lat. Tylko 20-latkowie mają 20 i niektórzy chcą zostać z tym do końca życia...

Inżynier Karwowski z „Czterdziestolatka” przekraczał próg życiowy czterdziestki z perypetiami zdrowotnymi. Serce, nadciśnienie… Trzeba było przypomnieć sobie swój wiek. W latach 70., kiedy powstał serial, powszechnie panowało przekonanie, że po czterdziestce wkracza się w strefę cienia.

Czterdziestka dzisiaj? Rówieśnik Karwowskiego z serialu „39 i pół”, sprzed trzech lat. Darek Jankowski, czyli Tomasz Karolak, rozwodnik, punkowiec, fan żużla jeszcze nie dojrzał. Pozostaje wiecznym chłopcem, który nastoletniego syna traktuje jak kolegę.

Czterdziestka to przedszkole, chciałoby się powiedzieć, patrząc na 62-latka Kubę Wojewódzkiego, największego młodzieżowca naszej celebryckiej sceny. Potwierdzeniem jego wiecznej młodości mają być kolejne 20-letnie narzeczone – trofea, trampki, dżinsy oraz włosy w kolorze głębokiej czerni... Mimo tych akcesoriów odbiorcy nie przyjmują Wojewódzkiego jako wzoru do naśladowania – więcej jest kpin z jego infantylizmu niż zachwytów nad obcisłymi dżinsami.

CYFROWE WYGŁADZANIE

Jednak coś się zmieniło. Długo zatajany i maskowany wiek nagle stał się czymś, co marki mody chcą podkreślać. Rozkwita ruch, w którym ludzie z tego kręgu podkreślają, a nie wymazują swój wiek. Na okładkach, na pokazach mody, na Instagramie pojawiają się twarze, które dotąd ukrywały się za kulisami.

Była supermodelka i obecna ambasadorka Estée Lauder, 61-letnia Paulina Porizkova, zainicjowała dyskusję na Instagramie, w której bez makijażu i w bieliźnie pokazuje swoje zmarszczki mimiczne i przyrost wagi związany z wiekiem.

W Stanach Zjednoczonych dyskusja na temat menopauzy – prowadzona z wiodącym udziałem Halle Berry i Gwyneth Paltrow – ożywiła nowy segment rynku kosmetycznego.

To uderzająca zmiana w branży, która od dawna słynie z fetyszyzowania młodości. I wyróżnia się w świecie, w którym widzowie są zalewani obrazami, na których każdy objaw starzenia – zmarszczka, zagłębienie, plama starcza – został wypełniony, napięty, przefiltrowany, podniesiony lub w inny sposób usunięty. Sztuczna inteligencja sprawiła, że ciągłe modyfikacje i reinterpretacje stały się częścią wizualnej diety konsumenta portali.

„Buzia ładna, lecz nienaturalna. To rzecz fatalna”. Słowa przedwojennej piosenki to potwierdzają. Wystarczy wejść na Pudelka, żeby zobaczyć korowód sztucznych ust, biustów, wypełnień, skośnych oczu (skutek liftingu). Zabiegów nie robi się już w tajemnicy. Blanka Lipińska, autorka powieści erotycznych, całkiem otwarcie dzieli się szczegółami korekt swojego ciała.

Ten kij ma dwa końce. Im łatwiejsze jest cyfrowe wygładzanie, tym cenniejszy staje się naturalny wygląd. Tak właśnie jest z siwymi włosami coraz bardziej widocznymi w mediach.

Kwestionując tradycyjny kanon oparty na kulcie młodości, coraz więcej kobiet dzieli się swoją decyzją o zaprzestaniu farbowania. Ruch zapoczątkowała francuska dziennikarka mody Sophie Fontanel. Każdym krokiem tego doświadczenia dzieliła się ze swoimi 119 tys. obserwujących na Instagramie, opowiedziała o nim w książce „Une apparition” („Widmo”).

eprasa.pl f190bf5ce0



76-letnia Meryl Streep znalazła się na okładce amerykańskiego wydania „Vogue"

FOT. ANTHONY HARVEY/SHUTTERSTOCK/EAST NEWS

Siwa jest Meryl Streep, odtwórczyni głównej roli w filmie „Diabeł ubiera się u Prady 2", gdy tymczasem pierwowzór, realna Anna Wintour, ma wciąż na głowie nieskazitelny kask w złotokasztanowym kolorze.

W Polsce wiele aktorek z podniesionym czołem prezentuje siwiznę. Przestała ona być znakiem zaniedbania, stała się symbolem stylu, odwagi i dojrzałości. Z naturalną siwizną pokazuje się Danuta Stenka, białych włosów nie ukrywają Krystyna Janda, Anna Mucha, Katarzyna Herman, Małgorzata Zajączkowska. Można to odbierać jako zjawisko naturalne, zważywszy, że dzisiaj granice młodości przekracza pokolenie powojennego wyżu demograficznego.

Wprawdzie młodość spędziło jeszcze w PRL, ale w okolicach trzydziestki, czterdziestki zdążyło wskoczyć w kapitalizm razem z jego wszechobecnym kultem młodości. To pokolenie nie godzi się na upływ czasu. Kobietom po pięćdziesiątce, które czują się młodo, a wiele z nich wygląda także młodo, trudno zaakceptować fakt, że jako obiekty seksualne stają się „przezroczyste". Mężczyźni przestają oglądać się za nimi na ulicy, w towarzystwie ich wygląd nie robi wrażenia. Dla niektórych odpowiedzią na reakcję otoczenia staje się ekstremalna ekstrawagancja. Dlaczego mam być szara, niewidzialna? – pytają. Odmawiają stosowania zasad poradników, które uczą, jak powinna zachowywać się i ubierać kobieta po czterdziestce.

„Moda musi umrzeć młodo, żeby handel mógł działać" – mawiała pragmatyczna Coco Chanel. Innymi słowy: jak nie wiadomo, o co chodzi, to chodzi o pieniądze. Branża musi zmierzyć się z problemem: starsze kobiety mają siłę nabywczą, by kupować prezentowane rzeczy – powiedziała dziennikowi „New York Times" Romae Gordon, 52-letnia była modelka, która rok temu wróciła na wybieg.

Ekonomiści od lat podkreślają rolę tzw. srebrnego dolara.

Pierpaolo Piccioli, dyrektor kreatywny Balenciagi, próbował obsadzić szerokie spektrum osób na swoim ostatnim pokazie w Paryżu. Łatwiej mu było znaleźć starsze modelki niż te plus size. Dwa lata temu obecność dziewczyn o innych sylwetkach była powszechna. Teraz jest inaczej. Czyżby efekt Ozempiku?

SILVER POWER

Ekonomiści od dziesięcioleci mówią o sile tzw. srebrnego dolara lub szarej strefy, ale moda bagatelizowała ten fakt. Aż do teraz.

„Prawda jest taka, że połowa siły nabywczej znajduje się w grupie wiekowej 50+" – powiedziała „New York Times" Gemma D'Auria, ekspertka rynku mody, dóbr luksusowych w firmie konsultingowej McKinsey. W czasach, gdy rozwój dóbr luksusowych spowolnił lub się zatrzymał, ignorowanie dużej grupy konsumentów nie jest dobrą strategią.

„New York Times" podaje, że według Rezerwy Federalnej ponad 70 proc. całego majątku w Stanach Zjednoczonych jest skoncentrowane w grupie wiekowej powyżej 55 lat, która odpowiada również za ponad 45 proc. wydatków konsumpcyjnych.

U nas sytuacja wygląda inaczej. W kapitalizm weszliśmy dopiero w latach 90., a w system rozwiniętego korporacyjnego systemu, gdzie zarabia się najwięcej, dopiero w nowym tysiącleciu. Pokolenie urodzone w latach 40. i 50. załapało się na nowy system selektywnie. W Polsce najwyższe dochody osiągają ludzie w wieku 25–49 lat. W wieku 50+ zarobki zaczynają spadać, inaczej niż w krajach starej Unii Europejskiej. Tam, nawet gdy przechodzi się na emeryturę, jest ona na ogół wyższa niż nasza.

Tymczasem główny target przemysłu mody stanowią osoby w wieku 18–24 lata i to one przy najwyższym apetycie na modę mają najniższą siłę nabywczą.

W modzie „starsza" oznacza osobę po trzydziestce. To w teorii. W praktyce patrząc na wybiegi, na zdjęcia mody w magazynach, nie sposób nie zauważyć, że marki ubraniowe coraz częściej wybierają modelki z widocznymi oznakami starzenia, siwymi włosami, zmarszczkami. To osoby, które zazwyczaj zbliżają się do pięćdziesiątki.

Inżynier Karwowski z „Czterdziestolatka" przekraczał próg życiowy czterdziestki z perypetiami zdrowotnymi. Rówieśnik Karwowskiego z serialu „39 i pół" – rozwodnik, punkowiec, fan żużla – jeszcze nie dojrzał

Cała ta sprawa przypomina walkę sprzed kilku lat o obecność kobiet o „realnych rozmiarach" w modzie. Krytyka anorektyczek defilujących na pokazach mody, mających uchodzić za wzory piękna, doprowadziła do zmiany paradygmatu. Publiczność zaczęła wymagać, żeby biznes mody uwzględniał kobiety o realnych rozmiarach, nie szkielety. Jednak po kilku latach sprawa ucichła i teraz chudzielki wróciły do zawodu.

Obecnie według danych z wyszukiwarki mody Tagwalk tylko 5 proc. z 20 najlepszych marek umieściło na swoich pokazach co najmniej jedną modelkę o krągłych kształtach lub plus size. Sto procent pokazało starszą modelkę.

Starsi – jak widać – dopięli swego, ale żadna marka nie przyzna się, że celuje właśnie w nich. Starsi klienci kupując modne ubrania, kupują w pakiecie młodość.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl f190bf5ce0



JACEK KOMUDA

POCZET POLSKICH WODZÓW

Ostatni hetman mocarstwa

Stanisław Koniecpolski to jeden z największych hetmanów Rzeczypospolitej i zarazem bodaj najbardziej niedoceniony przez historię dowódca wojskowy. Postać tragiczna i bohaterska zarazem. Był jeszcze ostatnim wodzem mocarstwa, jego następcy już tylko przedstawicielami słabnącej Korony i Litwy.

Hetmanem polnym został w 1618 r., w wieku 27 lat, stając się jednocześnie najmłodszym przedstawicielem tego urzędu w dziejach Polski. Związany był ze Stanisławem Żółkiewskim, pogromcą Moskwy, który chciał uczynić z niego swego następcę. Od razu też poznał gorycz porażki, ponieważ w 1620 r., w czasie wyprawy do Mołdawii, dostał się do niewoli. I po klęskach pod Cecorą i Mohylewem był przez Tatarów i Turków przetrzymywany w różnych więzieniach. Dlatego nie wziął udziału w obronie Chocimia w 1621 r., gdzie hetman Jan Karol Chodkiewicz odparł najazd ogromnej armii sułtana i jego lenników.

Uwolniony z niewoli Koniecpolski pomścił cierpienia, rozbijając 20 czerwca pod Martynowem tatarską ordę Kantymira. Zwycięstwa hetmana pozostają jednak jakby w cieniu triumfów innych naszych wodzów. Jan III Sobieski pokonał Turków pod Wiedniem na czele licznej armii sprzymierzonych wojsk, mając przeciwko sobie niezbyt lotnego wezyra Kara Mustafę. Stanisław Żółkiewski rozniósł pod Kłuszynem armię moskiewską wspartą siłami szwedzkimi, mającą ogromną przewagę liczebną, ale zacofaną i ustępującą znacznie walecznością i morale wojskom polskim. Jan Karol Chodkiewicz pokonał pod Kircholmem przeważające siły szwedzkie, jednak dowodzone przez słabego wodza Karola Sudermańskiego, opętanego myślą



FOT. DOMENA PUBLICZNA

pobicia armii Rzeczypospolitej w otwartym polu i wystawiającego swe oddziały na szarże husarii.

Koniecpolski walczył zaś w Prusach Królewskich z jednym z największych wodzów Europy – Gustawem Adolfem, twórcą najnowocześniejszej armii ówczesnego świata, mającym być może – gdyby nie przedwczesna śmierć na polu bitwy pod Lützen – zadatki na to, aby stać się XVII-wiecznym Napoleonem. Pan Stanisław prowadził z nim walkę w tragicznych okolicznościach, z nieopłaconym i buntującym się wojskiem, wobec przewagi liczebnej przeciwnika. Pomimo tego jednak pobił zwerbowane przez Szwedów oddziały niemieckie pod Czarnem, czyli Hamersztynem, odparł Szwedów pod Tczewem, uniemożliwiając im atak na Gdańsk. Później rozgromił Gustawa Adolfa 27 czerwca 1629 r. w bitwie pod Trzcianą, gdzie przyszły Lew Północy – jak nazywano króla Szwecji – omal nie zginął od polskiej szabli. Dzięki wysiłkom hetmana udało się uchronić Gdańsk od zajęcia przez wroga, a wojna skończyła się wprawdzie porażką i przejęciem przez Szwedów Elbląga, Braniewa, Tolkmicka, Piławy i Kłajpedy, ale jednak nie utratą Gdańska, Królewca i Pucka.

Koniecpolski miał cenną umiejętność prowadzenia działań wojennych i odnoszenia zwycięstw nad zupełnie różnymi przeciwnikami i na rozmaitych teatrach operacyjnych. Walczył z nowoczesną armią szwedzką w Prusach, tłumił powstania kozackie na Ukrainie, odpierał wyprawy tatarskie. Pobił pod Kamieńcem najazd turecki Abazego Paszy, podczas gdy główna armia Rzeczypospolitej walczyła z Moskwą pod Smoleńskiem. Jego ostatnim zwycięstwem była bitwa z Tatarami pod Ochmatowem w 1644 r., w której pokonał Tuhaj-beja. Hetman miał później odegrać ważną rolę w planowanej przez króla Władysława IV wojnie z Turcją, choć w przeciwieństwie do zamiarów władcy zamierzał ograniczyć się jedynie do uderzenia na Chanat Krymski. Nie zdążył jednak wziąć udziału w przyszłym konflikcie, bo w 1646 r. zmarł przedwcześnie, ponoć na skutek przedawkowania afrodyzjaków po ślubie z młodszą o 29 lat Zofią Opalińską. Jego pogrzeb był złowrogim znakiem końca świetności Rzeczypospolitej, pełnym złych przepowiedni. Koń, na którym wjechał do kościoła w Brodach archimimus przedstawiający osobę zmarłego i mający kruszyć kopię o katafalk, spłoszył się, poniósł, a potem wyrwał się i uciekł do stajni na zamku. Powiadano, że już samo nazwisko hetmana sugerowało koniec Polski, gdyż kiedy dwa lata po jego śmierci wybuchł na Ukrainie ogromny bunt Chmielnickiego, zabrakło w naszych szeregach tak doświadczonego dowódcy. Miarą zaś niezwykłej ludzkości i sprawiedliwości hetmana był choćby fakt, że wielu jego żołnierzy wyznaczało go w razie śmierci na wykonawcę swych testamentów i opiekuna osieroconych żon oraz dzieci. ©℗

eprasa.pl f190bf5ce0



SUZUKI VITARA 1.4 BOOSTERJET MILD HYBRID

FOT. JAP

Wzornictwo najmniejszego crossovera japońskiego producenta jest dużo bardziej klasyczne niż wielu konkurentów z tego segmentu. A jednak nabywców na praktyczne i niezawodne auto z Japonii wciąż nie brakuje. Wielu kupującym zapewne podoba się właśnie to, że mimo liftingów dzisiejsza Vitara wygląda podobnie jak przed dekadą.

Pod maską Japończycy zamontowali hybrydowy silnik 1.4 BoosterJet o mocy 110 KM, który generuje 235 Nm maksymalnego momentu obrotowego i współpracuje z sześciobiegową, manualną skrzynią biegów. Na przyspieszenie od zera do 100 km/h trzeba poczekać nieco ponad 10 s. Prędkość maksymalna wynosi 195 km/h. Do wyboru są cztery tryby jazdy: Auto, Sport, Snow i Lock. Vitarą da się więc nie tylko upolować miejsce parkingowe za wysokim krawężnikiem, lecz także zjechać podczas weekendowego wypadu z asfaltowej drogi. Według producenta w cyklu mieszanym spalanie wynosi 5,4–5,5 l/100 km. Podczas naszego wiosennego testu wyniosło w cyklu mieszanym 6,9 l/100 km.

W przypadku japońskiego crossovera o wymiarach 418,5 cm długości, 177,5 cm szerokości i 160 cm wysokości nie można narzekać na brak miejsca. Jest go sporo zarówno z przodu, jak i na tylnej kanapie. Przednie fotele są wygodne i mają funkcję podgrzewania. Również ergonomia jest w Vitarze na bardzo dobrym poziomie. Zegary są czytelne. Japończycy nie pozbyli się wszystkich pokręteł oraz przycisków do systemu multimedialnego i nie każą wszystkiego regulować na ekranie. I bardzo dobrze.

We wnętrzu jest surowo. Kabina została wykończona głównie za pomocą dość twardych plastików. Łatwych w czyszczeniu i prawdopodobnie trwałych, ale nie wyglądających zbyt atrakcyjnie. Próżno tu również szukać np. popularnego nastrojowego oświetlenia. W górnej części deski rozdzielczej robi się już na szczęście nieco bardziej miękko. A w środkowej części pojawiają się nawet ozdobne srebrne akcenty (które wciąż nie wyglądają jednak przesadnie luksusowo). Ekran systemu multimedialnego nie sprawia wrażenia supernowoczesnego, ale sam system bez problemu współpracuje bezprzewodowo z Android Auto czy Apple CarPlay. Niestety, jakość obrazu z kamery cofania jest bardzo słaba (choć odgrywa główną rolę: pozwala dostrzec przeszkody). Brakuje również nawiewów z tyłu i lepszego wyciszenia kabiny.

Bagażnik ma 362 l pojemności, a po złożeniu tylnej kanapy rośnie do 642 l. Szału nie ma. Plusem jest tu jednak stosunkowo niski próg, który ułatwia załadunek.

Vitara 1.4 BoosterJet Mild Hybrid (rok modelowy 2026) z napędem na jedną oś kosztuje w promocji 89,9 tys. zł. Wariant z napędem na wszystkie łapy to wydatek co najmniej 115,9 tys. zł (w wersji wyposażenia Premium Plus), a w bogatszej wersji Elegance z dwukolorowym nadwoziem 124,9 tys. zł. ©℗

MONITOR PHILIPS 49B2U6903CH

Ogromna przestrzeń robocza, zaokrąglona konstrukcja, minimalistyczne wzornictwo, proporcje 32:9, wysuwana kamera internetowa, złącze Thunderbolt 4 i przełącznik KVM – to największe zalety gigantycznego, 49-calowego ultraszerokokątnego monitora marki Philips do zastosowań profesjonalnych.

Ten zakrzywiony monitor nie powstał dla graczy. Został stworzony z myślą o pracy biurowej, a konkretnie o osobach, które muszą pracować jednocześnie na bardzo wielu „oknach" i mają dość nieustannego przełączania się między nimi. W testowanym modelu do dyspozycji jest aż 49 cali. Ten jeden monitor zastępuje więc dwa 27-calowe monitory 16:9. Taka powierzchnia naprawdę wystarcza już do tego, aby spokojnie przejrzeć mnóstwo kolumn w arkuszach kalkulacyjnych albo jednocześnie śledzić tabelę ofert giełdowych i najnowsze informacje ze świata.

Solidnie wykonany monitor został wyposażony w komplet przydatnych do pracy portów, w tym dwa porty USB C z PowerDelivery 100 W (dzięki temu z biurka można usunąć ładowarkę do laptopa). W pracy biurowej bardzo przydaje się funkcja SmartKVM. Pozwala ona podłączyć do monitora jednocześnie dwa komputery (np. służbowy i prywatny) i sterować nimi za pomocą jednej myszki oraz jednej klawiatury (do przełączenia wystarczy trzykrotne kliknięcie klawisza „Ctrl").

FOT. MATERIAŁY PRASOWE



Monitor o rozdzielczości 5120 x 1440 jest jasny i dobrze radzi sobie z odwzorowywaniem naturalnych barw. Producent zastosował tu matrycę VA, której cechą charakterystyczną są wysoki kontrast, głęboka czerń oraz żywy obraz. Kąty widzenia wynoszą 178 stopni, a odświeżanie 100 Hz.

Testowane urządzenie jest też wyposażone we wbudowaną kamerę 5MP o zakresie regulacji +/– 30 stopni. Kamerka umożliwia również automatyczne kadrowanie – gdy AI rozpozna, że w wideokonferencji bierze udział więcej osób, automatycznie dostosuje kadr, aby zmieścić wszystkich.

Inżynierowie Philipsa zadbali o to, aby nie trzeba się było bać internetowych podglądaczy: gdy kamerka nie jest potrzebna, można ją jednym ruchem ręki schować w obudowie. Aby ją wysunąć, wystarczy jedno kliknięcie. Bardzo przydatnym w pracy bajerem jest też wysuwany hak na słuchawki po lewej stronie monitora.

Wady? Czas reakcji testowanego modelu wynosi 4 ms. To niby niedużo, ale najbardziej zapaleni gracze powinni raczej szukać innego modelu. Również kinomaniacy mogą w tej samej cenie znaleźć coś lepszego. Cena: 5199 zł. ©℗

STRONĘ PRZYGOTOWAŁ **JACEK PRZYBYLSKI**

eprasa.pl f190bf5ce0



MAGDALENA M. KRUPA Z D. CHRUZIK I ANNA POPEK Z D. CHRUZIK

SIOSTRY GOTUJĄ

Czas owoców

W maju na straganach pojawiają się owoce sezonowe, na które czekamy przez cały rok. Chodzi o nasze ukochane truskawki i rabarbar. Z rabarbaru robimy kompot. A truskawki najlepiej smakują ze śmietaną. Natomiast rabarbar z truskawkami najczęściej jest wypełnieniem maślanych bułeczek lub drożdżówek. Tak było w naszym rodzinnym domu. Puszyste drożdżowe bułeczki były po brzegi wypełnione nadzieniem, czasem nawet mama dodawała budyń i obowiązkowo posypywała kruszonką. Do tego było zimne mleko. Jadałyśmy z siostrą te bułeczki na drugie śniadanie.

Truskawki są zdrowe, bo według dietetyków wspierają układ krążenia i wzrok, mają właściwości przeciwnowotworowe, a przy okazji cechuje je niski indeks glikemiczny. Okazują się idealne dla osób dbających o linię. Rabarbar jest również niskokaloryczny, ma działanie antyoksydacyjne, przeciwzapalne oraz wspomaga trawienie, zawiera rapontycynę, która łagodzi negatywne skutki menopauzy. Samo dobro. Dlatego w maju, jedząc sezonowo, nasza kuchnia jest o wiele lżejsza i bardziej kolorowa. Mięso często zastępujemy warzywami, a do sałatek dodajemy owoce, jak truskawki, które w połączeniu z kozim serem smakują wyśmienicie. To wszystko podajemy z zielonymi liśćmi sałat i dresingiem na bazie oliwy z oliwek bogatej w polifenole. Im więcej słońca i dzień jest dłuższy, tym jakby mniej kaloryczne stają się nasze posiłki, co nie oznacza, że mniej wartościowe. Z truskawek robimy też pyszne koktajle z dodatkiem banana i nasion siemienia lnianego. Stanowią one doskonałe uzupełnienie diety, bo są sycące, a zarazem lekkostrawne. Dziś polecamy pierogi z rabarbarem z dodatkiem polewy truskawkowej.

Pierogi z rabarbarem z dodatkiem polewy truskawkowej

• 500 g maki pszennej lub orkiszowej • 250 ml gorącej wody • 50 ml oleju lub rozpuszczonego masła • ¾ łyżeczki soli

W misce mieszamy mąkę z solą, a w drugiej misce mieszamy wrzątek z olejem lub masłem. Wrzątek powoli przelewamy do mąki, ciasto najlepiej wymieszać drewnianą łyżką i wyrobić na gładką masę. Odstawić na minimum 30 min.

• 2–3 łodygi rabarbaru • świeże liście mięty • 500 g cukru • 4 łyżki cukru

Truskawki blendujemy na mus, dodajemy dwie łyżki cukru. Rabarbar obieramy ze skórki i kroimy na większe kawałki, przekładamy do miski i posypujemy dwiema łyżkami cukru. Ciasto wałkujemy na cienki placek, wycinamy kółeczka, nadziewamy rabarbarem, sklejamy brzegi. Zagotowujemy wodę z odrobiną soli, na wrzątek wrzucamy pierogi i gotujemy parę minut, aż wypłyną. Podajemy pierogi polane musem truskawkowym, udekorowane świeżą miętą. ©℗



FOT. ADOBE STOCK



JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Ani fashion, ani art

Internet już wypowiedział sporo słów na temat dorocznej imprezy MET w Metropolitan Museum w Nowym Jorku. Dodam parę swoich, zanim zaczniemy szydzić z przebierańców, którzy tam się lansowali. Wyśmiewać się można, nawet trzeba, jednak mając w pamięci fakt, że impreza ma charakter charytatywny. Wstęp jest tylko na zaproszenie – pojedyncze w roku 2026 kosztowało nawet 100 tys. dol. za osobę. Większość celebrytów nie płaci sama – miejsca wykupują domy mody i marki, które zapraszają te wszystkie „gwiazdy".

Zebrane w ten sposób fundusze – a kwota dochodzi nawet do 40 mln dol. – zasilają w całości konto Instytutu Kostiumów – jedynego działu Metropolitan Museum of Art w Nowym Jorku, który finansuje się sam. Stanowią główny budżet tej instytucji i są przeznaczane na jej funkcjonowanie oraz na organizację wystaw. Dobrze o tym pamiętać, gdy zachwycamy się rozmachem wystaw w MET, takich jak monograficzna wystawa Balenciagi czy Alexandra McQueena, i zastanawiamy się, dlaczego u nas jest tak siermiężnie. Odpowiedź jest prosta i taka jak zazwyczaj: pieniądze.

W tym roku hasło dorocznego balu MET: „Fashion and art" było wystarczająco ogólne, żeby wepchnąć tam wszystko, myląc działalność krawiecką z przebieranką na balu kostiumowym w szkole podstawowej. I co z tego wyszło? Ani fashion, ani art. Został tylko konkurs martwych przebieranek, które nikogo nie obchodzą. A także prezentacja efektów pracy najdroższych kalifornijskich chirurgów plastycznych. Najbardziej spektakularnie prezentowały się one na pani Bezos, żonie właściciela Amazona. Zsuwające się ramiączko sukni być może w zamyśle Lauren Sanchez miało odnosić się do skandalizującego obrazu Johna Singera Sargenta „Portret Madame X", jednak rywalizacja z bohaterką słynnego płótna z góry skazana była na porażkę. Zamiast ulotnego czaru tamtej bohaterki otrzymaliśmy plastikową twarz oraz silikonowy biust, który występował z brzegów zbyt obcisłej sukni.

Wygląd Katy Perry pełen był detali, zarówno symbolicznych, jak i promocyjnych. Kto to wszystko zrozumiał? Sukienka od Stelli McCartney wykonana z odzyskanej satyny, sześciopalczasta rękawiczka... Spalone detale trenu interpretowano jako zapowiedź nadchodzącego singla piosenkarki „Watch It Burn"... Rihanna w stroju zaprojektowanym przez Glenna Martensa dla Maison Margiela Couture sprawiała wrażenie, jakby wydostała się cudem z krateru czynnego wulkanu itp., itd.

Wszystkie aberracje współczesnego świata skupiły się w tych wygłupach. Ani fashion, ani art.

Amerykańskie gazety napisały, że bal MET is dead. ©℗

eprasa.pl f190bf5ce0



PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

Italia na rozdrożu

W połowie kwietnia pierwszy raz od wyborów cztery lata temu sondaże wskazały, że połączona opozycja, czyli tradycyjna lewica, infantylny Ruch 5 Gwiazd plus mieszanka piorunująca ugrupowań szajbolewicy, zwyciężyłaby o garść głosów z rządzącą ekipą Giorgii Meloni.

Przyczyn, poza naturalnym „zużywaniem się" władzy, jest kilka: przegrane referendum w sprawie reformy sądownictwa, rosnące ceny paliwa, lewicowy szał propalestyński, przypadki korupcji, fatalny stan służby zdrowia, a także coraz większa niechęć Włochów do dalszego wspierania Ukrainy. Najważniejszym powodem są jednak prozaiczne, za to potężne braki w kasie.

Spowodował je w odległym 2020 r. prowincjonalny profesor prawa i analfabeta ekonomiczny premier Giuseppe Conte (Ruch 5 Gwiazd), który wówczas współrządził z lewicą. Był COVID. Aby ożywić budownictwo, motor włoskiej gospodarki wprowadzili tzw. bonus 110 proc.: jeśli wyremontujesz i ocieplisz jak trzeba dom lub mieszkanie, będziesz mógł odpisać od podatków 110 proc. inwestycji. Nie dość, że skorzystali na tym wyłącznie bogaci, to koszty szalonej imprezy, zamiast preliminowanych 35 mld euro, wyniosły ponad 170 mld! Sęk w tym, że Conte jak najsłuszniej pożegnał się z władzą w 2021 r., a konsekwencje finansowe spadły na rząd Meloni. W ubiegłym roku było to aż 40 mld euro (i pozostało jeszcze sporo do spłacania). Gdyby nie to, Italia uniknęłaby kar unijnych za nadmierne zadłużenie. Natomiast Conte właśnie oświadczył bezczelnie, że winien całemu złu jest obecny minister gospodarki i finansów, bo „nie poradził sobie ze spłatami".

Naturalnie postępowcy odtrąbili sondażowe zwycięstwo i przymierzają się do rządzenia krajem po przyszłorocznych wyborach. Analitycy zastanawiają się, czy w ogóle obecna, rozdrobniona opozycja, ze względu na diametralne różnice w sprawach wszelkich, byłaby w stanie stworzyć rząd. Ale ryzyko takie istnieje. Precedens już był: komiczny lewicowy rząd kabaret Romana Prodiego z 2006 r. Składał się z przedstawicieli 13 ugrupowań i liczył 103 osoby. Był wiecznie śmiertelnie skłócony i upadł po 23 miesiącach.

Natomiast prominenci obecnej opozycji już zapowiadają po przejęciu władzy reformy w duchu teorii ekonomicznej Robin Hooda: „Zabrać bogatym i dać biednym", np. nałożenie na wszystkich posiadających 2 mln euro lub więcej dodatkowej daniny w wysokości 500 tys. euro. Być może powróci tzw. pensja obywatelska dla bezrobotnych, mająca pomóc znaleźć pracę. Genialna idea rządu Contego przyniosła wyłącznie 40 mld euro strat. Gorze nam w Italii. ©℗



JERZY KARWELIS

DEKAMERONKI

Powtórka z rozrywki

W prima aprilis z argentyńskiego portu Ushuaia w Argentynie wypłynął statek wycieczkowy MV „Hondius". 5 maja Światowa Organizacja Zdrowia (WHO) poinformowała, że trzy osoby na statku zmarły w następstwie „podejrzanego ogniska zakażeń" hantawirusem. Przypomnę, że od takich wiadomości zaczęła się ponad sześć lat temu pandemia.

Statkowy wątek pandemii zaczął się 20 stycznia 2020 r. na pokładzie wycieczkowca „Diamond Princess", który wypłynął z japońskiej Jokohamy. Pierwszy przypadek koronawirusa, wykryto u obywatela Chin, którego 25 stycznia wysadzono w Hongkongu. 11 lutego WHO ogłosiła, że jesteśmy w mocy nowego wirusa, i pojawia się pierwsza nazwa – COVID-19. Ciekawe zatem, co 20 dni wcześniej wykryto u wysadzonego na brzeg Chińczyka? Protokoły na testy na koronawirusa zostały opracowane w Niemczech właśnie w okolicach 20 stycznia. Skąd się zatem wzięły na pokładzie wycieczkowca w Jokohamie? Na statku zaczęły się dziać cuda: świat mógł śledzić swoją przyszłość.

Na 2666 pasażerów i ok. 1 tys. osób obsługi „Diamond Princess" wykryto 706 przypadków pozytywnego wyniku testu, który w cudowny sposób znalazł się na pokładzie. Sześć osób zmarło w wyniku infekcji. Gdyby wirus był tak śmiertelny, jak straszono, to wszyscy na pokładzie by zmarli. Po drugie – nikt do dziś nie dowiódł, że zgony na statku zostały spowodowane wirusem, co najwyżej zmarli go mieli w chwili śmierci. A właściwie – po trzecie – nie wiadomo, czy mieli wirusa, gdyż mieli tylko pozytywny test. Wszystkie te czynniki zostały powtórzone później w makroskali pandemii światowej.

To samo mamy dzisiaj z przypadkiem zakażenia na wycieczkowcu MV „Hondius". Jest tylko śmieszniej – wirus inny (hantawirus), „podejrzane ognisko" jest raczej wynikiem pozytywnych testów niż zakażenia, wysadzony człowiek ze statku i poddany hospitalizacji oprócz pozytywnego testu nie ma żadnych objawów, za to wszystkie 12 osób z personelu medycznego, które miały kontakt z kolejnym z bezobjawowych pacjentów, wysłano na sześciotygodniową kwarantannę. A zmarły z tego statku trzy osoby, z tym że sama WHO informuje, że dwie z nich nie wiadomo na co, trzecia zaś „w wyniku zakażenia", czyli jak wiemy z praktyki covidowej – jedynym jej patogenem był pewnie pozytywny test.

Mamy więc żałosną próbę powtórzenia skompromitowanej narracji, z tym że nikt się już nie nabiera. Jest jak z bajką o Piotrusiu i wilkach – tyle razy wołano na fałszywy alarm, że jak się coś naprawdę przytrafi, to nikt nie zareaguje. I Piotrusie będą miały znowu pretensje do ludzi, nie do siebie. ©℗

eprasa.pl f190bf5ce0



SPODE ŁBA

Jermak w drodze na front

DARIUSZ WIEROMIEJCZYK

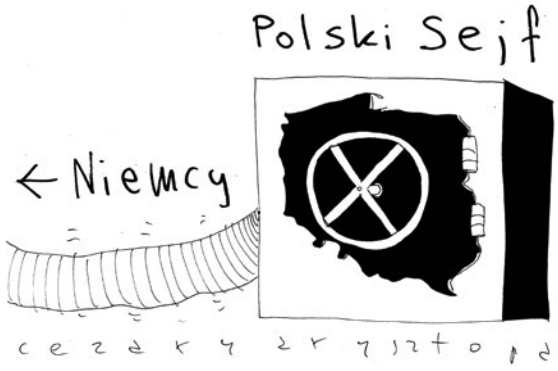
Ciekawe wiadomości docierają z wykrwawiającej się Ukrainy. Do niedawna druga osoba w tamtejszym państwie, nazywany „nadprezydentem" wieloletni szef Kancelarii Prezydenta Ukrainy, Andrij Jermak, doczekała się właśnie postawienia jej przez prokuraturę zarzutów karnych, dotyczących legalizacji majątku uzyskanego w wyniku przestępstw. Śledczy podejrzewają Jermaka o udział w zorganizowanej grupie przestępczej. Nie jest to jednak pierwszy, w najbliższym otoczeniu prezydenta Wołodymyra Zełenskiego, bohater korupcyjnego skandalu. W listopadzie ubiegłego roku do Izraela uciekł wieloletni partner biznesowy i osobisty przyjaciel ukraińskiego prezydenta, Timur Mindycz. Ciążą na nim zarzuty przyjmowania łapówek idących w miliony dolarów. Uprzedzony przez tajemniczych protektorów Mindycz zdołał w ostatniej chwili opuścić Ukrainę. Stanowiska w ukraińskim rządzie stracili w związku ze sprawą ministrowie sprawiedliwości i energetyki. „Osoby należące do organizacji przestępczej bardzo umiejętnie wykorzystywały metody konspiracji i zmieniły wiele środków transportu, środków komunikacji itd. Jesteśmy bardzo niezadowoleni, że Mindycz najprawdopodobniej dowiedział się, że jego dom zostanie przeszukany, i dlatego wyjechał z Ukrainy" – skarżył się szef wydziału śledczego ukraińskiego biura antykorupcyjnego NABU.

Tymczasem Andrij Jermak, do którego dymisji doszło wkrótce po aferze Mindycza, ani myślał szukać schronienia na izraelskich plażach. „Idę na front" – zapowiadał bojowo ukraiński polityk. „Jestem uczciwym i porządnym człowiekiem". Odległość dzieląca Kijów od najbliższego odcinka frontu wojny ukraińsko-rosyjskiej wynosi ok. 400 km. Wysportowany piechur pokonałby ten dystans w dwa lub najwyżej trzy tygodnie. Gdyby ogarnięty patriotyczną gorączką Jermak przekazał na zbiórki wojenne należący do niego samochód, na rowerze dojechałby w okolice Kupiańska po czterech dniach ostrego pedałowania. Tymczasem Andrij Jermak na front do tej pory nie dotarł.

Jakie tajemnicze przeszkody uniemożliwiły mu zrealizowanie tak szlachetnych obietnic? Obciążeniem podczas długiego marszu mogły być liczne ordery, przyznane Jermakowi przez prezydenta Andrzeja Dudę. Niedoszły frontowiec pochwalić się może Krzyżem Oficerskim Orderu Zasługi Rzeczypospolitej Polskiej oraz Krzyżem Komandorskim z Gwiazdą Orderu Zasługi Rzeczypospolitej Polskiej. Prezydent Andrzej Duda przyznał te odznaczenia „za wybitne zasługi w rozwijaniu polsko-ukraińskiej współpracy oraz zaangażowanie na rzecz bezpieczeństwa w Europie Środkowej". Jak twierdził Paweł Soloch, były szef prezydenckiego Biura Bezpieczeństwa Narodowego, „minister Jermak jest postacią o unikalnych kompetencjach, skupiającą w swoich rękach kluczowe procesy państwa. Dla polskiego BBN był to partner wiarygodny i niezwykle konkretny". Determinację Andrija Jermaka oraz jego gotowość do rozmów „często prowadzonych w nocy" wychwalali pod niebo ministrowie Jakub Kumoch, Mariusz Błaszczak, Marcin Przydacz i Radosław Sikorski. „To kluczowy rozmówca dla każdego, kto chce zrozumieć cele strategiczne Kijowa" – zapewniał ten ostatni, tym razem nie mijając się z prawdą.

Droga, którą Andrij Jermak próbuje dotrzeć na front, niepokojąco przypominać zaczyna tę, którą dzielny wojak Szwejk poruszał się w drodze do swojego pułku w Budziejowicach. Maszerował on w przeciwną stronę, licząc na to, że kulistość kuli ziemskiej i tak pozwoli mu w końcu dotrzeć do celu. „Spacer juścić galanty, gdy człowiekowi pilno do swego pułku, i jeszcze do tego wszystkiego bać się trzeba, żeby za swoją dobrą wolę nie spotkała go jakaś przykrość, gdyby się nie znalazł w czas na miejscu" – tłumaczył swą „anabasis" Szwejk. Po drodze do Budziejowic wylądował on niestety w areszcie, co może się także przytrafić byłemu już współpracownikowi prezydenta Wołodymyra Zełenskiego. ©℗

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA



eprasa.pl f190bf5ce0



JOANNA SIEDLECKA

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Wojewoda na Laficie

Nazywano go „predsiedatielem kołchozu", „Księciem Panem", „Wojewodą na Laficie", „Sfinksem o oczach smutnego spaniela", „zimnym polipem redakcyjnym", bo od lat nie wstawał zza biurka, Francuzi „Mesje Żedrłakiem", dzieło jego życia – redakcję paryskiej „Kultury": „laicką Jasną Górą", gdzie pielgrzymowali na kolanach polscy intelektualiści. „Gdyby znalazł się na pustyni, gdzie stałaby jedyna sławojka z napisem »Klucz u dozorcy«, On by ten klucz zdobył" – mówił Czesław Miłosz. „Obudzony w środku nocy, najpierw skoczy w redaktorstwo, dopiero potem w kalesony" – śmiał się Melchior Wańkowicz, autor takiego oto wierszyka: „Kto w towarzystwie samych drani / Oczy ma spłoszonej łani / Kto to wszystko w całość zgrabnie wiąże? / Giedroyc – Książę".

Choć pisze się, że był niemalże mnichem o ascetycznym trybie życia, nieobce były mu jego uroki

W PRL paryska „Kultura" była zakazana, wydawane przez nią książki konfiskowane na granicy, numer telefonu w notesie, mocno obciążający. Syn Kisiela, Wacław Kisielewski, wybitny pianista, który z racji swoich zagranicznych koncertów bywał tu kurierem, nauczył więc siebie i ojca, jak go łatwo zapamiętać: cztery lata przed Chrztem Polski i rok przed Krwawą Niedzielą w Petersburgu, czyli 9621904. Marek Nowakowski, który pisywał u Gedroycia (jak uparcie nazywała go ubecja) jako Seweryn Kwarc, spytał go kiedyś, dlaczego, zwłaszcza w ostatnich latach, drukował głównie lewicowców, postkomunistów. Przyjął Aleksandra Kwaśniewskiego. Odpowiedział mu parafrazą z Piłsudskiego: „Jak się nie ma marmuru, trzeba lepić choćby z gówna".

Wizyta w siedzibie „Kultury" w podparyskim Maisons-Laffitte, inwigilowanej przez PRL-owską bezpiekę, kończyła się często przesłuchaniami, utratą paszportu. „I po co tak ryzykować? – mówił Zbigniew Herbert. – Żeby zastać Ważyka czy Wiatra, których tu hołubiono?". Lansowanie rewizjonistów, potem ekskomunistów, postępowiczów było głównym powodem jego zerwania z Giedroyciem. Miał też żal do jego współpracownika: „Wuja" Zygmunta Hertza, którego bardzo lubił, stawiał jednak wódę tylko farbowanym lisom, zadedykował mu więc „Małą odę": „Ach, wspomnij Wujku – załkam głucho / gdy razem w Paryż my chodzili / na cous-cous, ale nie na sucho / bożole tęgośmy tam pili / szczęśliwi, syci, tłuści, krągli / (zziajany kelner nie mógł zdążyć) / Lecz mówią ludzie, co Cię znają / Że lewicowcom Wuj nie skąpi / jak się marksista jakiś zjawi / z marksistą Wujek wódę rąbie / a Polak-patriota z kraju / tu ani kropli nie dostaje / A na pytanie cioci Zosi / dlaczego w Polsce tyle piją / Schaff pewnie wyjaśnienie da / lub inny marksistowski ryjo".

„Gdy nocowałem kiedyś w »Kulturze« – wspominał Stefan Kisielewski – obudziły mnie kłęby dymu – na podwórku, przy piecyku-kozie, wściekły Książę zrywał i wrzucał do ognia okładki książki z wielką fotografią Tyrmanda – opublikowaną przez niego w USA zbiorze tekstów »Kultury«, wykorzystaną, zdaniem Giedroycia, do lansowana własnej osoby".

Zerwał więc z konserwatystą ostatecznie, nie wydał mu „Dziennika". Równie zawzięty był wobec swego współpracownika i bliskiego niegdyś partnera, Józefa Czapskiego, który nie chciał poświęcić się całkowicie „Kulturze", tylko pisać, malować, wystawiać swoje obrazy. Tak, że choć w jednym stali domu, Giedroyc na dole, Józio na górze, latami ze sobą nie rozmawiali, nawet ogródek podzielono na dwie części i wybuchały awantury, gdy piesek Czapskiego nasiusiał na część Redaktora. Po śmierci Czapskiego poskąpił mu na grobie znaku graficznego „Kultury", choć mieli go wszyscy.

„Nie brakowało mu jednak poczucia humoru, bronił go Marek Nowakowski. Podobało mu się np. warszawskie powiedzenie o bezsensowności gadulstwa: Pieprzą, pieprzą, a walizki na drugim peronie". I choć pisze się, że był niemalże mnichem o ascetycznym trybie życia, nieobce były mu jego uroki. Kochał nie tylko mężczyzn, lecz także kobiety, przed wojną miał przecież żonę, piękną białą Rosjankę Tatianę Szwecow, z wieloma się przyjaźnił – w redakcji „Buntu Młodych" jego najbliższą współpracownicą była Maja Prądzyńska, w „Kulturze" Zofia Hertz, w wieku 50 lat stracił głowę dla romansowej Agnieszki Osieckiej, nazywanej Kikimorą, duszkiem, który zburzył jego spokój. Dbał o swój elegancki wygląd – fulary dobrane do koloru koszul. Ubóstwiał Blacka, swego psa, whisky, papierosy (choć żył 94 lata), kuchnię francuską (sałaty, wino do obiadu i kolacji), ale głównie litewską i polską: kołduny, bigos. Jerzyk Kisielewski przywoził mu z Polski czarny, sitkowy chleb, bryndzę, kapuśniak, śledzie w oleju z cebulką. Oglądał westerny, płakał przy Okudżawie, a pod koniec życia żałował jednak, że nie miał życia prywatnego, bo pragnął bliskości, ale jednocześnie się jej bał. ©℗

eprasa.pl f190bf5ce0

BABY



FOT. W. CEJROWSKI LTD/JAROSŁAW SOŚNICKI

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

Gdzie kucharek sześć, tam nie ma co jeść – skąd się wzięło to przysłowie? Z obserwacji życia. Czy taka obserwacja oznacza, że ktoś nie szanuje kobiet? E tam. Kobiety są po prostu bardziej kłótliwe od facetów. A to się bierze stąd, że mają więcej empatii. W kuchni pełnej kobiet górę biorą emocje, a nie gotowanie.

Z kolei facetom brak empatii i dlatego oni się nie kłócą, lecz ze sobą walczą. Walczą ze sobą, konkurują lub ignorują wszystkich innych w kuchni i skupiają się na gotowaniu swoich potraw.

Znając te mechanizmy, można dobrać właściwe osoby do właściwych zadań. Natomiast gdy się te zasady ignoruje i stosuje parytet płci, to potem mamy połowę ludzi obsadzonych na stanowiskach, do których się nie nadają. Muszą je zajmować, bo tego wymaga unijny parytet lub równouprawnienie, a jednocześnie nie powinni ich zajmować, bo tego wymaga zdrowy rozsądek. Krótko: kobieta w roli generała to koszmarna pomyłka.

Na poziomie teoretycznym możemy się oburzać na takie stwierdzenie – bo jak tak można dyskryminować kobiety? – ale gdybyś, człowieku, poszedł do łazienki, zamknął drzwi i zapytał sam siebie, czy naprawdę chcesz, aby armią, która ma obronić Polskę, dowodziła kobieta, to co odpowiesz sam sobie? Chcesz postawić kobietę na czele armii, gdy po drugiej stronie Chińczycy lub Ruscy wystawią tych swoich morderców? Tego chcesz? Bo parytet płci to właśnie oznacza – nasza armia będzie wyglądać ładnie „parytetowo". Ich armia będzie mordować i zwyciężać.

***

Obrońcy parytetów mówią, że kobiety są bardziej dokładne. I tu ich mamy! Skoro kobiety są bardziej dokładne to jednocześnie znaczy, że się od mężczyzn RÓŻNIĄ nie tylko fizycznie. A skoro się różnią, to mechaniczny parytet płci jest bez sensu. W pewnych sytuacjach chcemy zatrudniać ludzi bardziej dokładnych, a do innych zadań chcemy ludzi, którzy mają mało empatii. Osoba empatyczna nie sprawdzi się w rzeźni.

***

A czemu facetom brak empatii? To pierwotne przystosowanie z czasów, gdy kobiety były często w ciąży i zostawały w domach, a mężczyźni wychodzili na polowanie. Facet polujący na sarenkę nie powinien być empatyczny i litować się nad biednym Bambi. On ma być skuteczny, a nie litościwy. Z kolei kobiety miały być litościwe, miłe, troszczyć się po kobiecemu. W efekcie to faceci są lepszymi chirurgami, a kobiety pielęgniarkami. Te rzeczy wynikają z NATURY człowieka, a natura ludzka jest niezmienna. Kultury się zmieniają, cywilizacje powstają i upadają, a nasza natura jest dana raz na zawsze od Boga i tyle. Lew urodzony w zoo ma naturę identyczną jak lew z sawanny.

***

Uff. Musiałem zrobić to podprowadzenie antropologiczne, by teraz wypowiedzieć tezę, od której chciałem zacząć. Teraz dopiero Państwo (nie wszyscy) przyjmą bez złości stwierdzenie: TAM JEST ZBYT WIELE BAB.

W rządzie jest zbyt wiele bab i to rodzi kłótnie. Kłótnie są niedobre. Współzawodnictwo polegające na kłótniach jest niedobre. Dużo lepsze są męskie pojedynki. W rządzie jest zbyt wiele bab, w Sejmie też i w tej radzie, którą prezydent powołuje do pisania konstytucji. Zbyt wiele bab, a my chcemy sukcesu, a nie kłótni.

Gdy faceci walczą, skupiają się na sobie. Na zwycięstwie, na pokonaniu przeciwnika. Kobiety są bardziej empatyczne, więc skupiają się na innych. Gdy kobiety walczą, starają się wyeliminować przeciwnika poprzez wytykanie jego wad. Facet chce pokazać, że sam jest najlepszy. Kobieta chce pokazać, że wszyscy inni są gorsi od niej.

Zyta Gilowska była dobrym ministrem finansów. Nie dlatego, że była dokładna. Dokładna ma być sekretarka, a minister ma być skuteczny. Minister z racji zadań, jakie przed nim stoją, ma myśleć, działać jak facet. I taka była Zyta. A obecne „ministry" to baby rozhisteryzowane i najczęściej wredne.

***

Ta od edukacji ma żyłę na katolików. Złe emocje jako motor działań są… złe. Ja od ministra edukacji oczekuję, że dzieci będą dobre z matematyki, a nie z buddyzmu i seksu. Ministra edukacji skupia się na tym, co uczniowie wiedzą o zawartości własnych majtek, i uważa, że wiedzą za mało. Pierwsze moje skojarzenie z tą kobietą jest bezlitosne: wredna baba. Nie znam jej osobiście. Opiniuję na podstawie tego, co sama prezentuje w mediach. Nigdy nie słyszałem z jej ust słów: rachunki, algebra, chemia, fizyka. Natomiast o zastosowaniach siusiaka gada obsesyjnie. Wchodzi w konflikty dotyczące zawartości majtek. I chce, aby rodzice przestali się wtrącać, gdy ona sama wtrąca się do majtek ich dzieci.

Moja szowinistyczna natura reaguje prosto: wredna baba.

Moją opinię wyrobiłem sobie wyłącznie na podstawie tego, co ta baba gada jako minister edukacji. Czy ona się na to stanowisko nadaje? To zależy od tego, co jest naszym celem. Jeżeli celem jest deprawacja nieletnich, to ta baba jest bardzo dobra w swojej roli.

***

Częsty zarzut wobec polityków w typie Hołowni: Zachowuje się jak baba. Czyli oczekiwanie społeczne jest takie, by zachowywał się jak facet. I zarzutu odwrotnego nie ma! Nigdy nie słyszałem, by wobec kobiet w polityce padał zarzut, że „zachowuje się jak facet". Wniosek z tego taki, że jeśli kobieta w polityce zachowuje się jak facet, wszystko jest w porządku i mamy kogoś takiego jak Margaret Thatcher. Miała damskie kapelusze i torebki, wyglądała i mówiła jak kobieta, a jednak w działaniu POLITYCZNYM grała po męsku i za to ją ceniono. Była mężem stanu, a nie babą na stanowisku premiera.

Oczekiwanie społeczne jest takie, że kobiety w polityce mają się zachowywać po męsku. Kapitan na okręcie też ma się zachowywać jak facet, niezależnie od tego, jakiej jest płci. Chirurg przy stole operacyjnym nie może się rozczulać. Empatia musi zostać za drzwiami, bo od chirurga oczekujemy bezlitosnej precyzji.

Wniosek: W polityce jest zbyt wiele bab płci żeńskiej i zbyt wiele bab płci męskiej. ©℗

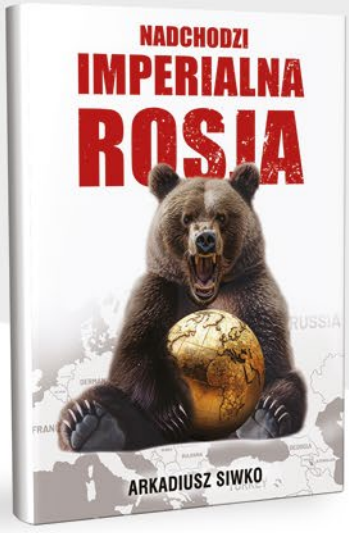
eprasa.pl f190bf5ce0

Oferta promocyjna

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

ROCZNA PRENUMERATA

TYGODNIKA „DO RZECZY" I MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY"



W PREZENCIE

KSIĄŻKA

ARKADIUSZ SIWKO:
„NADCHODZI IMPERIALNA ROSJA"

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

~~1301 ZŁ~~

546,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 755 ZŁ

Oferta prenumeraty z dostawą za pośrednictwem Poczty Polskiej

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

- Wpłata na konto bankowe: Do Rzeczy S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa, nr konta: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006. W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail
- Na stronie: www.subskrypcja.dorzeczy.pl.

TERAZ MOŻLIWOŚĆ ZAMÓWIENIA PRENUMERATY RÓWNIEŻ Z DOSTAWĄ DO PACZKOMATU INPOST

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl f190bf5ce0

Od ponad dekady tworzymy jedno
z najbardziej opiniotwórczych mediów w Polsce

SPÓŁKA AKCYJNA
DO RZECZY



Do Rzeczy S.A.
Spółka notowana na rynku **NewConnect (GPW)**
Symbol giełdowy: **DRZ**

WOLNOŚĆ SŁOWA MA WARTOŚĆ - TAKŻE GIEŁDOWĄ

Od 28 kwietnia 2026 możesz nas nie tylko czytać,
ale również zostać akcjonariuszem Do Rzeczy S.A.

ZAINWESTUJ
W NIEZALEŻNE MEDIA
Twoje media. Wspólna sprawa.

Dowiedz się więcej:
www.DoRzeczySA.pl

eprasa.pl f190bf5ce0